

ZORRO 1

Jeździec w masce

LUIGI MICUNO

Krwawa litera.....	1
Mściciel w masce.....	3
Głupi Zefirio.....	4
Nocna wizyta.....	5
Zefirio kontra Zorro.....	7
Zabawa w ciuciubabkę.....	8
Wyzwanie Zorry.....	10
Zefirio bliski zwycięstwa.....	11
Senor Pablo Ravales.....	14
Wyrównany rachunek.....	18
Don Herminio Candida.....	19
Przygody głupca.....	21
Spotkanie w Sierra Madre.....	22
Ostatnia nauczka.....	24
Porfirio i Malibrán.....	26
Dobrana trójka.....	28
Zorro osaczony.....	30
Zefirio przemawia.....	32
Znak na drzwiach.....	33
Znak na biurku.....	35
Popis.....	37
Dolores i Mercedes.....	39
Złodzieje bydła.....	41
Trzy kule.....	44
Skrzynka botanika.....	49
Piętnaście monet.....	51
Przyjaciół.....	56
Postrach Aragonii.....	58
Oświadczyń don Alvareza.....	60
Porwanie.....	64
Zmowa przyjaciół.....	65
Skowyt psa.....	67
Powrót Porfiria i Malibrana.....	69
Zorro w opałach.....	71
Sobowtór Zorry.....	72
Zwyciestwo Zefiria.....	78
Dwa złamane serca.....	79
Murarze don Antonia.....	84
Wyprawa Zefiria.....	85
Dwie oswobodzicielki.....	88

Krwawa litera

Wielkorządca Aragonii, książę don Ramido y Carvalho, wydał bal z okazji dwudziestopięciolecia panowania królowej Izabelii Hiszpańskiej.

Działo się to w roku 1858. Lud się burzył przeciwko wielkorządcy. Ostatnie rozporządzenie księcia było nieludzkie; podwyższył podatki od konia, pług i od każdego okna w chacie wieśniaczej.

Egzekutorzy księcia zabierali ostatnią krowę, stołek, poduszkę... Bywały wypadki pobicia przez żołnierzy i puszczania z dymem niewypłalnych dłużników...

Lud groził, burzył się i przeklinał.

Wówczas ogłoszone zostało, przy biciu w bębny, nowe rozporządzenie:

Kto podczas przejazdu wielkorządcy nie zdejmie kapelusza i nie okaże przy tym największej czci dla osoby książęcej, ukarany zostanie chłostą i więzieniem. Należną cześć okazywać należy również wszystkim dworzanom i członkom całej świty.

Więżenia były przepelnione. Coraz więcej żebraków ukazywało się na drogach publicznych, kobiety zaś modliły się o nagłą śmierć dla tyrana....

Olbrzymie sale pałacu książęcego oświetlone były rześcicie. Orkiestra pałacowa przygrywała rażno. Tańce jeszcze się nie rozpoczęły.

Widok ogólny na zebrane tłumy był bardzo malowniczy. Szamerowane mundury; zielone, niebieskie i czerwone fraki; panie z arystokracji: zjawiskowo piękne i obwieszane brylantami - wszystko to iskrzyło się, mieniło i przelewało w obszernych salach.

Nieustanne wybuchy śmiechu w jednym z kątów sali świadczyły o tym, iż zebrane tu liczne towarzystwo bawiło się wyśmienicie.

- Co się tam dzieje? Cóż ich tak śmieszy? - odezwał się książę don Ramido, zwracając się do jednej z dam. - Po raz pierwszy słyszę w mym domu podobne kaskady beztroskiego śmiechu.

- Nic dziwnego, mości książę - odrzekła składając mu ukłon dworski. - Zefirio znajduje się pomiędzy paniami.

Książę uniósł swe krzaczaste brwi:

- Zefirio? - rzekł z namysłem. - Ach tak, przypominam sobie. Głupi Zefirio, chybiony synalek tego właściciela ziemskiego, jakżeż on się nazywa?.. Aha... Corti!

Po chwili zaś dodał zwracając się do kilku dworaków:

- Chodźmy również posłuchać tego durnia!

Zbliżyli się ku miejscu w rogu sali, gdzie Zefirio stał otoczony gromadą roześmianych twarzy.

- A więc, Zefirio, opowiadaj, jak to było z tym kozłem? - śmiejąc się zawołała piękna Dolores, siostrzenica księcia.

Usta Zefiria rozciągnęły się w głupekowatym uśmiechu.

Dziwny był to młodzieniec: wysoki, piękny, nawet zbyt piękny jak na mężczyznę przystało. Dodatkowo wrażenie, jakie wywierał w pierwszej chwili, psuły jednak oczy, ładne co prawda, lecz zupełnie bez wyrazu, oraz uśmiech bezdennie głupi.

Wszystko było w nim powolne i gnuśne; ruchy zniewieściałe i mowa, której człowiek o zdrowych nerwach nie mógł spokojnie słuchać przez czas dłuższy, rozciągał bowiem każde słowo do niemożliwości.

W całej okolicy opowiadano sobie kawały na temat jego głupoty i niezaradności:

- Opowiedz, opowiedz, Zefirio - wołano zewsząd - jak to było z tym kozłem.

- Dobrze, opowiem - rzekł ociągając się Zefirio. - Tylko nie śmieście się, proszę... był to wypadek zbyt smutny dla mnie... Otóż postanowiłem pewnego dnia nauczyć się konnej jazdy. Wiecie przecież, iż w Madrycie, ucząc się na uniwersytecie, nie miałem nigdy okazji dosiadania rumaka... Jako słuchacz teologii i filozofii... - Przerwał mu wybuch śmiechu. - Czego się śmiejecie? Tu nie ma nic śmiesznego! Otóż, przyjechałem tutaj przed pięcioma miesiącami i postanowiłem jeździć konno... W siadłem na konia z boku, jak należy, a zsiadłem z tyłu. Właściwie to nie ja zsiadłem, tylko on mnie zsadził, ten koń... Leżę więc, wypoczywam i wreszcie chcę wstać, aż tu widzę, że nade mną stoi kozioł... Olbrzymi, straszny kozioł z długą brodą... Straszny, mówię wam, podobny zupełnie, no zupełnie...

Zefirio zatrzymał się na chwilę i wodził baraniami oczami po zebranych, szukając porównania. Wtem wzrok jego zatrzymał się na księciu, który również, z uśmiechem na ustach, przysłuchiwał się jego opowiadaniu:

Zefirio roześmiał się radośnie:

- Mam, mam! - zawołał wskazując na księcia. - Straszny kozioł podobny był zupełnie do tego brodacza...

Książę zbladł i ściągnął brwi.

Zebranych ogarnęło przerażenie. Nastąpiła śmiertelna cisza. Wreszcie don Pedro, dworzanin księcia, otrząsnął się z osłupienia.

Pociągnął Zefiria za rękaw i rzekł:

- Szaleńcze, przecież to książę pan!

- Świetnie! Otóż moi drodzy, ów kozioł był zupełnie podobny do księcia pana.
Nie wiadomo jak ta scena by się zakończyła, gdyż głupiec wcale nie chciał zrozumieć, na co się naraża, gdyby nie nagle zamieszanie powstałe przy wejściu do sali.
Poblądły oficer torował sobie drogę wśród zebranych.
Dwaj żołnierze trzymali pod ręce pokrwawionego, ślaniającego się człowieka.
Był to komisarz księżęcy. Poprzez dziury w mundurze widniały długie, krwawe pręgi na rękach, nogach i na piersi tego mężczyzny.
Były to ślady uderzeń długiego bicia z bawolej skóry. Lecz najstraszniejszą rzeczą był znak na twarzy rannego. Na lewym policzku krwawiły trzy pręgi w kształcie litery „Z”.
- Znalazłem. go w lesie na wielkiej drodze, mości księżę! - raportował oficer.
- Pienią... dze... księcia... zra... bowane! - wyszeptał komisarz i ponownie stracił przytomność.
I podczas gdy żołnierze, nie wiedząc na razie co mają czynić z ciałem zemdlonego, przytrzymały go w pozycji stojącej, wszyscy zebrani z przerażeniem wpatrywali się w złowrogie trzy pręgi na lewym policzku.
- Litera „Z”! - szeptano dookoła. - Czy widzicie?.. Litera „Z”.
- Cha, cha! - rozległ się nagle głupkowaty śmiech. - To ci heca! Toż to znak Zorry!
Dreszcz zgrozy przeszedł dworaków i tych wszystkich, co żyli na łasce księcia.
Zefirio pękął ze śmiechu.

Mściciel w masce

Kareta pocztowa stanęła na drodze. Woźnica zaklął. W poprzek drogi przeciągnięta była długa lina. Mercedes wychyliła swą piękną twarzyczkę przez okno karety. - Co się stało? - zapytała. - Dlaczego nie jedziemy? Żołnierz z eskorty; galopującej obok, nie zdążył odpowiedzieć.
- Rzucić broń! Ręce do góry! - zagrzmiął metaliczny głos. Nieco na uboczu stał jeździec w masce. Czarny rumak nie ruszał się z miejsca. Człowiek w masce nie nosił kapelusza o szerokim rondzie, zwanym sombrero, głowę miał owiązaną czarną chustką jedwabną, której końce spadały na lewe ramię. Miał na sobie obcisłe spodnie z czarnego weluru i lekką, czarną koszulę ściągniętą w talii pasem wyszywanym złotem.
Siedział na koniu, dumnie wyprostowany, lewą rękę opartą miał na biodrze.
Mercedes cofnęła głowę, błada z przerażenia. Ojciec jej, stary generał don Borrigo, zaniemówił.
Bandyta! Przemknęło przez myśl dziewczynie. W następnej sekundzie jednak odetchnęła z ulgą. Bandyta nie miał broni, jeśli nie liczyć szpady wiszącej u siodła. Żadnego pistoletu, nic absolutnie w ręku.
Ale dlaczego żołnierze z eskorty stoją jakby zdrtwiali? pomyślała. Podli tchórze, uzbrojeni od stóp do głów!
- Czyście poszaleli?! - krzyknęła przez okno. - Boicie się jednego bandyty? Strzelajcie, na miłość boską. Strzelajcie!
Stary sierżant usłuchał. Szybko podniósł strzelbę do oka i wycelował.
Stała się jednak rzecz niespodziewana. W prawym ręku zamaskowanego jeźdźcy pojawił się bicz jakiego używają hiszpańscy poganiacze mułów - o krótkiej rękojeści i bardzo długim rzemieniu z bawolej skóry.
Rzemień opisał łuk w powietrzu, po czym owinął się dookoła strzelby doń wycelowanej. Krótkie szarpnięcie i strzelba. znalazła się w krzakach przydrożnych. Następnie rzemień opisał powtórnie łuk w powietrzu, owinął się dookoła szyi woźnicy, znów ostre szarpnięcie i biedny pocztylion znalazł się na ziemi.
Zdumiona do najwyższego stopnia Mercedes, mimo wszystko musiała podziwiać nieprawdopodobną zręczność bandyty, graniczącą wprost z cudem. Z tak wielkiej odległości manewrować w ten sposób zwykłym biczyskiem z bawolej skóry? Nic dziwnego, że niepotrzebna mu była inna broń.
- Podziękuj Bogu, sierżancie, że znajduje się tutaj seniorita, otrzymałbyś porządną porcję batów! - zawołał jeździec, zbliżając się do karety. - A teraz moje panie i panowie, niczego się nie obawiajcie. Nie tknę nikogo, nikomu z obecnych nic nie zabiorę! Z wyjątkiem...
Tu uczynił pauzę i Mercedes znów musiała podziwiać jego piękne oczy widoczne poprzez otwory w masce.
- Z wyjątkiem pieniędzy zabranych niesprawiedliwie biednym ludziom przez komisarzy księcia

pana - dodał ostro.

- Żywo! Żywo! - wołał niecierpliwie. - Dawać tu pieniądze!...

A gdy go usłuchano, przytroczył ciężki worek do siodła i zawołał wesoło, spinając konia:

- Adios, senioritas e senores!... Biedni otrzymają swe pieniądze z powrotem. Przydadzą się na zbliżającą się Wielkanoc.

Rumak dał potężnego szczupaka i po chwili znikł w zaroślach.

Długo jeszcze w uszach obecnych dźwięczał młody śmiech i powtarzający się okrzyk, którym rabuś zachęcał konia do szybkiego biegu:

- Zorro!... Zorro!... Zorro!...

Głupi Zefirio

Kareta pocztowa stanęła nie opodal domu należącego do Anzelma Cortiego...

Mercedes wysiadła z karety i podała rękę staremu generałowi, który z trudem schodził ze stopni.

- Pamiętaj - szepnął generał do córki - bądź uprzejma dla twego dalekiego krewnego, syna Anzelma Cortiego, z którym się umówiłem, że was zaręczymy, gdy tylko się poznacie... Sądzę, że ci się spodoba. Jest to spokojny, stateczny młodzieniec i jedyny spadkobierca bogatego ojca.

Mercedes nic nie odpowiedziała. Myśli jej były zaprzątnięte tajemniczą postacią z długim biczem.

- Witamy, witamy z radością! - zawołał senior Corti, przystępując do generała.

Uściskali się serdecznie.

Nadbiegła służba i zajęła się bagażem przybyłych. Gospodarz wprowadził gości do swego patia.

Po pewnym czasie wszyscy siedzieli za suto zastawionym stołem.

- Gdzie jest Zefirio? - zapytał generał, rozglądając się na wszystkie strony.

Corti był nieco zażenowany, gdy odpowiedział:

- Syn mój nic nie wie o waszym przybyciu! Sądzę, że zjawi się niebawem!

Rzeczywiście, w głębi domu rozległ się głos mężczyzny:

- Aa więc drogi Baatisto! - dolatywały słowa wypowiedziane z wielką powolnością. - Pokażę ci sztuczkę z moonetą... Wspaniała, mówię ci! Co, są goście?.. No to niech sobie będą, a ja ci pokażę tę sztuczkę!...

Corti wstał i rzekł z uśmiechem:

- Bardzo przepraszam moich kochanych gości, wybaczcie mi, że oddalę się na chwilę... Idę po syna.

Wyszedł.

- Jeśli ten głos należy do Zefiria - rzekła Mercedes - to wiesz, że ojcu wyboru! Musi to być kompletny idiota!

Corti zjawił się z powrotem. Za nim podążał jego syn, który oznajmił swe pojawienie się potężnym ziewnięciem.

Był to poważny nietakt, Mercedes pogardliwie skrzywiła dumne usta.

Ładny chłopiec, pomyślała, lecz bezdennie głupi i nietaktowny. Rzeczywiście Zefirio sprawował się nie szczególnie. Przełał zupę, wywrócił solniczkę, kawał pieczeni, który niósł do ust, spadł mu na kolana, a z kolana na podłogę.

Nie zadał sobie trudu, by spojrzeć na współbiedniaków. Uśmiechał się przez cały czas sam do siebie.

- Cóż to kuzynek taki milczący? - zagadnęła go Mercedes. Spojrzył na nią niby przebudzony ze snu.

- Aaa... bo... jak by tu powiedzieć? Obmyśliłem wspaniałą sztuczkę - rzekł. - Sztuczkę z chusteczką do nosa. Wyciągnął chustkę z kieszeni:

- Chce kuzynka, to jej pokażę!...

Zwinał chustkę w mały kłębek i dmuchnął. W rękę zjawiły się dwie chustki. Zwinał je w dwa kłębki. Dmuchał po raz drugi i rozwinął kłębki. Trzymał już cztery chustki w rękach. Zgniół je razem, dmuchnął po raz trzeci i chustki znikły. Po prostu ulotniły się w jakiś niewytłumaczalny sposób.

- Cha, cha! - zarżał jak młody żreback. - Wspaniałe, co? Milczenie zaległo przy stole.

Nie! pomyślała Mercedes, prędzej śmierć niż taki małżonek!

Wstali od stołu. Goście udali się do swych komnat, by wypocząć po trudach podróży.

Mercedes otrzymała piękny buduarowy pokój, okno którego wychodziło na sad. Wychylając głowę, mogła widzieć, nieco na lewo, altankę oplecioną dzikim winem.

Upał tego dnia był nieznośny. Toteż wszystko w domu wypoczywało. Panowała kompletna cisza przerywana od czasu do czasu brzęczeniem muchy.

Dzień miał się ku schyłkowi.

Nagle w oddali, na drodze wiodącej obok hacjendy, uniósł się tuman kurzu.

Spoza tej chmury wyłonił się orszak uzbrojonych jeźdźców.

Corti wyszedł na dziedziniec i patrzył z zaciekawioną na zbliżających się kawalerzystów. Obok niego stał Zefirio, bawiąc się małą piłeczką, którą wyjmował kolejno z nosa, z kolana i ze słupa przy płocie... Była to jego najnowsza sztuka magiczna.

Jeźdźcy zbliżyli się tymczasem i zsiadli z koni. Było ich około czterdziestu.

Oficer, butny, młody człowiek, szeroki w barach i o ruchach świadczących o wielkiej zręczności i sile fizycznej zbliżył się ku stojącym:

- Witaj, senor Anzelmo Corti!

- Witaj, don Alvarez y Gonzano!

- Rad jestem widzieć was w dobrym zdrowiu!

- I ja również!..

- Przybywam, senor, w pewnej misji!

- Słucham!

- Doniesiono nam, że w tej okolicy krąży od niedawna Zorro. Mamy rozkaz księcia, aby zakwaterować się tutaj, w twojej hacjendzie, na kilka dni. Będziemy lustrować okolicę i czynić wypady! Proszę więc, senor, o łaskawe przydzielenie nam kwatery!

Corti skrzywił się nieznacznie. Czterdziestu ludzi - żarty!... Przewidywał spustoszenia w spiżarniach, jakie poczynią ci butni i rozwydrzeni żołdacy księcia... Nie śmiał jednak oponować. Nic by to nie pomogło, a naraziłby się niepotrzebnie na gniew tyranicznego wielkorządcy.

Przywołał więc swego majordoma i wydał odpowiednie rozkazy, zapraszając jednocześnie oficera na kolację.

Przy stole don Alvarez y Gonzano był niezwykle wesół. Działała nań podniecająco obecność pięknej Mercedes, która z uśmiechem odpowiadała na jego komplementy.

Zefirio próbował kilkakrotnie wtrącić się do rozmowy, lecz skarcony surowym spojrzeniem oficera, milkł.

Rozmowa zesłała na Zorrę.

- Dostanie się wreszcie w moje ręce! - zawołał don Alvarez. - Biada mu, pozna mnie wówczas!

- Nic dziwnego - wtrącił Zefirio - gdy jest was czterdziestu...

Oficer rzucił nań pogardliwe spojrzenie:

- Mam nadzieję - rzekł - że gdybyśmy się spotkali bez świadków nawet, sam na sam, poczułby z całą pewnością moją rękę na swym kołnierzu!

- Co pan mówi, oficerze? - zdumiał się Zefirio. - Przecież on ma bat, taki długi bicz z bawolej skóry!...

- Bicze istnieją tylko dla takich głupców jak pan, senor Zefirio - rzekł ostro don Alvarez. - I radzę, patrz lepiej w swój talerz, zamiast wypowiadać głupie uwagi.

Wszyscy zamilkli. Mercedes z trudem powstrzymywała się, by nie parsknąć śmiechem.

Zefirio nie przejął się zbyt obelgą. Spoglądał baraniami oczami przed siebie i kładł coraz większe kawałki jedzenia do ust.

Nocna wizyta

Wszyscy spali w hacjendzie, tylko Mercedes stała oparta o framugę okna i marzyła. Myślami wracała do przygody podczas podróży i obraz Zorry stawał jej przed oczami.

- Zbyt jestem romantyczna - rzekła do siebie wreszcie. - Ciągłe myślę o tajemniczym rabusiu... A

jednak... a jednak ciekawa jestem... jak wygląda w rzeczywistości. Maska przesłaniała jego rysy, widziałam tylko płonące oczy...

Wtem rozmyślania jej przerwał cichy dźwięk gitary. Tęskna i rzewna melodia płynęła z altanki w pobliżu okna. Mercedes wychyliła się nad słuchując ciekawie. Serce zaczęło walić w piersiach jak młotem. Z altanki, oświetlonej srebrzystym promieniem księżyca, wyszedł... Zorro! Tak, poznała jego gibką, wysmukłą postać w obcisłym stroju i chustkę związaną na głowie. Przebierając cicho struny gitary, zbliżył się do okna.

- Och, seniorito! - zabrzmiał melodyjny głos. - Nie śpisz jeszcze?.. Marzysz?.. Czy marzysz o dalekim kochanku... co...

Urwał i tęskna pieśń popłynęła, śpiewana głębokim i pięknym głosem.

Mercedes nie wierzyła własnym oczom, wydawało jej się, że śni. Zorro tutaj, pod jej oknem, wzdycha ku niej i śpiewa smętne piosenki hiszpańskie... Zorro - postrach południowej Hiszpanii, samotny jeździec, tajemnicza, żywa zagadka.

Tymczasem Zorro umilkł, spojrział w górę, chwycił za wystający w murze kamień i w ciągu jednej sekundy był już u framugi okna. Zanim Mercedes zdążyła wykonać jakikolwiek ruch, uczuła dotknięcie jedwabnej maski na swej twarzy- i gorące usta wpiły się w jej wargi! W tej samej chwili rozległ się strzał. Kula świsnęła tuż obok i utkwiała w ścianie pokoju.

Zorro już był na dole. Stał ręką czule całusy, ukazując przy tym dwa rzędy białych zębów w szerokim uśmiechu.

Podniesiono alarm. Zaspani żołnierze wysypali się z obór i stajen, Rozległ się okrzyk: - Zorro koło domu! - I żołnierze otoczyli dom.

- Uciekaj senior, na litość boską! - szepnęła Mercedes. - Żołnierze otaczają dom.

- Obawiasz się o mnie? - zawołał śmiejąc się. - A więc mnie kochasz!

- Uciekaj... uciekaj...

- A kazałaś strzelać do mnie wczoraj! - rzekł z wyrzutem.

- Boże... jesteś schwytyany!

Kilku żołnierzy skoczyło nań. Otrzymali kilka błyskawicznych uderzeń pięścią i potoczyli się na ziemię.

Świsnął bat raz i drugi.

Księżyc chował się za chmury.

Rozległy się przekleństwa i jęki.

Gdy po chwili księżyc znów się ukazał, pięciu żołnierzy wilo się na murawie, inni stali rzędem z szablami w ręku, gotowi do ataku. .

Zorro znikł.

- Ukrył się w domu! - zagrzmiął głos don Alvareza. - Piętnastu żołnierzy stanie pod oknami z pistoletem w ręku, a reszta za mną!... Przeszukamy dom od piwnicy do strychu.

Rzucili się ku drzwiom.

Wszyscy mieszkańcy byli już na nogach, wyrwani ze snu piekielnym hałasem. Zapalono lampy i rozpoczęły się poszukiwania.

Spenetrowano wszystkie zakamarki, don Alvarez się wściekał, lecz wszelkie wysiłki żołnierzy były daremne...

Wtem rozległo się potężne ziewnięcie. Do jasno oświetlonego salonu, gdzie byli zebrani wszyscy domownicy i gdzie pienieł się oficer, wszedł przeciągając się leniwie Zefirio. Spojrział sennymi oczami na zebranych i wybuchnął głośnym śmiechem, gdy wzrok jego padł na oficera:

- Ha, ha! A to ci heca! Bicz jest tylko dla głupich, tak pan powiedział, senior?

Teraz dopiero wszyscy zauważyli, że lewy policzek don Alvareza krwawił. Widniały na nim trzy pręgi... Znak Zorry - litera „Z”.

Oficer skoczył" blady jak trup:

- Ty durniu! Śmiesz kpić z oficera królewskiego?... Oto masz... Trzasnął go pięścią w piersi i biedny Zefirio legł jak długi na podłogę.

Mercedes ze wstrętem spojrziała na leżącego niedołęgę. Wychowana w środowisku wojskowym, miała kult dla bohaterów, ludzi śmiałych - nienawidziła tchórzy.

Zefirio, leżąc na podłodze, zaczął się śmiać głupio i rozgłośnie, szczerząc białe, równe zęby.

- Boże - szepnęła Mercedes. - Ten śmiech! Ten śmiech i te dwa rzędy białych, lśniących zębów!
Nagle przypomniała sobie: dwa rzędy śnieżnobiałych zębów Zorry, lśniących w poświacie księżycy. Musiała się głośno roześmiać, tak śmieszne wydało jej się to porównanie.

Don Alvarez spojrzął z pogardą na leżącego, odwrócił się doń plecami i wyszedł trzaskając drzwiami.

Zefirio wstał z podłogi, otrzepał starannie ubranie i rzekł:

- Śmiejesz się, kuzynko? Masz rację! Taki brutal, ten Alvarez, ale co dostał, to dostał, cha, cha! Pięknie wygląda z tym znakiem na policzku! Obalił mnie na ziemię uderzeniem pięści, ten impetyk! Jego szczęście, że byłaś przy tym, moja kuzynko, bo gdybym mu się odplacił pięknym za nadobne, nosiłby znaki na całym ciele! Lecz go nie tknąłem, gdyż mam co do niego pewien projekt... Cha, cha!

I wyszedł śmiejąc się na całe gardło..

Człowiek bez honoru, dotknięty na umyśle! pomyślała Mercedes.

Wiele by dała, żeby wiedzieć, co w obecnej chwili porabia Zorro...

Zefirio kontra Zorro

- Mam już tego dosyć! - rzekł Zefirio do Mercedes, zdobywając się na ton stanowczy. - Wszyscy kpią ze mnie, popychają, pomiatają! Nawet taki don Alvarez, brutalny żołdak, śmiał mnie uderzyć! Dotąd piersi mnie bolą od uderzenia. Nie, naprawdę, położę temu kres!

- Mój biedny kuzynku - rzekła Mercedes ze współczuciem. Natura nie była dla ciebie zbyt hojna. Obdarzając cię piękną postawą i urodą, nie dała ci nic więcej!

Kobiety, które nie kochają, potrafią być okrutne.

- To znaczy - westchnął Zefirio - że jestem niedołągą, niedorajdą i kompletnym głupcem!

- No, nie przesadzajmy! - próbowała go pocieszyć. - Nie każdy może być tak dzielny, waleczny, nieustraszony jak, dajmy na to, Zorro!

- Och, Zorro! Ten bandyta!

- Nieprawda! - oburzyła się Mercedes. - Zorro nie jest bandytą... Zorro walczy przeciwko tyranii wielkorządcy Aragonii. Nie tknie nigdy prywatnej własności. Zabiera tylko to, co tyran zagrabił biednym ludziom. I oddaje ludowi pieniądze.

- A więc to maniak!

- Nie! To bohater, mściciel pokrzywdzonych!

Twarz jej, gdy to mówiła, rozogniła się. Zefirio spoglądał na nią z nie ukrywaną ciekawością. Mercedes była piękna w tym podnieceniu.

Milczał chwilę, wreszcie rzekł:

- Bohater czy mściciel, wszystko mi jedno. Pokażę światu, że nie jestem znów takim niedołągą, za jakiego mnie uważają. Muszę Zorrę schwytać żywcem.

Mercedes zaniemówiła w pierwszej chwili, wreszcie wybuchnęła niepohamowanym śmiechem.

- Cha, cha! Och, Zefirio, ubawiłeś mnie! Chcesz schwytać Zorrę? To wspaniale!

- Tak, to będzie wspaniale! - rzekł Zefirio, usiłując przybrać dumną postawę. - A gdy go schwytam - dodał - poproszę cię o rękę, Mercedes.

- Możesz prosić, kochany Zefirio, ile razy ci się żywnie spodoba, ale dopiero po schwyтaniu Zorry; Zefirio popadł w zadumę, Po chwili ocknął się i rzekł:

- Nie, rozmyśliłem się!

- Co? Już zrezygnowałeś z Zorry?

- Nie, nie zrezygnowałem! Przyszła mi jednak myśl, że powinienem właściwie oświadczyć się przedtem. Gdy się pobierzemy, sama myśl, że mam tak piękną żonę, doda mi sił w walce z Zorrą.

Mercedes zbladła. Co też temu idiocie przyszło do głowy, pomyślała, a głośno zaś rzekła:

- Nie, mój drogi Zefirio, nie chcę mieć męża, o którym cała okolica mówi, że nie jest zbyt odważny. Pokonaj najpierw Zorrę, a potem zobaczymy:

Lecz Zefirio uparł się:

- Tak powiadasz? Nie wierzę ci, że w okolicy źle o mnie mówią! Będiesz moją żoną, i basta! Poskarżę się na ciebie generałowi i memu ojcu! Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Mercedes złożyła błagalnie ręce:

- Drogi, kochany Zefirio, nie uczynisz tego!
- Właśnie, że uczynię!
- Kiedy ja cię nie Kocham... jeszcze!
- Pokochasz!
- Nigdy!
- Cooo? Nigdy?... Czyżbyś kochała innego?
- Tak!

- To wikła sprawę!... Do diabła!... Przedkładasz innego mężczyznę nade mnie?... Czy może być piękniejszy, postawniejszy, dowcipniejszy niż Zefirio? A te sztuczki magiczne? Czy i ten inny pokaże ci podobne z monetą i chusteczką do nosa? Nie, prawda? A więc jestem więcej wart od niego! W moim towarzystwie nie będziesz się nigdy nudziła. O, nigdy! Zresztą ustąpię ci pod pewnym względem! Przyrzeknij mi, że zostaniesz moją żoną, gdy pokonam Zorrę lub gdy ten uzna się za pokonanego, a wówczas zaczekam z weselem!

- Przyrzekam ci! - zawołała Mercedes uradowana. - Przyrzekam ci, o śmiały i nieustraszony Zefirio, chlubo wszystkich młodych bohaterów...

- Zorro, biada ci! - ryknął Zefirio, klękając na jednym kolanie i wznosząc ruchem teatralnym prawą rękę ku niebu.

Zabawa w ciuciubabkę

Dolores, siostrzenica księcia, podróżowała karocą zaprzęgniętą w cztery konie.

Odwiedziła swych krewnych w Madrycie, a obecnie wracała do domu swego wujka, księcia Ramida y Carvalha.

Liczny oddział kawalerzystów eskortował karetę.

Zbliżyli się do małego miasteczka Colidad.

Mieścina ta znajdowała się w okręgu podlegającym władzy don Ramida. Widać to było zresztą po mieszkańcach. Ludzie wynędzniali, dzieci obdarte, domostwa zaniedbane, brudne. Nędza wyczierała z każdego zakątka.

Dolores zbyt była młodą, lekkomyślną i pustą dziewczyną, by spostrzec i zrozumieć nędzę i rozpacz mieszkańców. Z uśmiechem przyglądała się biegnącym obok dzieciom.

Karoca posuwała się powoli. Młoda dama rzucała cukierki i drobne miedziaki i bawiła się widokiem bijących się pomiędzy sobą dzieciaków.

Ludzie wychodzili z zaułków i stawali na drodze. Wychodzili z domów, sklepików, porzucali swą pracę przy warsztatach. Obojętni byli na wdzięk pięknej, młodej twarzyczki Dolores. Oczy ich gorzały nienawiścią, pięści zaciskały się na widok księżęcej karety, która stawała się dla nich symbolem ucisku i niesprawiedliwości. Tłum powiększał się z każdą chwilą, stawał się coraz groźniejszy. Lud zaczął podchodzić do karety ze wszystkich stron.

Oficer, dowodzący eskortą, zbliżył się do okna karety i rzekł nachylając się ku Dolores.

- Senorita, musimy jechać prędzej!
- Dlaczego? Wcale mi nie śpieszno!
- Grozi niebezpieczeństwo, seniorito!
- Niebezpieczeństwo? - zdziwiła się Dolores. - Jakie?

- Ludzie, którzy otaczają karocę, gotowi są lada chwila rzucić się na nas. Jest nas zbyt mała garstka, byśmy mogli oprzeć się rozjuszonej tłuszczy!

- Nie rozumiem! W jakim celu mieszkańcy tego spokojnego miasteczka mieliby na nas napadać?

Oficer zachnął się niecierpliwie.

- Trudno teraz wytłumaczyć, seniorito, dlaczego tłum chce nas poszarpać na kawałki. Dość, że sam widok karety z księżęcymi herbami na drzwiczkach wprawia ich w szal! Dałby Bóg, byśmy uszli bez szwanku!

- Wierzę ci, kapitanie! Trudno, niech stangret popędzi konie! Niestety, było już za późno. Tłum, groźnie pomrukując, otoczył karetę.

Żołnierze eskorty dobyli broń.

Rozległy się zewsząd okrzyki:

- Precz z tyranem!

- Śmierć krzywdzicielowi!

- Na latarnię dworaków książęcych!

- Na śmierć!... Bij, zabij!... Bierzemy karetę!

Ostatni ten okrzyk był decydujący. Dziesiątki par rąk chwyciły za cugle. Po obu stronach karety ukazały się groźne twarze.

Żołnierze zaczęli płazować tłum. Dolores, blada z przerażenia, wtuliła się w poduszki karety.

Nie wiadomo, jak by się ta scena zakończyła, gdyby coś innego nagle nie odwróciło uwagi rozjuszonego tłumu.

- Zorro! - padł nagle radosny okrzyk.

- Zorro pędzi ku nam!...

- Niech żyje Zorro! Hurra!...

W pewnej odległości rozległ się tętent galopującego konia. Zorro stał w strzemionach i w pełnym galopie strzelał z bata.

Na rozhukanym koniu, wywijając długim biczyskiem, w czarnej masce na twarzy wyglądał jak szatan, lecz szatan wesoły, śmiejący się całą gębą..

- Dzień dobry, chłopcy! - huknął. - Będziecie mieli wesołą Wielkanoc. Uwijajcie się, tylko żywo... Mam dla was dwa wory pełne złota!

Stanął na siodle. Koń jak z kamienia wykuty. Zorro wołał dalej:

- Uwaga chłopcy! Nie będę, niestety, dawał pieniędzy każdemu z osobna. Zbyt mało mam czasu na to... Pędzi w pogoni za mną większy oddział żandarmerii i wojska. Za chwilę tu będą... Nie martwcie się jednak; będę rzucał złoto, każdy niech łapie...

Dolores, która była świadkiem tej sceny, przyglądała się postaci Zorrry szeroko otwartymi ze zdumienia oczami. Zapomniała o niebezpieczeństwie, jakie przed chwilą jej zagrażało, zapomniała o wszystkim na świecie, chłonąc obraz i słowa tajemniczego jeźdźca.

Widziała go po raz pierwszy w życiu, tego zamaskowanego młodzieńca, o którym krążyły w kraju legendy. Widziała po raz pierwszy tego płomiennego mężczyznę tryskającego radością życia, humorem i beztroską. I po raz pierwszy w swym życiu - młodej, pięknej arystokratki - uczuła gwałtowne bicie serca, które przypawiło ją o silny zawrót głowy. Nie zdawała sobie sprawy z przyczyny wzruszenia, jakie ją ogarnęło, nie był to przestach ani zgroza, o nie! Raczej jakieś niepokojące, a jednak słodkie uczucie zawładnęło jej sercem.

Wtem okrzyk przestachu wyrwał się mimo woli z jej piersi. Liczny oddział wojska wpadł z impetem na rynek, gdzie Zorro, otoczony tłumem, rozrzucał pełną garścią złoto.

Żołnierze zaczęli płazować tłum, torując sobie drogę do Zorrry. I oto rozegrała się scena niewiarygodna, dziwna, a jednak komiczna. Plac rynkowy podobny był w tej chwili do olbrzymiej szachownicy, na której poruszają się pomieszane z sobą białe i czarne pionki.

Żołnierze w rozsypce, każdy na własną rękę, uganiaли się za młodzieńcem w czarnej masce.

Tłum przewijał się pomiędzy żołnierzami, chwytając monety, które Zorro w galopie rzucał hojną ręką, przemykając się zwinnie pomiędzy żołnierzami.

I tak gonili się nawzajem: żołnierze za jeźdźcem i biedni ludzie za złotem, nie zwracając na siebie najmniejszej uwagi.

Niejednokrotnie koń wojskowy obalił na ziemię nieuważnego człowieka ludu, niejednokrotnie też Zorro omal nie wpadł w ręce jednego z prześladowców, zawsze jednak bicz z bawolej skóry ściągał w porę śmiałka z siodła na ziemię.

Zabawa, jaką sobie urządził Zorro, była jakby ciuciubabką na olbrzymią skalę, z tą tylko różnicą, że główna postać nie miała zawiązanych oczu, żołnierze zaś sprawiali wrażenie gromady ślepców czyniących rozpaczliwe wysiłki, by pochwycić węgorza.

Gdy ostatnia moneta padła na ziemię, Zorro uniósł się na siodle i zawołał:

- Adios, moje zuchy! Do zobaczenia w niedalekiej przyszłości...

Odpowiedziały mu okrzyki: „Hurra, Zorro!” oraz wściekły ryk żołnierzy książęcych.

Zorro smagnął konia, zrzucił z siodła jeszcze dwóch żołnierzy, którzy mu zastępowali drogę, i pognął przed siebie.

Droga jego prowadziła obok karety. Mijając jak wichur Dolores, ukazał zęby śnieżnej białości i rzucił głośno:

- Adios, señorita Dolores...

Dolores zadrżała:

- Zna moje imię!... Zorro zna mnie!

Wyzwanie Zorry

Po wsiach, miasteczkach i osiedlach Aragonii ludzie pękali ze śmiechu.

Jedna nowina była na wszystkich ustach!

- Zefirio wyzwał Zorrę!

Dwie przeciwności: głupiec, niedołęga i tchórz oraz tajemniczy jeździec, człowiek o diabelskiej zrzeczności, sile i odwadze.

Było się z czego śmiać. Do hacjendy Anzelma Cortiego zjeżdżali się ludzie ze wszystkich stron, by popatrzeć na to dziwo.

Lecz Zefirio znikł z domu.

Książę Ramido był pewnego rana w bardzo złym humorze. Straty, jakie mu wyrządził Zorro swymi napadami, były znaczne. Ten szatan pojawiał się wszędzie. Najsilniejsza eskorta wojskowa nie peszyła go. Zdawał się szydzić z niebezpieczeństwa. Zjawiał się, zabierał pieniądze, jakby swoje, i znikał... Co tu robić? Jak unieszkodliwić niebezpiecznego opryszka? Książę chwycił się wszystkich możliwych środków: sprowadził dodatkowe oddziały policji i żandarmów, wyznaczył cenę za głowę rabusia, szpiedzy krążyli po wszystkich zakamarkach.

Wszystko było na próżno. Bezcelność Zorry przekroczyła dziś wszelkie granice. Książę otrzymał list następującej treści:

Senor Ramido y Carvalho! Po raz ostatni zwracam się do Ciebie: daj spokój pracującemu ludowi. Podatki, które ściągasz w sposób tak brutalny, pogłębiają nędzę ludu Aragonii. Niewinni jęczą w więzieniach - sam nawet nie wiesz, za co ich więzisz! Wypuść biedaków na wolność, wymierzaj podatki sprawiedliwie, a wybaczę Ci wszystkie Twe przewinienia. Nastąpi między nami zgoda! Widzisz, że wyciągam do Ciebie przyjazną dłoń. Jest to ostatnia Twoja szansa! Jeśli trwać będziesz nadal w swym głupim uporze - wiesz co zrobię? Osmagam Cię jak zwykłego poganiacza mulów, podpalę pałac i zabiorę Ci wszystko, co tylko masz cennego! Więc wybieraj, co wolisz? Przyjaźń czy też walkę bez pardonu?

Uniżony Twój sługa

Zorro

- Liano - rzekł książę do swego sekretarza. - Poleć natychmiast, by ogłoszono w całej Aragonii, że potrajam cenę za głowę Zorry.

Mówił na pozór spokojnie, lecz drżał wewnątrz z hamowanej wściekłości.

Sekretarz zanotował polecenie księcia, uklonił się i wyszedł, lecz wrócił niebawem:

- Wasza wysokość - rzekł. - Zefirio Corti pragnie mówić z waszą wysokością.

Książę zachmurzył się. Przez głowę przemknęło wspomnienie owego wieczoru, gdy Zefirio porównał go do brodatego kozła. Lecz książę rozpogodził się prawie natychmiast. Śmieszne gniewać się na głupca, pomyślał. Zresztą rozmowa z nim rozweselił mnie cokolwiek i pozwoli zapomnieć o tym przeklętym opryszku.

- Wpuść go - rzekł do sekretarza.

Zefirio wszedł zginając się w przesadnie głębokim ukłonie. Gdy się wyprostował, książę dostrzegł na jego obliczu wyraz dumy, wskutek czego wyglądał na głupszego niż zwykle.

- Witaj mi, señor Zefirio! - rzekł książę z udaną powagą. - Czemu mam zaszczyt zawdzięczać twą wizytę?

- Przede wszystkim, mości księżę, zanim wyłuszcze swą sprawę, pragnę przeprosić waszą wysokość!

- Przeprosić?

- Tak, mości księżę! Wy tłumaczono mi, że postąpiłem w sposób obraźliwy porównując waszą wysokość do brodatego kozła! Przyszedłem błagać o przebaczenie mi tego nietaktu! Rzeczywiście konstatuje z zadowoleniem, że wasza wysokość nie jest podobny do kozła. Kozioł miał brodę szarej barwy, wasza wysokość zaś ma brodę czarną jak smoła. Brałem wówczas pod uwagę pewne podobieństwa rysów waszej wysokości i owego brzydko pachnącego zwierzęcia, gdybym porównał wówczas obie brody, nie...

- Dostyc! - krzyknął zdenerwowany księżę. - Dostyc tego wałkowania historii o czarnym kozle... Wybaczam chętnie, senor, i nie chcę więcej o tym słyszeć!...

- Według życzenia waszej wysokości! - rzekł kłaniając się nisko Zefirio. - A teraz druga sprawa.

Przysunął fotel i usiadł.

- Mości księżę - rozpoczął - nie będę się rozwodził nad tym, co mam zakomunikować. Otóż postanowiłem schwytać żywcem Zorrę.

- Słyszałem! - rzekł księżę, powstrzymując się od śmiechu. - Taak? - zdziwił się Zefirio. - A to skąd?

- Wszyscy mówią o tym, podziwiając twą odwagę, senor!

- Słusznie! Bo też jestem szalenie odważny! Lew, w porównaniu ze mną, to zajac, to królik, to... - Przerwał, albowiem księżę nie mógł powstrzymać się od śmiechu. - Jaki jest powód wesołości mości księcia, jeśli wolno zapytać?

- Głupstwo, młodzieńcze! Nie zwracaj uwagi - pośpieszył z wyjaśnieniem księżę. - To u mnie nerwowe! Od czasu do czasu okazuję swe zadowolenie w ten sposób!

- Wszyscy mniemali dotychczas - ciągnął dalej Zefirio - że jestem tchórzem i głupcem. Jakże się mylili! Dowiodę, że to były pozory tylko, bo w rzeczywistości jestem dzielny, dumny, wzniosły!... - Wybuch śmiechu przerwał znów natchnioną przemowę Zefiria. Zaczekał cierpliwie, aż księżę skończył się śmiać i dokończył: - ... i zakochany!

- Zakochany?

- Tak, bez pamięci, do utraty. tchu...

- Czyżby? Aż do takiego stopnia?

- Tak! Do tego stopnia! I dlatego też oświadczam, mości księżę: uwolnię cię od twojego najbardziej zawziętego wroga pod warunkiem, że po ujęciu Zorry...

- Słucham...

- Wydasz za mnie piękną Dolores, swą siostrzenicę.

Tym razem księżę pokładał się wprost ze śmiechu. Minęło sporo czasu, zanim się uspokoił.

- Okazałem w ten sposób moje najwyższe zadowolenie - rzekł. - Ziściło się bowiem to, o czym marzyłem dla swej siostrzenicy od dawna. Pragnąłem zawsze, by wzięła sobie za męża takiego właśnie jak ty, dzielnego i rozumnego młodzieńca! - Dodał uśmiechając się chytrze: - I wiesz co, senor? Powiem ci w tajemnicy: Dolores wyznała mi, że jest zakochana po uszy właśnie w tobie. Teraz tylko od ciebie zależy, byście się porozumieli co do dnia ślubu! Oto moje błogosławieństwo! Idź do niej, znajduje się w swych pokojach!

Zefirio uklonił się głęboko i wyszedł.

Gdy drzwi zamknęły się za wychodzącym, księżę znów dał upust swej, wesołości:

- Cha, cha! - śmiał się. - Toż dopiero zabawa rozpocznie się za chwilę. Zemściłem się za tego kozła. Nie jestem księciem Ramidem y Carvalhem, jeśli ten dureń wyjdzie z pałacu cały po konferencji z senioritą Dolores, moją „łagodną” siostrzenicą.

Zefirio bliski zwycięstwa

Od dłuższego czasu widziano Zefiria, jak przebiegał ze strzelbą na ramieniu stępy i lasy okoliczne. Widziano również, jak zaplątawszy się w wysokiej trawie lub przeskakując przez wąskie strumyki padał nosem na ziemię.

Zorro nie ukazywał się od dłuższego czasu. Zefirio opowiadał z dumą, że Zorro się złąkł.

Spotkała go też nieraz niemiła przygoda. Napotykanymi wieśniacy, dla których Zorro był bohaterem, słysząc przechwałki Zefirio, rzucali się nań z pięściami lub kijem, usiłując wpoić weń szacunek dla dobroczyńcy ciemniejszego ludu Aragonii.

Zefirio brał zazwyczaj nogi za pas, a uciekał tak prędko, że trudno go było dogonić.

Pewnego dnia księżę spostrzegł głupca kręcącego się koło pałacu. Kazał go przywołać.

- Cóż Zefirio! - kręcisz się w pobliżu swej bogdanki?

- Nie, mości księżę! - szepnął Zefirio tajemniczo. - Widziałem Zorrę koło pałacu!

Dreszcz przeszedł księcia.

- Widziałeś Zorrę? - zapytał gorączkowo. - Nosił maskę?

- Nie! Był bez maski!

- Poznałeś go?

- Tak jakbym poznał samego siebie w lustrze! - rzekł kłaniając się nisko.

Gdy Zefirio odszedł, księżę rozkazał podwoić straż wokół pałacu. Nie wierzył zbyt temu, co mówił Zefirio, lecz wolał mieć się na baczności.

Wieczorem pałac jednak został podpalony z czterech stron. Daremnie straż przyboczna i wojsko walczyli z ogniem – pałac spłonął do szczętu nad ranem.

Najbardziej gorliwy przy gaszeniu pożaru był Zefirio. Prawdę mówiąc, więcej przeszkadzał, niż pomagał. Nazajutrz księżę otrzymał list następującej treści:

Mości Księżę! Pałac spłonął! Na tym poprzestaną na razie, jeśli wsadzisz Zefirio do więzienia! Jest on jedynym człowiekiem, który widział mnie bez maski!

Twój uniżony sługa

Zorro

Don Alvarez triumfował. Raport wysłany do Madrytu odniósł skutek. Niebawem nadeszła odpowiedź w formie rozkazu:

Do wszystkich oddziałów wojska, żandarmerii i policji.

Ja, królowa Hiszpanii, Kastylii, Indii itd. rozkazuję, by niezwłocznie oddać się do dyspozycji kapitana don Alvarosa y Gonzano celem schwytania bandyty przezwiskiem Zorro.

Podpisano: Ja, królowa Izabella II.

W tym rozkazie pominięty został don Ramido y Carvalho, gdyż jako wielkorządca nie mógł dać sobie rady z człowiekiem w czarnej masce. Więc don Alvarez triumfował. W swej rozgnionej wyobraźni widział siebie prowadzącego Zorrę na łańcuchu. Widział siebie na miejscu don Ramida, wielkorządcy. Nie zwlekając wydał odpowiednie rozkazy i kampania rozpoczęła się.

Wszystkie transporty pieniędzy skarbowych otrzymały niewielką eskortę. Lecz była to tylko pułapka dla Zorry. Nieco dalej postępowały silne oddziały wojska, policja zaś i żandarmeria _ poprzebierana za chłopów - krążyła niezmordowanie w pobliżu.

Don Alvarez przeprowadzał systematyczne oblawy i niespodziewane rewizje w hacjendach, chatach wiejskich i podejrzanych domach miasteczek Aragonii. Saragossa, stolica Aragonii i miejsce pobytu księcia, nie była wyłączona spod kontroli Alvarosa.

Na drogach publicznych rewidowano wszystkich napotkanych młodych 'ludzi, których wygląd przypominał Zorrę.

Silny oddział dążył drogą prowadzącą do Huesco. Był pogodny poranek i powietrze nie straciło jeszcze swej nocnej świeżości.

Oddziałem tym dowodził sam don Alvarez. Jechał konno na przedzie, niewyspany i nachmurzony.

Tej nocy w okolicy Huesco, korzystając z ciemności, Zorro zrabował pieniądze wysłane królowej. Nikt z eskorty nie wiedział, jak to właściwie się stało. Wyrósł jak spod ziemi koło wozu, powalił uderzeniem pięści strażników i zrabował złoto - nie krępując się wcale obecnością licznych żołnierzy. Stało się to tak cicho, że dopiero wszczęto alarm, gdy strażnicy odzyskali przytomność.

Jechali w milczeniu. Mijając zagajnik, jeden z sierżantów dojrzał postać ludzką znikającą pomiędzy drzewami.

Kilku żołnierzy puściło się w pogoń. Trzymając broń w pogotowiu, wpadli w zagajnik.

Jeden z nich wyprzedził pozostałych. Nagle do uszu jego dobiegł okrzyk:

- Zorro, poddaj się, bo strzelam!

Ujrzał spomiędzy zarośli wystającą lufę, rzucił broń i podniósł ręce do góry, wołając:

- Ależ senor, ja nie jestem Zorro!

Nadbiegli inni trzej żołnierze i pod groźbą wycelowanej lufy, musieli również rzucić broń i podnieść ręce do góry.

- Ha! trzymam was również, pomocnicy Zorry.

- W tył zwrot i marsz przed siebie! - rozległ się surowy głos niewidzialnej postaci.

Jakież było zdumienie don Alvareza i całego oddziału, gdy ujrzeli wyłaniających się z zagajnika czterech żołnierzy z podniesionymi do góry rękami. Za nimi, trzymając strzelbę w pogotowiu, ukazał się... Zefirio!

Don Alvarez smagnął konia i dopadł dziwnej grupy.

- Co to wszystko znaczy? - zawołał gniewnie.

Twarz Zefiria rozjaśniła się uśmiechem radości.

- Aaa, senor Alvarez! Witaj mi, przyjacielu! Oddaję ci Zorrę i jego trzech sojuszników!

- Czyś oszalał, człowieku? - krzyknął don Alvarez. - Czy jesteś ślepy? Przecież to nasi żołnierze, nie widzisz mundurów?

- Rzeczywiście... - przyznał Zefirio. - A jednak Zorro i jego szajka mogli się przecież przebrać! Trudno się nie pomylić, jeśli jeden z żołnierzy swym wyglądem tak przypomina Zorrę. - Wskazał na żołnierza, który był szczupły i smagły na twarzy i rzeczywiście nieco podobny do ściganego młodzieńca w masce.

Cały oddział nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Wszystkim Zefirio był znany i wiedzieli, co mają o nim sądzić. Don Alvarez rozchmurzył się. Ten Zefirio był naprawdę rozbrawający.

- Potrójny głupcze! - zawołał. - Jeśli mamy brać do niewoli każdego, kto ma podbródek lub wzrost Zorry, to musiałbym chyba i ciebie wpakować do więzienia, bo ty i Zorro jesteście podobni do siebie jak dwie krople wody.

- Tak, wiem o tym - rzekł z dumą Zefirio. - Mówiono mi już nieraz, że podobny jestem do niego!... Ale ja jestem dzielniejszy...

Ogólny wybuch śmiechu był odpowiedzią. Żołnierze omal nie pospadali z koni.

Don Alvarez odwrócił się na siodle i huknął groźnie:

- Cicho tam w szeregach!

- Pozwól im, kapitanie, niech się śmieją! Jest to przejaw uznania dla mnie. Waleczni wojacy zawsze darzą sympatią takich ludzi jak ja, ludzi nieustraszonych!...

Teraz i don Alvarez nie mógł utrzymać należytej powagi. Gdy się przestał śmiać, Zefirio rzekł z wdzięcznością:

- Dziękuję ci, kapitanie! Byliśmy w niezgodzie, lecz zawsze wiedziałem, że poznasz się na mnie wreszcie... A teraz mam do ciebie jedną prośbę, kapitanie...

- Pułkowniku, zostałem bowiem mianowany pułkownikiem!

- Ach... wiesz z całego serca! A więc pułkowniku, mam do ciebie wielką prośbę...

- Słucham!

- Pozwól, bym ci towarzyszył... chcę wziąć udział w wyprawie.

- Niemożliwe! Nie mamy zapasowych koni.

- Mam swego rumaka!

- Masz? Gdzie?

- W tym zagajniku. Uwiązałem go.

- Sprowadź więc!

Zefirio znikł pomiędzy drzewami i wkrótce zjawił się ciągnąc za sobą zwierzę.

Nowy wybuch śmiechu powitał „rumaka” Zefiria.

Był to muł.

- Na Boga, człowieku! Nie chcesz chyba na mule podążać wraz z oddziałem?
- Dlaczego? Przecież on jest ładny! Podobny zupełnie do konia!
- Tak, lecz muł jest zbyt powolny. Nie nadąży za oddziałem... - Nie nadąży?
- Nie! Pozostanie daleko w tyle!
- Mam na to radę!
- Jaką?

- Rozkaż twym żołnierzom, by poczekał tutaj, ja zaś pojedę przodem co koń wyskoczy, przepraszam, co muł wyskoczy. Otóż gdy ujadę jakieś dziesięć mil, będziecie mnie doganiać. Gdy mnie już dogonicie, zatrzymacie się znów na jakąś godzinę, a ja znów pognam, co muł wyskoczy. W ten sposób nie pozostanę w tyle. - I dodał z dumą: - No co? Zły pomysł?

Noc zapadła. Wóz wiozący złoto stanął. Żołnierze zsiadli z koni i rozłożyli obóz w polu..

Wóz został wzięty w środek. Don Alvarez rozstawił wartę. Wszyscy pokładli się na rozesłanych derkach i po pewnym czasie zasnęli, z wyjątkiem wartowników.

Jakiś cień poruszył się w pobliżu wozu. Był to Zorro, który czołgał się po ziemi. Dotknął ręką koła i wstał. Ostrożnie rozchylił płótno zasłaniające tył budy i zwinnie wślizgnął się do środka.

Rozległy się dwa tępe uderzenia, po czym nastąpiła cisza. Płótno znów się rozchyliło i Zorro bezszelestnie wylazł z wozu. Poprawił chustkę na głowie oraz maskę na twarzy i wyciągnął z wozu ciężki worek. Następnie wyciągnął szeroki nóż zza pasa ukląkł i zaczął ryć ziemię. Po chwili zagłębienie zostało wykopane.

Ujął worek, rzucił do środka i przysypał ziemią, uklepując starannie.

Praca została skończona. Zorro, sunąc twarzą przy ziemi, oddalił się od wozu.

Minął czas pewien. Wtem rozległ się strzał wśród ciszy nocnej i głośny okrzyk:

- Do broni!... Zorro!...

Żołnierze skoczyli na nogi, chwytając za broń.

Don Alvarez, z pistoletem w rękę, pobiegł w stronę, skąd dochodził krzyk.

Zefirio stał na skraju obozu, ze strzelbą w rękę i krzyczał na całe gardło:

- Do broni!... Zorro!... Zorro!... Do broni!...

- Gdzie Zorro? - zawołał don Alvarez potrząsając silnie Zefirio. - Gdzie go widzisz?

- Pobiegł w tym kierunku!

- Skąd wiesz, że to był Zorro?

- Leżałem z otwartymi oczami, nie mogąc zasnąć. Nagle ujrzałem cień skradający się w stronę wartowników. Na razie zaniemówiłem, lecz gdy odzyskałem głos, chwyciłem za strzelbę i wypaliłem. Cień skoczył i pognął w tę oto stronę.

Don Alvarez był wściekły:

- Budzisz cały obóz niepotrzebnie! Przecież rozstawiłem gęsto wartowników, wąż by się nie przemknął. Prócz tego żołnierze śpią dookoła wozu z pieniędzmi. Zorro nie jest duchem... Daj spać ludziom, przywidzenia i halucynacje zostaw dla siebie, w przeciwnym bowiem razie, będę zmuszony przepędzić cię na cztery wiatry.

- A jednak widziałem Zorrę - upierał się Zefirio. - Skradał się od strony wozu.

Don Alvarez szedł już do swego namiotu, lecz ostatnia uwaga Zefirio zatrzymała go w pół drogi.

- Dowiodę ci, Zefirio, żeś głupiec! - rzekł. - Chodź ze mną do wozu, sprawdzimy, czy wszystko w porządku.

Wziął latarnię od żołnierza i poszli.

Po chwili rozległy się okrzyki pełne wściekłości i przerażenia.

Dwaj strażnicy, pilnujący złota, leżeli bez przytomności na dnie wozu. Worek znikł. Na płótnie budy wycięte zostały trzy podłużne otwory w kształcie litery „Z”.

Senor Pablo Ravales

Było pochmurne popołudnie. Deszcz lał przez całą noc i ziemia całkiem rozmiękła. Tu i ówdzie woda tworzyła olbrzymie kałuże nie do przebycia.

Anzelmo Corti wyszedł z patia, kazał zaprząć wózek dwukołowy i pojechał obejrzeć plantacje.

Wszystko było w porządku, ulewa nie wyrządziła żadnych szkód.

Wracał do domu w dobrym humorze.

W oddali za nim na drodze uniósł się tuman kurzu. Kareta podróżna, zaprzężona w sześć koni, sunęła dość szybko.

Po chwili zrównała się z pojazdem, w którym siedział Corti.

- Hej, senor! - rozległ się okrzyk tuż za nim. - Wskaż mi, proszę, gdzie tu mieszka Anzelmo Corti?

Senor Anzelmo odwrócił głowę. Z okna karety patrzył nań jakiś jegomość ubrany po miejsku; akcent wskazywał mieszkańca Madrytu. Mógł mieć około lat pięćdziesięciu pięciu. Siwizna mocno przyprószyła jego skronie. Oczy prawie nieruchome, klujące, natarczywe, wywierały niemiłe wrażenie.

Wraz z nim w karecie byli jeszcze dwaj mężczyźni. Twarzy ich nie można było dojrzeć, siedzieli bowiem w głębi.

- To ja nim jestem! - odpowiedział uprzejmie Anzelmo.

- Ach, co za szczęśliwy traf! - zawołał nieznajomy. - Woźnica, zatrzymać konie!

Karoca zatrzymała się i ów jegomość lekko zeskoczył na ziemię. Trzymał się doskonale jak na swój wiek i jego wysoka, barczysta postać znamionowała niepospolitą siłę fizyczną.

Szybkim krokiem zbliżył się do wózka Cortiego i rzekł wyciągając rękę na przywitanie..

- Nazywam się Pablo Ravales, handel dobrami ziemskimi, kupno i sprzedaż!

Corti ujął podaną dłoń i rzekł:

- Sądzę, iż macie jakiś interes do mnie, senor. Nie będziemy rozmawiali na drodze, nieprawdaż?

Proszę, siadźcie, senor, razem ze mną, podwiozę was.

Pablo Ravales usiadł na ławeczce obok Cortiego i wózek ruszył. Karoca podążała za nimi.

Po drodze Pablo Ravales ciekawie rozglądał się w obie strony, wreszcie rzekł:

- Czyje to plantacje, te z lewej strony drogi?

- Moje!

- A te z prawej?

- Również moje!

- Ten gaj przed nami?

- Wszystko tutaj należy do mnie!

Pablo Ravales ziewnął ostentacyjnie:

- Nno tak! - rzekł od niechcienia. - Szmat ziemi, ale grunt tutaj nie szczególny. Widziałem lepszy w Andaluzji, Estramadurze...

- Taki jaki jest, wystarczy mi najzupełniej.

- Dlaczego tak mówicie, senor? Człowiek dzielny i przedsiębiorczy nie powinien nigdy zadowalać się tym, co ma, ale zawsze musi szukać lepszego.

- Zależy od charakteru! Co do mnie, nie uskarżam. się!

Dojechali do domu.

Karoca stanęła również, drzwiczki się otworzyły i wysiedli z niej dwaj mężczyźni.

Corti na ich widok zmarszczył czoło, lecz uprzejmość hiszpańskiego hidalga wzięła górę. Uśmiechnął się przyjaźnie i wyciągnął rękę na powitanie ku przybyłym.

Rzeczywiście, wygląd obu tych panów nie budził zbyt dużego zaufania. Wysocy, muskularni, odziani z wyszukaną elegancją, oblicza mieli desperadosów - zbójów!

Szamerowane złotem kurtki, obcisłe, jedwabne spodnie, szerokie, czerwone pasy z cienkiego materiału, czarne hiszpańskie kapelusze ci la torrero w cywilu - ostatni krzyk ówczesnej mody - nie zdołały zatuszować ordynarnych ruchów i bestialskich twarzy.

- Mój sekretarz - rzekł senor Pablo, wskazując draba o jednym oku... - A to mój mierniczy.

Obaj skłonili się w milczeniu.

Anzelmo zaprosił wszystkich do środka. Po chwili siedzieli w gabinecie pana domu, paląc długie cygaretki.

Ravales przystąpił do sprawy.

- Jak wam już mówiłem, senor, jestem kupcem, handluję dobrami ziemskimi. Staram się zawsze zadowolić mych klientów, choćbym nawet sam miał przy tym stracić. Opinia firmy to grunt, do tysiąca diablów! Otóż przed tygodniem zgłosił się do mnie stały mój klient, wielki dziwak, mówiąc między nami, i oświadczył mi, że pragnie nabyć posiadłość ziemską w Aragonii, pomiędzy Huesco a Saragossą. Teren jest bardzo biedny, jałowy, rzekłem do niego. To nic, odparł, nie chodzi mi o zysk, ot, strzeliło mi do głowy, że osiedlę się w tamtych stronach. Bardzo mi się podobała posiadłość senora Anzelma Cortiego. Wpłyn na niego, by mi ją sprzedał. O cenę nie dbam - zapłacę, ile zażąda. Proponowałem mu grunty w innej prowincji, olbrzymie, żyzne obszary, które mógłby kupić za bezcen, ale nie chce słyszeć nawet. No, co pan na to, senor Anzelmo?

- Hm, to bardzo ciekawe.

- Nieprawdaż? Otóż wystarałem się o informacje. Pańskie posiadłości, wszystko razem wzięte, warte są z górą milion peso, czy tak?

- Nie więcej, rzeczywiście.

- A więc mój klient proponuje półtora miliona, słyszy pan, senor Corti?

- Hm, piękna suma...

- Więc zgoda? Podpiszemy cesję...

- Hola, powoli mój panie. Nie mówiłem przecież, że sprzedam...

- Senor Corti... Półtora miliona, mój klient da nawet dwa miliony! Za te pieniądze zobowiązuję się dostarczyć ci dwa razy większą posiadłość w żyznej okolicy...

- Na próżno, senor Pablo Ravales! Ziemia ta należała do mych dziadów i pradziadów, nie mogę jej sprzedać, gdyż tak jak mi ją przekazał mój ojciec, muszę przekazać ją memu synowi.

- Brednie. Dwa: miliony, powiedzmy dwa i pół miliona, to już nie do pogardzenia. Pański syn; sądę, byłby rozsądniejszy.

- Mój syn? Możliwe. Jeśli chce pan wiedzieć, senor Pablo, to syn mój miałby tu więcej do powiedzenia niż ja. Jestem już stary, pożyję może jeszcze kilka lat, mój syn zaś całe życie ma przed sobą. Gdy zechce po mojej śmierci...

- Nie obchodzi mnie daleka przyszłość, senor - rzekł Pablo Ravales, wstając. - Polecono mi kupić posiadłość dzisiaj, więc tylko dzień dzisiejszy mnie interesuje.

- Ha, trudno! Nic na to nie poradzę.

Senor Pablo nachmurzył się, dwaj inni spojrzeli na siebie.

- Senor Corti, ziemię tę muszę mieć, honor mej firmy jest najważniejszy. - Podniósł głos: - Czy chcesz, czy nie chcesz pan, zmuszę cię do sprzedaży, lecz wówczas ja będę dyktował warunki!

Anzelmo Corti wstał również.

- Cóż to, grozisz mi, senor? Chybiłeś celu, pogróżek się nie ulękne...

Wtem w drzwiach rozległ się zaspany głos:

- Ojczy, dlaczego mówisz o pogróżkach? Czy oni ci grożą?

Był to Zefirio. Wstał dopiero z łóżka, kołnierz koszuli miał rozpięty i włosy w nieładzie. - Ziewnął przeciągle raz i drugi. Anzelmo w krótkich słowach wyłuszczył mu całą sprawę.

Zefirio uśmiechnął się głupkowato, wlepił w obcych swe baranie oczy i rzekł:

- Dziwię się, ojczy, że odrzucasz tak ponętną propozycję. Dwa i pół miliona peso, ho, ho! Wobec takiej sumy, o Madonno del Pilar, można zapomnieć o dziadach, pradziadach i wszystkich przodkach od Adama i Ewy poczynając.

- Więc radzisz? - zapytał Anzelmo zdumiony.

- Ależ tak, mój ojczy! Przeniesiemy się w lepsze okolice. Ród nasz rozpocznie nowy żywot na nowym miejscu, gdzie i ty zostaniesz swoim własnym przodkiem, takimże samym pradziadem rodu Cortich za jakieś sto lat.

Pablo Ravales słysząc te słowa, z trudem ukrył swą radość. Towarzysze jego uśmiechnęli się szeroko.

Zefirio ciągnął dalej:

- Tylko że taka przeprowadzka wymaga wiele, bardzo wiele pieniędzy! Senor, daj dziesięć milionów i bierz ziemię.

Pablo podskoczył jak oparzony.

- Czyś oszalał, młody człowieku? Dziesięć milionów, ależ to szaleństwo!

- Wobec tego nie sprzedajemy! - uparł się Zefirio.

Pablo Ravales stracił panowanie nad sobą.

- Sprzedacie, mówię wam! I sprzedacie poniżej ceny! Już ja was do tego zmuszę! Zobaczycie, z kim macie do czynienia! Kupię ją za pół miliona i będziecie mi jeszcze dziękować.

- Chodźmy - zwrócił się do swych towarzyszy.

- Chwileczkę, senior! - rzekł Zefirio. - Sprzedamy ci całą posiadłość za pół miliona!

- Cooo?

Pablo osłupiał, sądząc, że Zefirio dostał pomieszania zmysłów... Anzelmo poruszył się niespokojnie, Zefirio uspokoił go jednak nieznacznym ściśnięciem ręki.

- Tak, sprzedamy ziemię, ale pod jednym warunkiem. Czy umiesz grać w morę, senior?

Wszyscy trzej spojrzeli na siebie zdumieni w najwyższym stopniu.

Mora - to prastara gra hiszpańska. Wymaga bystrego oka, zimnej krwi i zręczności partnerów. Dwaj grający siadają za stołem naprzeciw siebie. Każdy z nich chowa prawą rękę, zaciśniętą w pięść, pod stołem. Na dany sygnał obaj wyciągają błyskawicznie pięść przed siebie i prostują palce. Sztuka polega na tym, że gdy partner prowadzący grę prostuje dwa palce, drugi błyskawicznie musi odpowiedzieć prostując trzy palce, gdy jeden prostuje cztery, drugi partner prostuje natychmiast jeden palec, uzupełniając ogólną liczbę pięć.

Gra odbywa się z błyskawiczną szybkością i trzeba mieć szaloną wprawę, by się nie pomylić. Omyłka - to przegrany punkt, opieszałość w odpowiedzi - również strata punktu. Prowadzi grę ten, który wygrywa punkt.

- A więc zgoda? - rzekł Zefirio. - Zagramy w morę o te pół miliona. Jeśli wygram, zabieram pieniądze; jeśli zaś przegram, bierzesz ziemię.

- Dobrze! - rzekł Pablo, siadając. - Gramy do stu punktów.

Kto prowadzi?

- Ustępuję ci ten zaszczyt, senior! - rzekł Zefirio. - Zrobię jeszcze to ustępstwo: pomimo przegranych punktów, cały czas będziesz ty prowadził.

Był to warunek niesłychanie ciężki dla Zefiria. Nadawanie liczby nie jest rzeczą trudną - odpowiadanie zaś wymaga żelaznych nerwów i bystrości nie lada.

Teraz wszyscy trzej uważali go za skończonego wariata. Tylko Anzelmo Corti uśmiechał się tajemniczo.

- Rozpoczynamy! - rzekł Pablo.

- W tej chwili! - odparł Zefirio. - Ale nie wszystko jeszcze zostało załatwione! A gdzie jest stawka?

Pablo Ravales wyciągnął z kieszeni asygnatę i położył na stole.

Zefirio sprawdził starannie pieczęć i podpis bankiera.

- W porządku! - rzekł. - Zaczynamy!

Gra się rozpoczęła. Pablo szybko prostował trzy, dwa, cztery palce - Zefirio błyskawicznie uzupełniał do pięciu.

- Trzy! - krzyknął Pablo.

- Dwa! - odpowiedział jednocześnie Zefirio.

- Jeden!

- Cztery!

- Pięć!

- Nic!

- Dwa!

- Trzy!

Grali w coraz szybszym tempie. Pot perlisty występował na czoło Ravalesa.

Zefirio przybladł nieco, lecz spokojnie na pozór, rzekłbyś bezmyślnie, patrzył w oczy przeciwnika.

- Basta! - rzekł Zefirio, biorąc asygnatę. - Wygrałem! Jeśli chcecie ujrzyć inne sztuczki, w których jestem mistrzem, to wam, służę! Znam doskonale sztuki z chusteczką do nosa, monetami, kamykami i innymi przedmiotami... Hop! Stój! Co to?

Dwaj towarzysze Ravalesa skoczyli nań. Jeden wydarł mu asygnatę z ręki, drugi zaś pchnął go tak silnie w piersi, że biedny Zefirio zatoczył się i usiadł aż pod ścianą.

- Ratunku, ojcie! Zrabowali mi pół miliona! – zawołał płacząco.

Mężczyźni pchnęli również Anzelma, który im zagradzał drogę, i wyszli.

Wychodząc ostatni, Pablo Ravales rzekł do Anzelma:

- Jeszcze się policzymy, señor!

Wyrównany rachunek

o Mercedes - moje serce

Krwawi, cierpi i zamiera,

Gardzisz, trzymasz w poniewierce

Dumne serce caballera.

Cabellero się zbuntuje

I odrzuci precz pokorę.

Piękne usta ucałuje

O Mercedes, mio amore.

Słowa pieśni odbijały się echem od pobliskich skał. Teren był nagi, pustylny, spalony żarem słonecznym.

Rumak sunął jak strzała. Jeździec śpiewał na całe gardło, skandując strofy strzelaniem z długiego bicia z bawolej skóry.

Maska z czarnego jedwabiu przesłaniała górną połowę oblicza, sięgając prawie do ust. Końce czarnej chusty powiewały na wietrze. Szpada wisiała u boku.

Zorro, w pełnym swym rynsztunku, śpiewając głośno smętną piosenkę, gnał jak wichor. Pędził na przelaj przez piachy i ugory i dopadł traktu w chwili, gdy karoca zaprzężona w sześć koni, minęła zakręt i mknęła wprost na niego.

Zorro spał konia pośrodku drogi.

Woźnica, na widok niesamowitego jeźdźcy, zaciął konie. Zorro szarpnął swego rumaka, by nie wpaść pod karety. Rozległ się świst bicia i woźnica zleciał na ziemię.

Rozhukane konie poniosły.

Zorro uderzył ostrogą i zrównał się z rozszałymi zwierzętami. Jeden skok - Zorro siedział już na jednym z koni zaprzęgniętych do karety i ujął lejce w swe ręce. Krótkie dwa szarpnięcia i konie stanęły. Wtem rozległ się strzał i kula przeleciała tuż nad jego głową. Zorro zeskoczył na ziemię i rzekł, oddając głęboki ukłon, w stronę karety:

- O, panowie! Co za niewdzięczność. Ratuję wam życie, wy zaś dybiecie na moje?

Zbliżył się do karocy:

- Fe, señor. Nie spodziewałem się tego po was. Wyglądacie na szlachetnych grandów, a postępujecie jak poganiacze mułów!

W oknie ukazała się blada i wykrzywiona twarz Pabla Ravalesa.

- Czego chcesz od nas?! - zawołał. - Jesteśmy spokojnymi kupcami, nie czyniącymi zła nikomu.

- I nie płacącymi rachunków! - uzupełnił Zorro.

- Jak? Co?..

- Może się mylę! Señor - ty jesteś Pablo Ravales?

- Tak... ja....

- A więc wszystko w porządku. Mam do zainkasowania pół miliona peso, które zabraliście temu biednemu Zefirio. Dotąd nie może się pocieszyć. Aż serce się kraje, tak płacze.

Rozległy się stłumione okrzyki i nagle żyłasta ręka, uzbrojona w pistolet, wysunęła się przez okno, celując w głowę Zorry. Ten schylił się błyskawicznie i wyciągnął szpadę z pochwy. Kula przeleciała tuż nad nim, po czym nastąpiło krótkie pchnięcie i Pablo Ravales ryknął z bólu. Ostra stal przebiła mu rękę.

Zorro szarpnął drzwiczki karocy i otworzył je szeroko.

- Wyłazić! - rzucił krótko, trzymając szpadę w pogotowiu. Pasażerowie wysiedli. Było ich trzech.

- Senor Ravales - rzekł Zorro - proszę o pieniądze. Zwróć je wierzycielowi, możecie mi zaufać. Zorro nie ograbia ludzi, lecz broni pokrzywdzonych. W danym wypadku bronię interesów biednego chłopca, którego jedyną wadą jest to, że wam powierzył taką sumę...

- Nieprawda! - ryknął Ravales. - To są moje pieniądze. Oszukiwał w morę.

- To już wasza osobista sprawa! Ja w to nie wchodzę. Mam podjąć pół miliona peso, i to wszystko.

Nic mnie więcej nie obchodzi...

Ujął bicz w rękę. Ten argument poskutkował.

Ravales, piniąc się z wściekłości, włożył zdrową rękę do kieszeni i wyciągnął asygnatę...

- O nie, dziękuję! - zawołał Zorro. - Asygnata nie ma żadnej wartości w obecnych warunkach.

Łatwo bowiem udowodnicie, że ją wam zrabowano. Banknotami i złotem proszę.

- Nie mamy złota ani banknotów! - mruknął Ravales.

- Czy mam poszukać?

Klnąc i wzdychając ciężko, Ravales zaczął wyciągać banknoty, jeden za drugim.

Wysypał wszystkie złote monety z sakwy i uzbierał zaledwie czterysta tysięcy peso.

- Brakuje jeszcze sto tysięcy - rzekł Zorro, pakując pieniądze do kieszeni - lecz je wam daruję... I jeszcze mała uwaga. Pomiędzy mną i Zefiriami doszło do małego nieporozumienia. Stroną pokrzywdzoną jestem ja... Ten chłopiec prześladowa mnie od pewnego czasu... Zobowiązałem się jednak wobec niego, że podejmę należne mu pieniądze i wręcę mu całą sumę. Gdy jednak znajdzie się w ich posiadaniu, odbiorę mu je, by rozdać biednym. W ten sposób nasz rachunek zostanie wyrównany...

Urwał, gdyż dostrzegł podejrzany manewr jednookiego draba, który kryjąc się za plecami Ravalesa, ostrożnie sięgnął do kieszeni po pistolet.

Rozległ się świst bicz. Rzemień owinał się dookoła draba, wyrzucił go na ziemię i zaczął ciąć niemiłosiernie.

- Oto mój podpis! - zawołał Zorro, puszczając konia galopem.

Na lewym policzku jednookiego widniały trzy pręgi w kształcie litery „Z”.

Don Herminio Candida

W odległości pięciu zaledwie kilometrów od Leridy, tam gdzie droga biegnie zygzakowato na południe, pomiędzy stromymi zboczami czarni skał mieściła się w głębi kotliny niewielka osada składająca się z kilkudziesięciu nędznych domostw. I nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie mieszkał w niej don Herminio Candida, słynny zawiadacz, awanturnik i człowiek o tak złej reputacji, że mieszkańcy sąsiednich osad podróżując, umyślnie nakładali drogi, byle tylko nie spotkać się z niebezpiecznym opryskiem.

Drab o złośliwej fizjonomii, szybkich, kocich ruchach był zakałą całej okolicy w promieniu czterdziestu mil. Jeśli się weźmie pod uwagę ognisty temperament Hiszpanów, to należy przyznać, że ów Herminio musiał być zuchem nie lada, skoro zdołał napędzić strachu swym ziomkom jedynie dzięki sile swej pięści i buta oraz celności strzałów..

Wszystkie jego występkę i zuchwałstwa uchodziły bezkarnie. Ani razu żandarmeria don Alvareza nie zainteresowała się jego wyczynami, choćby nawet niewinna krew została przelana. Szeptano zatem powszechnie, że Herminio jest szpiegiem na usługach wielkorządcy, jednym z wielu szpiegów, od których roilo się po wsiach i miasteczkach.

Wystarczyło bowiem, gdy którykolwiek z wieśniaków kupił sobie krowę lub sprawił żonie kosztowny prezent, a już zjawiał się u nieszczęśliwca komisarz książęcy i z całą bezwzględnością ścigał podatek. I działo się to zawsze, gdy Herminio dowiedział się o kupnie krowy lub prezentu.

Wystarczyło, by ktokolwiek wypowiedział w obecności Herminia lub jednego z jego przybocznych satelitów jakieś niepoehlebne słówko dotyczące księcia wielkorządcy, a już wkrótce zbiry książęce zakuwały biedaka w kajdany, zabierały dobytek i paliły chatę.

A don Herminio pił, hulał, trwonił pieniądze i czynił wypadki do sąsiednich osad i wiosek, pobierając haracz, na własną rękę, od struchlałych okolicznych mieszkańców.

Awanturnik nie bał się na świecie nikogo prócz Zorry. Stawał się niespokojny, gdy w jego obecności wymawiano imię tego zamaskowanego pogromcy łupieżców, ale nadrabiał miną i zapewniał wszystkich z głośnym śmiechem, że Zorro nigdy nie odważy się zagłębić w okolice, które stanowią

królestwo Herminia Candidy.

- On sobie, a ja sobie - mawiał. - On łupi w okolicy Huesco, a ja w okolicy Leridy.

I dawał do zrozumienia słuchaczom, że pomiędzy nim a Zorzą zawarty został tajemny układ. W głębi duszy liczył jednak na to, że Zorro nigdy nie trafi do tej okolicy znajdującej się zupełnie na uboczu.

Pewnego dnia, kiedy osmagał do krwi Bogu ducha winnego kowala i porwał jego narzeczoną, usłyszał złowrogie słowa:

- Zobaczysz, Herminio, że Zorro policzy się z tobą!...

- Zorro? - ryknął drab, smagając z całych sił nieszczęśliwca.

- Ja pluję na niego. Słyszysz?.. Możesz mu powtórzyć, że jeśli odważy się przyjechać w te strony, nie pozostanie z niego nic prócz maski!...

Słowa te zostały powitane głośnym śmiechem przez jego popleczników, ale sam Herminio naprawdę zląkł się swych słów.

Na szatana, pomyślał, ten kowal gotów jest odnaleźć Zorrę i powtórzyć mu moje słowa...

I oto następnego ranka znaleziono martwe ciało biednego kowala, leżące nie opodal jego kuźni.

Herminio był jednak nadal niespokojny. Wiedział, że jego zła sława rozeszła się daleko poza granice okręgu. Postanowił więc, iż uspokoi się na pewien czas i powstrzyma od burd i bójek.

Tak też postąpił. Zaszył się w swej osadzie, ale jego burzliwa natura cierpiała z powodu przymusowej bezczynności. Nie bardzo pasowała doń skóra baranka.

Ale oto rozeszła się z błyskawiczną szybkością niewiarygodna wieść, że głupi Zefirio, syn Anzelma Cortiego, wyzwał Zorrę. Herminio parsknął śmiechem prosto w nos człowiekowi, który mu o tym doniósł.

- Zefirio, ten tchórzliwy błazen, wyzwał Zorrę? - zawołał wśród wybuchów śmiechu. - Człowieku, czyś ty oszalał, czy też stroisz sobie głupca ze mnie?.. Zefirio ośmielił się na coś podobnego wobec mego przyjaciela Zorry?

Ale dalsze wieści, które nadchodziły, były jeszcze bardziej nieprawdopodobne. Opowiadano bowiem, że Zorro nie tylko, że nie ukarał głupca, ale nawet wyraźnie go unika.

Zorro zląkł się głupiego Zefiria!... To nie do wiary!

Don Herminio Candida wpadł na genialny pomysł. Jeśli Zorro rzeczywiście unikał spotkania z głupcem, więc on, Herminio, pokaże zamaskowanemu jeźdźcy, co potrafi. Schwyta Zefiria i osmaga go biczem do krwi. Niech Zorro przekona się, że ma w nim przyjaciela, który mści jego zniewagę, a gdy przekona się o tym, to kto wie? - może wyciągnie doń rękę i staną się prawdziwymi przyjaciółmi, po czym Herminio będzie mógł bezkarnie hulać, łupić i krzywdzić swych rodaków, nie obawiając się wstawiennictwa Zorry.

Jako człowiek czynu, nie zwlekał z wykonaniem swego postanowienia. Zwołał więc swą szajkę i powiedział:

- Słuchajcie, chłopcy, obmyśliłem dla was świetną zabawę. Od dwóch tygodni gnijecie w bezczynności, czas więc rozruszać się nieco...

Awanturnicy zamienili się w słuch. Ze sposobu w jaki Herminio przemawiał, wyczuli, że ma dla nich w zanadrzu nie lada okazję do śmiechu i wesołości.

- Czy znacie historię głupiego Zefiria? Czy wiecie, na co odważył się ten tchórzliwy bałwan, którego nawet zając się nie złąknie? .

- Wiemy, wiemy! - rozległy się zewsząd okrzyki. - Zefirio wyzwał Zorrę na pojedynek!...

- A więc słuchajcież, moje dzieci! - zawołał Herminio z triumfem. - My mu urządzimy taki pojedynek, że nie zapomni o nas i wtedy, kiedy już będzie miał długą i siwą brodę!...

- Cha, cha!... Wspaniale, wybornie, per Bacco, per Jovo, per Satanio - zagrzmiął huczny śmiech z kilkunastu gardzieli.

- No i cóż! - wołał Herminio. - Czy nie wspaniała zabawa?.. Zastanówcie się tylko: Zefirio ubliża facetowi w masce; Zorro puszcza zniewagę płazem, ale Herminio ujmuje się za nim i karci przykładowie śmiałka...

- Rozbierzemy go do naga...

- Oćwiczymy go biczem...

- Wypiszemy na całym jego ciele literę „Z”.

- Nie, nie!... Wypiszemy raczej literę „H”.
- Cha, cha!... wspaniale, cudownie, wyrzeźbimy na nim literę „H”.
- Herminio... Olle, Herminio!...

Zapanował hałas nie do opisania. Jeden starał się przekrzyczeć drugiego. Wiwatowano wśród wybuchów śmiechu i podrzucano sonbrerra w powietrze.

Wreszcie grzmiący głos Herminia zapanował nad wrzawą:

- Bądźcie cicho, chłopcy. Nie traćmy czasu na próżno. Wszyscy na koń, opatrzeć broń i w drogę.

Przygody głupca

Zefirio był w błogim nastroju człowieka, który jest w idealnej zgodzie z sobą samym i swymi bliźnimi. Pogodnie uśmiechnięty napawał się aureolą sławy, jaka otoczyła ostatnio jego osobę. W związku z wyzwaniem Zorry.

Ale ten jego błogi stan duszy miał być niebawem zakłócony. Otóż pewnego pięknego poranka do hacjendy przybiegł zdyszany chłopiec, oznajmiając wszystkim obecnym, iż słynny zawadiaka i awanturnik don Herminio Candida ruszył w te strony, by porachować kości młodemu seniorowi Zefirio Cortiemu.

Senior Anzelmo zląkł się o swego syna. Również Mercedes w głębi duszy uczuła litość i współczucie dla biedaka, jeden tylko generał Borrigo zbliżył się ku niemu i poklepał go po ramieniu, wołając dobroduszenie:

- Ho, ho, trafiła kosa na kamień. Cóż dla naszego Zefiria, który nie uląkł się Zorry, znaczy taki marny Herminio Candida? Ręczę, że nasz zuch połknie go jak szczupak płótkę...

- Albo jak Don Kichot wiatraki - wtrącił ni w pięć, ni w dziesięć Zefirio, sam nie wiedząc, co mówi.

Biedak nadrabiał miną, jak mógł. Oglądał się dumnym wzrokiem dookoła, wypinał pierś i wysuwał dolną wargę, usiłując nadać sobie postawę nieustraszonego rycerza. Od czasu do czasu rzucał z ukosa spojrzenie na Mercedes, jakby chcąc przekonać się, jakie wrażenie wywrze na pięknej kuzynce jego bohaterska postawa. I pomimo współczucia Mercedes spostrzegła ten manewr, zagryzła usta, by nie roześmiać się w tej pełnej powagi godzinie niebezpieczeństwa.

- Synku mój - odezwał się stary Anzelmo. - Siła złego na jednego... Ty nie opuścisz domu, mój chłopcze...

Ale Zefirio poczuł się dotknięty do żywego.

- O, mój ojczy! - zawołał z bolesnym przejęciem i unióśł rękę gestem Cezara oskarżającego Brutusa. - I ty również uważasz, że ja się boję?.. Czyż nie wystarczyły ci niezbite dowody mej odwagi złożone ostatnio?.. Czyż może obawiać się kogokolwiek człowiek, który wyzwiał samego Zorrę? - Skrzyżował ręce na piersi i wydał pogardliwie wargi. - Ha, niech przybędzie tutaj ten Herminio Candida! - krzyknął donośnie. - A ja udowodnię mu, kto to jest Zefirio. Śmiać się przekona się osobiście, co znaczy chcieć wygarbować mi skórę.

Zawołał do przechodzącego służącego:

- Dać mi natychmiast mój najpiękniejszy, złotem szamerowany strój i przyprowadzić najlepszego wierzchowca.

Po upływie pół godziny zebrana służba oraz domownicy z szeroko otwartymi ustami podziwiali lśniącego rycerza, który pędził, o dziwo! w stronę traktu Leridańskiego.

- Oszałał, doprawdy oszałał - pukali się w głowy robotnicy folwarczni. - Patrzenie, głupi Zefirio pędzi na spotkanie opryszka.

A Zefirio poganiał tymczasem swoją niemrawą, opasłą kobylę. Co pewien czas sięgał do boku, gdzie wisiał jego olbrzymi rapier, oraz obmacywał zdobione srebrem pistolety.

I w ten sposób zniknął z oczu gapiom, wśród tumanu przydrożnej kurzawy.

Wszędzie, gdzie tylko się ukazał, napotkani ludzie stawali olśnieni, z trudem poznając głupiego Zefiria w tej suto szamerowanej powłoce. A Zefirio tymczasem gnał naprzód. Godziny uciekały, południe już minęło i słońce przypiekało mocno.

Nagle na trakcie Leridańskim otoczyła go banda groźnie wyglądających wyrostków. Przewodził im muskularny mężczyzna o twarzy buldoga, czyli sam Herminio Candida.

- Hej, nieszczęsna kreaturo w złocistej oprawie! - ryknął Herminio. - Wyglądasz mi na wspaniałego kretyna... Aż chęć bierze obłuskać cię z tej złoconej skórki...

Zefirio wyprostował się na siodle i wrzasnął, jak mógł najgłośniej: - Precz stąd, kanalio!...

Banda osłupiała.

- Hej, co? - wyjąkał Herminio zaskoczony. - Czy mnie słuch nie myli?... Jak nazwałeś nas, złotko?

Zefirio wypiął pierś i oznajmił grzmiącym głosem:

- Biada wam, łajdaki... Czy zdajecie sobie sprawę, że napadliście na pułkownika Alvareza y Gonzano?

Członkowie bandy, mieszkańcy zapadłych wiosek, nigdy nie widzieli na oczy wszechmocnego pułkownika, nie wyłączając nawet samego Herminia, który pomimo że był na usługach księcia, miał jednak do czynienia tylko z książęcym komisarzem.

Szef bandy zadrzał.

- Precz, łajdaki! - krzyknął zwracając się do swych ludzi. - Precz od osoby czcigodnego senora Alvareza y Goniano!

I nie zwlekając zaczął płazować zapamiętałe swych „podwładnych”.

- Wybacz nam, senor, tę niefortunną pomyłkę - rzekł po chwili zdyszany głosem i kłaniając się nisko. Nie otrzymał jednak odpowiedzi, więc wyprostował się i ujrzał domniemanego pułkownika oddalającego się kłusem.

Banda stała w miejscu i spoglądała na malejącą w oddali postać jeźdźca.

Widzieli, że wspaniały ten jeździec zatrzymał po drodze jakiegoś przechodzącego wieśniaka i długo z nim rozmawiał, po czym spiął swą kobyłę ostrogami i znikł pomiędzy skałami.

- Ciekaw jestem, o czym pułkownik rozmawiał z tym człowiekiem? - mruknął Herminio, kręcąc się niespokojnie na siodle.

Pognał konia w kierunku wieśniaka, który tymczasem spokojnie szedł ku nim.

A kiedy wieśniak zbliżył się już na tyle, że Herminio mógł rozróżnić rysy jego twarzy, spostrzegł ze zdumieniem, że ten człowiek pokładał się wprost ze śmiechu.

- Z czego się tak śmiejesz, trutniu?... Chcesz, to cię połaskoczę końcem mej szabli, byś śmiał się jeszcze mocniej.

Uśmiech zniknął z twarzy wieśniaka. Cofnął się przestraszony i odrzekł:

- Wybacz mi, senor, ale doprawdy nie mogłem się powstrzymać od śmiechu, widząc głupiego Zefiria w pozłacanym stroju...

Herminio nie zrozumiał od razu. Ale w następnej sekundzie, gdy wreszcie pojął, zbladł i ryknął wściekle:

- Co ty wygadujesz, człowieku? - Jaki głupi Zefirio? Gdzie go widziałeś?

- Przed chwilą, senor! Jechał na koniu. Zatrzymał mnie i dał mi pewne polecenie.

Głuche milczenie zaległo wśród bandy. Wszyscy zrozumieli, że trzymali Zefiria w ręku, a on wystrychnął ich na dudków.

Herminio Candida skierował swego konia wprost na wieśniaka i chwycił go za kołnierz:

- Gadaj, nędzniku! - krzyknął siny z wściekłości. - Jakie polecenie dał ci Zefirio?

- Jeśli spotkam na swej drodze Herminia Candidę - odpowiedział wieśniak drżącym głosem - mam mu coś oznajmić!...

- Co, co masz mu oznajmić? - pytał awanturnik. - Mów prędzej, do tysiąca diabłów, to ja jestem Herminio Candida...

Na dźwięk tego groźnego imienia nogi ugięły się pod biedakiem.

- O... senor... senor...

- Mów, do licha. Głowy ci nie utnę!...

- Zefirio... kazał powiedzieć ci... senor, że ciebie się nie boi i będzie na ciebie czekał o zmroku przy wejściu do wąwozu Sierra Madre...

Don Herminio odtrącił wieśniaka i krzyknął do swych ludzi:

- Za mną! Musimy go schwytać za wszelką cenę!

Jak lawina cała banda rzuciła się w stronę, gdzie parę minut temu Zefirio zniknął im z oczu.

Ziemia dudniła pod kopytami koni, skały i drzewa migwały w pędzie. Pomimo to nie zdołali

odszukać zbiega.

W szelki ślad po nim zaginał...

Spotkanie w Sierra Madre

A tymczasem Zefirio galopował na swej kobyle w zupełnie odwrotnym kierunku. Z chwilą gdy zniknął z oczu bandy, okrążył skały i zawrócił na północ.

Jadąc pogwizdywał beztrąsko. Dzienna spiekota nie nużyła go bynajmniej, na kobyle siedziało się jak w wygodnym fotelu, więc Zefirio zadowolony był z siebie, ze swego konia i całego świata. Droga była daleka. Słońce wreszcie zaczęło chylić się ku zachodowi.

Wieczór się zbliżał.

W oddali ukazał się tuman kurzu.

Zefirio wyteńczył wzrok i zatrzymał konia. Jego usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu zadowolenia. Z kłębow kurzu wyłonił się oddział wojska, a na jego czele galopował sam don Alvarez y Gonzano.

- Czy mnie wzrok nie myli? Toć to senor Zefirio we własnej osobie! - zawołał pułkownik i wybuchnął głośnym śmiechem na widok kapiącego od złota stroju. - Senor, cha, cha! A toś się wystroił!...

Żołnierze zagryzali wargi, powstrzymując się od śmiechu. Zefirio wzruszył ramionami.

- Nie rozumiem, co cię tak śmieszy, senor - rzekł z godnością.

- Ten strój i ten potop złota... - śmiał się don Alvarez.

- Śmieszy cię mój ubiór? - zdziwił się Zefirio. - Raczej powinieneś go podziwiać, gdyż jest to strój godny bohatera. Czyż nie wiesz, że każdy bohater powinien odpowiednio się prezentować?

- Czyżbyś stał się bohaterem? - zapytał ciekawie don Alvarez. - Nie słyszałem ostatnio o żadnym twym bohaterskim wyczynie, senor Zefirio!...

Młody Corti uniósł dumnie głowę.

- Nie słyszałeś - odparł - ale niebawem usłyszysz. Umówiłem się z szlachetnym don Herminiem Candidą, że spotkamy się dziś o zmroku, nie opodał wąwozu Sierra Madre!...

Don Alvarez się zdziwił.

- Spotkasz się z don Herminiem? - zapytał. - Ależ, młodzieńcze, przecież wszyscy wiedzą o tym, że on obedrze cię żywcem ze skóry!

- Nie wiadomo - odparł Zefirio nieco wzruszonym tonem. - Nie wiadomo, co najbliższa przyszłość pokaże. Ja muszę pokazać światu, że w zupełności zasługuję na miano nieustraszonego Zefiria...

- A więc będziecie się bić! - don Alvarez poklepał Zefiria po ramieniu, z trudem ukrywając wesołość. - Chciałbym to widzieć na własne oczy!

- To nie jest trudne - odparł Zefirio. - Wystarczy udać się ze mną i ukryć się przy wejściu do wąwozu!

- Per Satanio! - krzyknął oficer. - Przysięgam, że to dobra myśl. Tak też uczynię. Ukryję się wraz z moim oddziałem w wąwozie i stamtąd będę obserwował przebieg waszego pojedynku. Proszę cię jednak, byś nie oddalał się zbyt z pola mego widzenia!

- Nie obawiaj się, senor - rzekł Zefirio. - Będiesz wszystko widział, ale proszę cię, ukryj dobrze swych żołnierzy, gdyż ich widok może onieśmielić dzielnego don Herminia.

- A więc, w drogę!...

Don Alvarez wydał rozkaz swym żołnierzom i cały oddział pogalopował w kierunku gór Sierra Madre.

Przybyli na miejsce o zmroku. Zgodnie ze wskazówkami Zefiria, pułkownik ukrył swych żołnierzy w głębi wąwozu, a sam ulokował się przy wejściu.

- Żegnaj, senor! - zawołał Zefirio, uderzając konia ostrogą i wydobywając pistolet. - Zobaczysz, co potrafi dzielny Zefirio Corti.

To mówiąc pogalopował przed siebie. Po chwili rozległ się huk wystrzału. W ten sposób młodzieniec oznajmił, iż znajduje się na miejscu i gotów jest do spotkania z don Candidą.

Rezultat tego wystrzału nie dał zbyt długo na siebie czekać. Ciszę nocną rozdarł nagle tętent licznych kopyt końskich. Banda Herminia Candidy nadjeżdżała galopem.

- Zefirio nie oszukał nas! - zawołał herszt do swych ludzi. - Jest tutaj!...

Wpatrzył się w gęstniejące mroki i dostrzegł u wejścia do wąwozu nieruchomą postać jeźdźca na koniu.

- Jest, jest tutaj! - krzyknął z radością. - Przybył zgodnie z zapowiedzią. Chłopcy, żeby się poważyc na coś podobnego, trzeba być tylko prawdziwym głupcem, takim jak Zefirio. Naprzód!...

I po chwili cała banda dopadła wejścia wąwozu i otoczyła samotnego jeźdźca.

- Mamy cię, Zefirio! - zawołał z triumfem Herminio.

- Precz stąd, kanalie! - rozległ się gniewny głos wśród ciemności. - Zefirio czeka na was pośrodku polany.

Herminio odrzekł słodkim głosem:

- Słuchaj, bałwanie_ już po raz drugi nazywasz nas kanalami. . .

- Biada wam, łajdaki! - ryczał samotny jeździec. - Czy zdajecie sobie sprawę, że napadliście na pułkownika Alvareza y Gonzano?

Herminio wybuchnął szyderczym śmiechem.

- Nie, tego już za wiele! - zawołał. - Czy rzeczywiście uważasz nas za takich osłów, że damy się nabrać po raz drugi na ten sam kawał?..

I zawołał do swych ludzi:

- Dajcie mu porządną nauczkę, chłopcy!

Tego rozkazu nie trzeba było dwa razy powtarzać. Cała banda rzuciła się na nieszczęsnego don Alvareza. Posypały się tęgie razy. Zwalono go z konia i okrutna zabawa rozkręciła się na dobre.

- Ratunku, zabijają mnie! - ryczał don Alvarez. - Żołnierze, na pomoc!...

W głębi wąwozu rozległ się tętent pędzących koni, albowiem żołnierze usłyszeli krzyk swego dowódcy i śpiesznie jechali do mego.

Zanim Herminio i jego banda zdolali się spostrzec, zostali otoczeni przez żołnierzy.

Za wrzała dzika walka. Nie trwała jednak zbyt długo. Żołnierze mieli liczebną przewagę, a przy tym bandyci byli zaskoczeni tym niespodziewanym atakiem.

Wreszcie Herminio Candida zorientował się w sytuacji.

- Stać, stać! - ryknął pokrywając swym głosem wrzawę bitwy. - Tutaj zaszła pomyłka. Ludzie, zatrzymajcie się, carramba!...

A gdy przerwano wreszcie walkę, zapalono pochodnię, don Herminio Candida przekonał się, ku swemu największemu przerażeniu, że człowiek, na którego napadł, nie był Zefirem.

Pokrwawiony, pokryty sińcami, w podartym mundurze stał przed nim pułkownik Alvarez y Gonzano.

Ostatnia nauczka

Don Herminio Candida oraz kilku ocalałych członków bandy powracało drogą wiodącą do Leridy. Posępnie zwieszane głowy oraz wzrok utkwiony w piasku przydrożnym były niezawodną oznaką przygnębienia.

- Jestem zgubiony - szeptał. - Nie mogę teraz powrócić do swego domu, gdyż tam na pewno dosięgnie mnie ręka mściwego don Alvareza...

Nagle zatrzymał się. Jakaś niespodziewana myśl zaświtała mu w głowie.

- Musimy ratować nasz honor, chłopcy, a jest tylko jeden sposób na to: schwytać Zefiria i powiesić na pierwszym lepszym drzewie

- Ale gdzie go szukać? - zapytał jeden z drabów.

- Gdzie go szukać? Czy nie wiesz, gdzie znajduje się hacjenda jego ojca, Anzelma Cortiego?

Banda zawróciła z miejsca, nie ujechała jednak daleko.

- Buen Dios, senores! - rozległ się nagle metaliczny głos i oto na drogę spokojnie wyjechał jeździec w masce. - Dokąd tak śpieszycie?

- Zorro, Zorro - rozległy się trwożne szepty i banda zatrzymała się, nie pewna zamiarów zamaskowanego mężczyzny.

Najbardziej jednak zląkł się don Herminio. Miał tyle niecných sprawek na sumieniu, tylu biedaków

skrzywdził, że słusznie mógł się obawiać gniewu Zorry. Ale w porę przypomniał sobie, że wszyscy uważają go za jego osobistego przyjaciela.

Zdecydował się.

Zbierając całą swą odwagę, wyciągnął rękę i kierując swego konia w stronę zamaskowanego jeźdźca, zawołał głośno:

- Buen Dios, seiior. Jakże się cieszę na twój widok... Witaj mi, witaj, dobry przyjacielu!

Zorro zatrzymał go ruchem ręki.

- Czekaaj, don Herminio - rzekł spokojnie. - Nie zbliżaj się zbyt do mnie... Nawet moi najlepsi przyjaciele winni trzymać się w pewnej odległości. Taka jest moja zasada.

Herminio się zatrzymał.

- Poznałeś mnie? - zawołał. - Wiesz kim jestem?

- Dawno wybierałem się do ciebie - odrzekł Zorro tonem, który przejął tamtego dreszczem. - Ale zawsze brakło mi czasu. Słyszałem, że mienisz się mym przyjacielem...

-I jestem nim, carramba, jestem nim - pośpieszył Herminio z zapewnieniem. - Możesz mi wierzyć, senor Zorro, że serce moje otwarte jest dla ciebie.

Zorro milczał rozważając jakąś myśl. Wreszcie odezwał się:

- Słuchaj, senor Herminio. By zostać mym przyjacielem, trzeba na to zasłużyć. A nie mogę powiedzieć, byś dotychczas zachowywał się, jak przystało na mego przyjaciela. Ograbiasz biednych ludzi, a przecież ja nigdy tego nie czynię. Wysługujesz się księciu, jako jego szpieg...

- O, senor - przerwał mu Herminio - jakże możesz tak mówić?.. Czemu wypominasz mi rzeczy nieistotne, a zapominasz o przysłudze, jaką chciałem ci oddać?

- Chciałeś wyświadczyć mi przysługę?

- Tak, senor Zorro! - zawołał Herminio, kładąc rękę na sercu. - Gdyby nie nieszczęśliwy przypadek, ten głupiec, Zefirio, który śmiał ci ubliżyć, nie byłby pomiędzy żywymi... Niestety, wśród ciemności pomyliliśmy się i zamiast Zefiria, wpadliśmy na don Alvareza z jego żołnierzami...

Zorro potrząsnął głową.

- Tak, to co innego - rzekł. - Muszę więc uznać, że jesteś szczerze mi przyjazny... Ale uprzedzam cię, nie zbliżaj się zbyt do - dodał widząc, że Herminio nieznacznie zbliża się doń. - Uprzedziłem cię przecież, że tego nie lubię.

- Czemu nie mogę rozmawiać z bliska, senor Zorro? - zapytał podstępnie awanturник. - Czy żywisz jakąś nieufność wobec mnie?

- Uwierzę ci zupełnie, jeśli mi udowodnisz, że zasługujesz w całej pełni na moje zaufanie - odparł Zorro.

- Cóż więc mam uczynić, by zasłużyć na nie?

- Powiem ci zaraz. Główną drogą do Saragossy podążać będzie wspaniała karoca z książęcymi herbami. Ale te herby służą tylko do odstraszenia ewentualnych napastników. W rzeczywistości karoca ta wiezie skarb: milion peso w złocie...

- Milion peso w złocie - wyszeptał Herminio. - Do licha, ładna fortunka...

- Skarb ten znajduje się pod opieką pewnego urzędnika bankowego z Madrytu. Jest to brodac, tchórz nie lada, ale ma pewną słabość: lubi udawać generałów, książąt i tak dalej...

- O, ja wyleczyłbym go z tej słabości - westchnął Herminio.

- O to właśnie chodzi - rzekł Zorro. - Uwierzę, żeś godny mej przyjaźni, gdy oduczysz go tego... A najlepiej, gdy napadniesz na tę karocę, gdy przejeżdżać będzie drogą wśród gęstego lasu. Jeśli eskortować ją będzie kilku ludzi, uderz na nich i rozprosz ich. Nie chcę jednak, by cię poznano. Bierz to i włóż na siebie.

To mówiąc wyjął z siodła zapasową, jedwabną maskę oraz czarną chustkę i rzucił je awanturnikowi.

Tamten pochwycił skwapliwie! Założył maskę i okręcił głowę chustą.

Książę Ramido powracał do Saragossy. Nie był w najlepszym humorze, gdyż w jego okręgu nie wszystko szło po myśli.

Jego karocę eskortował cały regiment kawalerii. Żołnierze jechali z tyłu i z przodu, a po bokach trzymali się oficerowie.

Nagle wśród żołnierzy rozległy się okrzyki:

- Jeździec w masce, jeździec w masce!...

Księżę zadrżał i wychylił głowę przez okno karocy.

- Co się stało? - zapytał jednego z oficerów. - Co to za hałasy?

- Wasza książęca mość - odpowiedział oficer podnieconym głosem i wskazał na drogę. - Spłoszyliśmy człowieka w masce... Patrz, księżę, jak śpiesznie ucieka przed nami!...

- Do tysiąca diabłów, bando niedołęgów! - wrzasnął księżę Ramido. - Gdzie wy macie oczy? Czy nie widzicie, że to Zorro we własnej osobie? Cudem wpada nam w ręce, a wy pozwalacie mu ujsć? Za nim, za nim, wszyscy bez wyjątku!...

Rozkaz księcia został wykonany. Cały regiment rzucił się w ślad za umykającym jeźdźcem w masce.

Kareta potoczyła się leśną drogą, ale już bez eskorty. Nie ujechała jednak zbyt daleko. Z gąszczu wyłonił się mały oddział jeźdźców, którym dowodził Herminio w masce.

- Przybyliśmy w porę - zawołał Herminio z triumfem. - Oto karoca. Dalej chłopcy, zabierzmy się do tego brodacza!...

Księżę Ramido wychylił się przez okno i nadjeżdżający bandyci ujrzeli jego generalski strój suto ozdobiony orderami i gwiazdami.

- Zgadza się -:- zawołał Herminio ze śmiechem. - Są ordery i medale, tak jak nas uprzedził Zorro!... Gdyby nie brak licznej eskorty, doprawdy pomyślałbym, że to sam księżę wielkorządca!...

Bandyci otoczyli korocę.

- Dawaj skarb, brodaczu! - zwrócił się doń Herminio, mierząc z pistoletu. - Dawaj skarb albo...

- Precz stąd, szaleńcy! - krzyknął księżę Ramido, siny z wściekłości. - Czy wiecie na kogo ośmielacie się podnieść rękę?

- Wiemy, wiemy, staruszkule, nie unoś się!... Wiemy z góry, co nam powiesz....

- Jestem księżę wielkorządca Aragonii, don Ramido y Carvalho!... - pinił się księżę.

W odpowiedzi rozległ się wśród bandy głośny śmiech.

- Zgadza się jako żywo! - wołał Herminio. - No, zatracony kasjerze, wylaż z karocy, nas nie oszukasz. Wylaż z karocy, bo zdejmujemy ci twój mundur i wsypujemy dwadzieścia pięć odznaczeń honorowych...

Wyciągnięto księcia. Jedni zbójcy zaczęli ściągać zeń złocisty mundur, a inni przeszukiwali korocę. W tej sytuacji zastali ich powracający żołnierze z eskorty, którym Zorro zniknął nagle z oczu.

Wyratowano księcia z opresji, włożono nań mundur z powrotem, a Herminio i jego banda powędrowali w kajdanach do więzienia w Saragossie.

I długie, długie lata w samotnej celi zastanawiał się don Herminio Candida nad zagadką: czy Zorro zakpił sobie z niego w okrutny sposób, czy też po prostu był to nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

Porfirio i Malibran

Kochany druhu i przyjacielu!

Co tu dużo pisać - stęskniliśmy się za Tobą i jedziemy do Ciebie. Pogościmy pewien czas w Twej hacjendzie - musimy bowiem uciekać i z Madrytu, dopóki tu się nie uspokoi.

Twoi przyjaciele z uniwersytetu Porfirio i Malibran

Ps. Przywozimy nowe sztuczki magiczne.

Zefirio odłożył list, który otrzymał przed chwilą, i zamyślił się. Porfirio i Malibran przybywają, to dopiero będzie wesoło. Przewidywał pogawędki i wspólne rozrywki.

- Muszę jechać na spotkanie - rzekł do siebie i wyszedł z pokoju.

W salonie wpadł na Mercedes.

- Przepraszam, kuzynko... bardzo się śpieszę! Przybywają tutaj dwaj moi koledzy z ławy szkolnej, Porfirio i Malibran. Wspaniałe chłopaki, tylko że kawalarze czystej wody! Biegnę zaprząć konie.

- Bardzo mnie to cieszy - rzekła Mercedes z uśmiechem. - Czy są to młodzieńcy tego samego pokroju co ty, kuzynie?

- O, zupełnie tego samego! Mamy podobne usposobienie! Są waleczni, rycerscy, dowcipni, prawie w tym samym stopniu co ja!

- Rzeczywiście! Widzę, że będzie wesoło w tym domu - odparła Mercedes ze źle ukrytą ironią.

Lecz Zefirio nie dosłyszał odpowiedzi, bo wybiegł na dwór, wyprowadził konie i zaczął je zaprzęgać do powozika.

Mercedes westchnęła i udała się do pokoju swego ojca.

- No i cóż, ojczule! - rzekła. - Długo tu jeszcze zabawimy? Nie należy przecież do dobrego tonu nadużywać gościny szlachetnego Anzelma.

Generał odłożył „Żywoty sławnych ludzi” Plutarcha i zmarszczył siwe brwi:

- Od kiedy to moja córka prawi mi morały?.. Pozostaniemy tutaj tak długo, dopóki nie ustalimy, ja i don Anzelmo, terminu twoich zaręczyn z Zefiriem. A teraz daj mi czytać...

- Ależ ja go nie kocham! - wykrzyknęła ze łzami w oczach Mercedes. - Przecież to kompletny bałwan...

- Tak się tylko wydaje! Jest skromny, uczciwy, nie pije, nie hula, nie ugania się za spódnicami, jest bogaty i piękny. Cóż ci więcej potrzeba?

Mercedes chciała powiedzieć, że kocha innego, że kocha Zorrę, tajemniczego rycerza w masce, mistrza szpady i bicia, odważnego, zręcznego, romantycznego...

W porę ugryzła się w język. Bała się, że ojciec pod wpływem jej wyznania dostanie ataku apopleksji.

Nie rzekła więc ani słowa i wyszła z pokoju.

Piaszczystym traktem włókł się wóz chłopski. Stary, głuchy wieśniak leniwie poganiał muły. Spiekota słoneczna powodowała dookólną senność.

Na podściółce ze słomy leżeli leniwie wyciągnięci dwaj młodzieńcy. Jeden z nich wysoki, a raczej długi i przeraźliwie chudy, z dziecinną twarzyczką na długiej i cienkiej szyi, ziewał głośno, szeroko otwierając usta. Długi, haczykowaty nos czynił go podobnym do papugi.

Drugi młodzieniec - również wysoki, lecz niezmiernie otyły - stanowił całkowite przeciwieństwo swego towarzysza. Tamten miał długie ręce; ten małe, króciutkie rączki; tamten był ospały, bezbarwny, flegmatyczny; ten zaś żywy, wesoły, ruchliwy.

- No i cóż Malibran - rzekł chudy młodzieniec. - Daleko jeszcze do tego przekłętego domu?

- O nie! Jeszcze dwie mile, no najwyżej pięć lub sześć mil!

- Siedem lub osiem! - rzekł ze złością chudy. - Dlaczego od razu nie powiesz piętnaście?

- Może i piętnaście - zgodził się grubas. - Ostatecznie nie mam najmniejszego pojęcia. Cóż to, czy jestem geografem, do licha?.. Wiesz co? Wymyśliłem doskonałą rozrywkę...

- Ciekaw jestem!...

- Urządzimy sobie polowanie, tutaj na tym wozie!

-Hm!

- Widzisz, oto pistolet! Celuję przed siebie i walę we wszystko, co tylko się porusza o własnych siłach...

- Na przykład te woły, które nas ciągną lub woźnica... - Głupiś! Należą przecież do ekipy myśliwskiej.

- No tak, ale jednak poruszają się.

- Ty też się poruszasz, powinienem więc kropnąć do ciebie. - Strzelaj sobie, choćby do źdźbeł trawy, nic mnie to nie obchodzi. Jestem zbyt znużony tą przekłętą podróżą, ażeby trudzić się strzelaniem do celu! Zabrakło mi sił, by nawet podnieść pistolet. ..

Kuropatwa uniosła się ciężko w powietrzu. Malibran strzelił i ptak upadł na ziemię.

- Jeden punkt! - rzekł..

Jakiś jeździec jechał powoli stepem. Malibran wycelował i kula zrzuciła czarny kapelusz z głowy jeźdźca.

Napadnięty w ten sposób, szarpnął konia, zawrócił i wydobywając pistolet, pognął wprost na wóz.

- Obudź się, śpiochu - trącił chudeusza Malibran. - Petent jedzie ze skargą!

Porfirio ziewnął.

- Przedziurawiłeś mu kapelusz? - zapytał.

- Na taki upał otwory się przydadzą.

Jeździec dopadł wozu. Był uzbrojony od stóp do głowy. Twarz desperadosa, o końskiej szczęce, nie wróżyła nic dobrego.

- Hej tam, żółtodzioby! - ryknął wściekle. - A to co za zabawa?

- Zabawa jak zabawa! - rzekł Malibran niewinnie.

- Kto strzelał?

- Ja! Stało się coś złego?

- Masz, oto odpowiedź!

Skierował pistolet w pierś Malibrana, lecz długa i chuda noga podbiła broń do góry.

To Porfirio, nie otwierając wcale zaspanych oczu i nie ruszając się z miejsca, wyciągnął nogę i zadał cios.

Rozległ się wystrzał i pistolet, strzaskany, wyleciał z ręki jeźdźcy.

To Malibran strzelił po raz drugi, wytrącając celną kulą broń z ręki napastnika.

Uczynili to obaj tak spokojnie i bez pośpiechu, jakby tu chodziło o zwykłe wytarcie nosa.

Jeździec z przekleństwem na ustach wy dobył z za szerokiego pasa długi sztylet andaluzyjski i ze swego siodła wykonał skok do środka wozu, padając całym ciężarem na obu młodzieńców. Lecz jak szybko znalazł się w wozie, tak samo szybko wylądował na piachu przydrożnym, ale już bez noża.

Sztylet został w ręku Porfiria.

Obaj przez cały czas uśmiechali się: Porfirio znużonym uśmiechem, Malibran jakby nieco zażenowany tak nagłą porażką przeciwnika.

- Jedź swoją drogą, człowieku - rzekł z godnością Malibrano - Jedź w spokoju i nie zaczepiaj nas!

Mężczyzna wstał, chwycił swego konia, podniósł z ziemi przedziurawiony kapelusz i w milczeniu odjechał.

Porfirio i Malibran nie wiedzieli, że człowiek ten to znany awanturnik i zabijaka, postrach całej okolicy, Medina Diaz, a zresztą gdyby nawet wiedzieli, niczego to nie zmieniłoby w ich zachowaniu.

Dobrana trójka

- Olle, Zefirio!

- Olle, Porfirio! Olle, Malibran!

Wóz stanął. Zefirio zeskoczył z siodła i przyjaciele ucałowali się serdecznie. A potem wzajemnym pytaniom nie było końca. Niebawem przybyli na miejsce. Była czwarta po południu. Zefirio wprowadził przyjaciół do patia i przedstawił ich ojcu i generałowi. Mercedes była nieobecna.

Porfirio i Malibran wykapali się, posilili i udali się do swego pokoju na wypoczynek.

Wieczorem wszyscy domownicy siedzieli już za stołem, gdy Zefirio wprowadził przyjaciół.

Mercedes ciekawie przyjrzała się nowo przybyłym. Dobrana trójka, pomyślała, te same oczy bez wyrazu i głupkowate miny.

Podano do stołu, Porfirio, aczkolwiek chudy, pochłaniał pokarmy w ilościach wprost nieprawdopodobnych. Malibran jadł umiarkowanie, rzekłbyś: ledwie dotykał jadła, pił natomiast jak dziurawy worek.

- A teraz pozwólcie, moi kochani - rzekł Zefirio, odsuwając pusty talerz - że przyjaciel mój, Porfirio, pokaże kilka nowych sztuk magicznych, które przywiózł z Madrytu.

Porfirio uklonił się, chrząknął i wziął jajko ze stołu.!

- Mam zaszczyt zaprezentować, czcigodni senores i piękna seniorito, zwykłe jajo kurze. Nie jest to jajko Kolumba, a jednak teraz, w mych rękach będzie miało nie mniejszą wartość. Uwaga!

Jajko, bez niczyjej pomocy, zaczęło się toczyć po stole, zawracać i podskakiwać. Wreszcie zatrzymało się przed Porfiriem.

- Powiedz mi, o ty, który siedzisz w tej skorupie, jak ci na imię - zapytał Porfirio, patrząc na jajko.

- Kurczę! - odpowiedział cienki głosik wydobywający się z jajka.

Obecni zdumieli się. Mercedes zrozumiała, że była to zręczna sztuczka brzuchomówcy Porfiria.

- Nieprawda! - rzekł Zefirio poważnie. - Istota siedząca w jajku kłamie! Nic nie jest warta ta sztuka

z. Madrytu!

- Skąd wiesz, że kłamie? - zaciekawiał się Porfirio.

- Zaraz się przekonasz... Uważaj...

Wziął jajko, położył na stole przed sobą i nakrył kraciatą chustką do nosa.

- Wyłaż kłamco! - zawołał zdejmując chustkę.

Na stole stała żywa kura.

- A widzisz! - rzekł Zefirio. - To nie było kurczę, tylko kura!

- Nic dziwnego - odparł Porfirio z przekbnaniem. - Damy zawsze ukrywają swój prawdziwy wiek.

Oświadczenie Porfiria zostało powitane ogólnym wybuchem śmiechu.

Było już dość późno. Wszyscy wstali od stołu, Anzelmo odmówił krótki pacierz i niebawem udano się na spoczynek.

Zefirio zajmował prawe skrzydło pawilonu. Do jego sypialni przylegał obszerny pokój, w którym spali Porfirio i Malibran.

Nieco po północy rozległo się w przyległym ogrodzie krótkie szczekanie. Szczekanie zamieniło się w cichy skowyt i znów cisza zaległa dookoła.

Ucho Zefiria dosłyszało cichy trzask pod jego oknem. Ktoś stapał rozgniatając pod stopami małe kamyki i gałązki. Po chwili rozległ się ledwie dosłyszalny szept.

Zefirio wysłizgnął się z łóżka i poczołgał pod okno. Usłyszał następujące słowa:

- Mylisz się, Sebastiana, to nie jest sypialnia ojca! Prędzej syn tutaj śpi...

- Więc niech będzie syn! Nudzisz mnie swą drobiazgowością. Szef mówił, że na razie należy wykończyć starego, ale nie wskazał, gdzie śpi, w lewym czy w prawym skrzydle... Jeśli natrafimy na kogoś innego... no to uprzątniemy go i będziemy mieli spokój!

- Ale że nie śpi w tym pokoju, za to ręczę moją głową!

- Niewiele ona warta, ta twoja głowa... Przejdźmy się jeszcze pod innymi oknami...

Zefirio nie słuchał dłużej, wycofał się spod okna i skoczył do sypialni swych przyjaciół.

- Hej, Porfirio, hej, Malibran. Wstawać prędko!

Dwaj przyjaciele usiedli jednocześnie na swych łóżkach.

- Nocny napad - szeptem wyjaśnił Zefirio. - Jacyś dwaj skradają się pod oknami... Szukają pokoju, gdzie śpi mój ojciec... Chcą go zabić.

Porfirio ziewnął i otworzył szeroko oczy:

- Urządzymy kłótnię? - zapytał zagadkowo.

- Tak - odpowiedział Zefirio. - Ja będę ofiarą! - Tylko prędko, bierzcie trzciny i za mną... Nie zapomnijcie włożyć spodni!

Rozpoczęła się dziwna wędrówka trojga ludzi poprzez pokoje w amfiladzie.

Tam, pod oknami, dwaj mężczyźni skradali się wzdłuż fasady domu.

Wewnątrz trzech młodzieńcy stapali równie ostrożnie przez komnaty, starając się nie budzić śpiących, dając pilne baczenie na okna.

Księżyc oświeślał tę niesamowitą scenę.

W ten sposób po przejściu przez szereg pokoi, znaleźli się w lewym skrzydle.

Wreszcie dwa cienie pod oknami zatrzymały się.

- Sądzę, że się nie mylę! To musi być tutaj - rozległ się szept pod oknem.

Zefirio, Porfirio i Malibran spojrzeli sobie w oczy. W pokoju tym spała Mercedes.

- Jeśli krzyknie - szepnął Zefirio - będzie po zabawie. Malibran mrugnął znacząco.

Księżyc oświeślał ich swymi promieniami, lecz ludzie stojący pod oknem nie mogli ich widzieć.

Porfirio i Malibran na palcach zbliżyli się do łóżka.

Zefirio dłonią przycisnął usta śpiącej Mercedes, dwaj jego przyjaciele chwycili za łóżko z dwóch stron i wynieśli wraz ze śpiącą do drugiego pokoju.

Stało się to błyskawicznie. Mercedes obudziła się i przerażona chciała krzyczeć, wołać o pomoc, lecz silna dłoń przesłoniła jej usta.. .

- Leż spokojnie, kuzynko - rozległ się cichy szept nad jej uchem. - To ja, Zefirio. W twoim pokoju grozi ci niebezpieczeństwo...

Tymczasem dwaj nocni; goście przeleźli ostrożnie przez okno. W rękach ich połyskiwały noże. Wtem głuchy trzask dobiegł ich uszu. Czym prędzej wcisnęli się w ciemny kąt pokoju i czekali. Do pokoju wpadł Zefirio. Na twarzy jego malował się przestach.

- Przyjaciele drodzy! - wołał błagalnie w stronę otwartych drzwi. - Nie zabijajcie mnie, darujcie mi życie...

Do pokoju wpadł Porfirio i Malibran uzbrojeni w grube trzciny.

- Ha, łajdaku! - ryczał Malibran z wściekłością. – Nie ujdiesz nam...

- Wszystkie gnaty ci połamiemy - wtórował Porfirio, wywijając trzcina.

Rozpoczęła się dzika pogoń po pokoju. Zefirio uciekał, błagał, jęczał, a trzciny ostro cięły powietrze.

Rzecz dziwna: Zefirio zdołał zawsze uskoczyć przed ciosem, trzciny zaś z rozmachem padały na dwa cienie przyczajone w kącie.

Mercedes wstała z łóżka i, owinięta w kołdrę, stanęła w otwartych drzwiach.

Przed jej zdumionym wzrokiem rozgrywała się w poświacie księżyca niezwykła scena. W pokoju znajdowało się pięciu kotłujących się ludzi. Zefirio uskakiwał przed ciosami trzciny, wydając okrzyki przerażenia. Trzciny spadały na grzbiety i głowy dwóch nieznanomych ludzi, którzy zataczali się pod ciosami. Lecz co najdziwniejsze - ciosy te nie były przeznaczone dla tych dwójga nieznanomych. Porfirio i Malibran, z przekleństwem na ustach, starali się dosięgnąć tylko Zefiria. Jeśli uderzenia obrywał ktoś inny, nie była to niczyja wina, lecz tylko owych nocnych gości, którzy zupełnie niepotrzebnie płatali się pomiędzy „skłóconymi” przyjaciółmi.

Porfirio i Malibran nie zwracali najmniejszej uwagi na obcych, którzy daremnie usiłowali się wymknąć, uwaga ich była pochłonięta tym „łajdakiem” Zefiriem, który tak zręcznie uskakiwał przed ciosami.

Jeden z nieznanomych zwałił się z głuchym jękiem. Była to pierwsza „niewinna” ofiara „kłótni” przyjaciół. Po chwili również i drugi nocny intruz upadł obok.

Byli zbici, skrwawieni, sztylety dawno poleciały gdzieś w kąt.

- Wiesz co, Zefirio - rzekł pojednawczo Malibran. – Gniew nasz minął.

- Darujemy ci i niech będzie zgoda pomiędzy nami. Przyjaciele uściskali się serdecznie i nie zwracając najmniejszej uwagi na leżących, wyszli trzymając się pod rękę.

Gdy znaleźli się w pokoju, gdzie znajdowała się Mercedes, zamknęli drzwi za sobą.

- W bójkę poraniliście niewinnych ludzi - rzekła Mercedes. gniewnie. - I pozostawicie w ten sposób ofiary waszych niesnasek? Niegodziwcy!

Wszyscy trzej wybuchnęli głośnym śmiechem.

Mercedes zrozumiała wówczas, że cała scena kłótni była zręcznie zainscenizowanym kawałem.

- Ach! - szepnęła. - Pojmuję! Ci dwaj...

- No tak, kuzynko - rzekł Zefirio, przeciągając się sennie. - Ci dwaj wleźli z nożami przez okno.

Gdyby nie kije mych przyjaciół, kto wie...

W ogrodzie jakiś cień oderwał się od drzewa, dopadł furtki i wybiegł na drogę. Nie opodał, u skraju drogi, stały trzy konie. Człowiek skoczył w siodło i pognał przed siebie.

Był to czcigodny Pablo Ravales.

Zorro osaczony

- Hej ho! Hej ho! Olle, olle! - rozlegały się wesole okrzyki. Zabawa wrzała w całej pełni. Huesco przybrane lampionami, papierowymi chorągiewkami, świątecznie wystrojone - szalało.

Lud zapomniiał o swoich troskach, kłopotach i bawił się wesoło. Tłumy przelewały się przez ulice - mężczyźni w strojach wyszywanych złotem, kobiety w mantylach, z ozdobnymi grzebieniami we włosach.

Gdziekolwiek tańczono, rozlegała się muzyka, wesoły śmiech wybuchał wszędzie.

Hiszpania obchodziła Zielone Świątki. Największy tłok jednak panował na Wielkim Placu. Cisnąc się pomiędzy budami jarmarczными, ludzie ryczeli i wyli: Olle, olle!..

Co było przyczyną ich entuzjazmu? Oto wśród tłumu, torując sobie drogę, spokojnie szedł wysoki, zamaskowany mężczyzna.

- Olle, Zorzo!.. Niech żyje Zorro! - rozlegały się okrzyki.

Zorro nie zwracał najmniejszej uwagi na otaczających go ludzi. Spokojnie szedł naprzód: ludzie rozstępowali się przed nim z szacunkiem połączonym z trwogą.

Za nim, w pewnej odległości, torowało sobie drogę kilku mężczyzn. Wpatrywali się uporczywie w kroczącą przed nimi zamaskowaną postać. Porozumiewali się pomiędzy sobą oczami i nie odstępowali na krok od Zorry. Wyglądali na myśliwych idących śladem zwierzyny. W obejściu ich było coś wojskowego, przebiegłe oczy i okrutne oblicza miały coś w sobie z psów gończych.

Byli to szpiedzy księcia, krążący wśród rozbawionych ludzi.

Zwietrzyli dawno poszukiwaną zwierzynę, nie ośmielali się jednak zaczepiać Zorry wśród rozentuzjasmowanego tłumu, ale czekali tylko na odpowiedni moment.

Dotarł do miejsca na placu, gdzie tańczono narodowe tańce hiszpańskie, bolero i fandango.

Tańce hiszpańskie mają w sobie coś tygrysięgo, namiętnego, wulkanicznego. Niepodobna spokojnie patrzeć na tańczących, szalony rytm tańca porywa wreszcie i widzów.

Zorro stanął i przyglądał się wirującym parom.

Dolores, siostrzenica księcia, nie poznana przez nikogo, tańczyła bolero z jakimś wysokim mężczyzną w cywilnym ubraniu.

W pierwszej chwili Zorro nie mógł dojrzeć twarzy mężczyzny, był bowiem odwrócony doń plecami. Gdy partner Dolores wykręcił się w tańcu twarzą ku niemu, Zorro poznał don Alvareza. Pręgi na jego lewym policzku, zadane biczem z bawolej skóry, zagoiły się, lecz różowy ślad pozostał.

Wzrok pięknej Dolores padł nagle na Zorrę stojącego wśród tłumu.

Zbladła.

- Co się stało, seniorito? - zapytał don Alvarez.

Dolores nie odpowiedziała. Wzrok miała utkwiony w jeden punkt: tam gdzie stał Zorro.

Zorro rozgarnął ciżbę i wszedł pomiędzy tańczących.

Szedł prosto ku niej.

Gdy stanął tuż obok, don Alvarez ujrzał Zorrę.

Ledwie zdołał powstrzymać okrzyk dzikiej radości, wszak zwierzyna sama szła mu w ręce.

- Chcesz zatańczyć ze mną, seniorito? - zapytał Zorro, nie zwracając najmniejszej uwagi na don Alvareza.

Dolores milczała. Jak zahipnotyzowana opuściła swego dotychczasowego partnera i bez słowa podała rękę młodzieńcowi w masce.

Wszystkie oczy zwróciły się ku nim.'

Zorro zaczął tańczyć z Dolores.

Koło opustoszało. Nikt nie ośmielał się tańczyć tam, gdzie tańczył Zorro.

Ludzie dookoła przyglądali się w milczeniu - nie mogli oprzeć się zachwytowi.

Zorro tańczył niezwykle pięknie, porywająco, z oszalamiającym temperamentem.

Dolores czuła, że ją ogarnia coraz większy zawrót głowy. Cały świat zniknął dla niej - został tylko Zorro, ten bandyta i mściciel ludu. Zorro i ona, siostrzenica księcia don Ramida y Carvalha, wielkorządcy Aragonii.

Tymczasem don Alvarez wycofał się z koła. Rozpoznał w tłumie szpiegów książęcych. Przywołał kilku skinieniem, a gdy zbliżyli się, szepnął:

- Ściągnijcie tutaj wszystkich naszych ludzi. Tylko działajcie szybko, bo Zorro może się nam wymknąć. Zmieszani z tłumem, na dany przeze mnie sygnał, rzucicie się na niego i zerwiecie mu maskę z twarzy. Możliwe, że tłum ujmie się za nim. Lecz będzie już za późno - ujrzymy twarz bandyty i jeśli lud będzie usiłował wyrwać go z naszych rąk, liczę na was, że nie wyjdzie żywy. Sądzę, że wszyscy macie sztylety przy sobie... A teraz do dzieła...

Ludzie księcia rozbiegli się na wszystkie strony.

Wkrótce tłum widzów dookoła Zorry zaczął się powiększać. Przybywali zewsząd nowi ludzie, o zdecydowanym wyrazie twarzy i ostrym spojrzeniu.

Don Alvarez czekał w napięciu.

Stwierdził wreszcie z zadowoleniem, iż Zorro został już otoczony przez jego żandarmów..

- Czas najwyższy - szepnął.- Zorro, teraz my porozmawiamy...

Zorro tańczył beztrzesko. Ukazywał zęby śnieżnej białości w uśmiechu, patrząc na płonąca twarz Dolores.

- A więc, seniorito - rzekł półgłosem - jakże się czujesz w towarzystwie takiego partnera? Czy nie znużył cię taniec?

- Och, senior! - brzmiała cicha jak westchnienie odpowiedź.

- Jestem szczęśliwy, że tańczę z tobą, seniorito - rzekł Zorro. - Gdym cię ujrzał, świat cały wydał mi się taki piękny...

- Och, senior! - rzekła znów Dolores bez tchu.

Zorro nachylił się nad nią i nie kępując się bynajmniej gapiów, z prawdziwym hiszpańskim „sans gene” złożył gorący pocałunek na pięknych ustach Dolores.

- Brawo Zorro! - ryknął rozweselony tłum.

Wówczas don Alvarez dał znak swym ludziom.

Kilkunastu mężczyzn przedarło się przez tłum i ze wszystkich stron runęli na Zorrę.

Gdy na ziemi utworzyło się kłębowisko zmagających się z sobą ludzi, niektórzy z widzów rzucili się w wir walki, pragnąc wydobyć Zorrę z opresji. Po chwili nie można było odróżnić, gdzie są przyjaciele Zorry, a gdzie jego wrogowie. Wszystko się pomieszało w homeryckich zapasach.

Don Alvarez miotał się gryząc palce z wściekłości.

Do tysiąca szatanów! klął w duchu. Zorro może się wymknąć korzystając z zamieszania. Nie, to niemożliwe, leży na samym spodzie pod moimi ludźmi... Trzymają go za ręce i za nogi...

Hałas bitwy zwabił policję i żołnierzy krążących w pobliżu. Don Alvarez na widok niespodziewanych posiłków zaczął wołać:

- Prędzej, prędzej! Otoczyć walczących. Nikt nie powinien się wymknąć.

Policjanci i żołnierze otoczyli zwartym kołem walczących, rozpraszając jednocześnie resztę tłumu.

Don Alvarez odetchnął swobodnie. Nie, teraz nawet mysz się nie przemknie.

Grzmiący głos jego pokrył ogólną wrzawę:

- Ludzie księcia wielkorządcy... Bacność! Puścić Zorrę! Zaprzestać walki!

Dyscyplina wzięła górę. Zbiry księcia stanęły nieruchomo, dysząc ciężko. Na pobojuwisku pozostało kilku poturbowanych ludzi z tłumu.

A jednak Zorro znikł bez śladu. Jakim cudem wymknął się żołnierzom? Don Alvarez nie chciał wierzyć własnym oczom. Możliwe, że jeden z tych obcych ludzi, którzy wmieszali się w bójkę, to właśnie Zorro bez maski. Zaczął więc uważnie przyglądać się twarzom tych ludzi. Kilku z nich natychmiast rozkazał wypuścić. Wygląd ich i budowa ciała nie odpowiadały wizerunkowi Zorry. Kilku kazał zaarrestować.

Nagle wzrok jego padł na znajomą twarz. Zefirio siedział jeszcze na ziemi. Twarz miał skrzywioną płacząco. Ubranie wisiało na nim w strzępach. Obok niego siedzieli, mocno poturbowani, Porfirio i Malibran.

- Hola, Zefirio! - zawołał don Alvarez. - A ty co tutaj robisz? - To samo mógłbym i ciebie zapytać, sefior!

- Jestem tutaj urzędowo!...

- Więc jeśli jesteś urzędowo, to wytłumacz mi, proszę, co to za bałwan kazał tym ludziom rzucić się na Zorrę! Przecież ja, wraz z moimi przyjaciółmi: Porfiriem i Malibranem, mieliśmy go już prawie w ręku. Jeszcze sekunda, a zostałby związany jak baran! Ten idiota, co kazał dwudziestu ludziom czynić zamieszanie, ułatwił bandycie ucieczkę!

Don Alvarez zatrzęsł się z wściekłości:

- Uważaj, Zefirio, na swój język! - rzekł doń. - Ten idiota, co wydał ten rozkaz, to jestem ja!

- Ach tak? Bardzo się cieszę, że sam się przyznałeś, sefior! Patrz, oto rezultat...

Wskazał na leżące obok na ziemi czarne, podeptane gałgany:

- Rezultat twego rozkazu! Maski i zawój, które zbój porzucił w ucieczce!

I dodał po chwili głębokiego namysłu:

- Będę zmuszony donieść księciu panu, że danego mu przyrzeczenia nie mogę dotrzymać! Gdy mnie zapyta o powód, poproszę go, by zapytał don Alvareza, który mi włązi w paradę w chwili, gdy prawie trzymam Zorrę w garści!

Don Alvarez wzruszył ramionami i odszedł.

Co tu gadać z głupim! pomyślał. Osioł jest święcie przekonany, że ująłby Zorrę przy pomocy dwóch wymoczków...

Zefirio przemawia

Po pewnym czasie plac przybrał swój codzienny wygląd. Don Alvarez gdzieś znikł. Ludzie się rozeszli rozprawiając z ożywieniem.

Po tym cudownym zniknięciu Zorry legenda o jego nieuchwytności rozrosła się do niebywałych rozmiarów.

Wiść o zaszłych wypadkach lotem błyskawicy rozniosła się po całym mieście. Wszyscy, od małego do dużego, łamali sobie na próżno głowy nad zagadką: w jaki sposób Zorro, napadnięty przez dwudziestu zbirów księcia, otoczony podwójnym murem policji i wojska, zdołał się wymknąć?

Wszędzie utworzyły się grupy ludzi żywo rozprawiających z sobą.

- Hej, Pedro, słyszałeś, co zrobił Zorro?

- Tak Solito, podobno leżał pod setką policjantów i zapadł się nagle w ziemię.

- To graniczy z cudem!

- Zorro jest chyba czarownikiem!

Zabobonni wyciągali przed siebie rozczapierzone palce, co miało chronić od złego oka i od czarów.

- Wiesz, Giacopo, nie chciałbym za nic w świecie mieć Zorrę przeciwko sobie!

- Jest bardzo dobry dla nas, biednych ludzi!

- Naraża się dla ludu!... Niech żyje bohater!

- Olle, Zorro!...

Podobne zdania i okrzyki rozlegały się wszędzie. Mieszkańcy Huesco i okolic dawali upust swemu podziwowi i entuzjazmowali się wykrzykując imię swego bohatera.

Tymczasem Zefirio z trudem wstał z ziemi, wspomagany przez swych dwóch przyjaciół. Miał przy tym taką nieszczęśliwą minę, że gapie przyglądający się tej scenie, nie mogli powstrzymać się od śmiechu i złośliwych żarcików.

- Śmieście się, śmieście, dobrzy ludzie - zwrócił się Zefirio do tłumu. - ' Ciekawy jestem, jak każdy z was wyglądałby pod ciężarem pięciuset rozszalałych mężczyzn.

- Cha, cha! - rozległ się ogólny śmiech. - Pięciuset mężczyzn! Cha, cha!

Jeden z obecnych zawołał:

- Czy nie mylisz się, sefior Zefirio? Było ich całe pięć tysięcy.

- Pół miliona - ryknął jakiś brzuchaty obywatel.

- Cisza - zawołał Zefirio. - Dajcie mi mówić. Proszę o głos. - Cicho, cicho, sefior Zefirio chce mówić - zewsząd odzywały się głosy rozbawionych ludzi.

- Wyżej, wyżej go! - wołali inni z tylnych szeregów. - Chcemy go widzieć.

Kilka par ramion uniosło go w górę. Dwaj krzepcy mężczyźni posadzili go na swych barkach i Zefirio rozpoczął przemowę:

- Dziękuję wam, zacni moi współobywatele. Pragnę powiedzieć tylko kilka słów, nie chcę bowiem byście zrozumieli fałszywie sytuację, w jakiej się znalazłem przed niespełna dwiema minutami... Rozumiecie dobrze, że sądząc z pozorów...

- Do rzeczy... do rzeczy! - rozległy się zewsząd niecierpliwe okrzyki.

- Dobrze, a więc przystępuję do rzeczy... Otóż, drodzy moi rodacy, zacznę od początku. Jak wiadomo, Hiszpanie krew mają gorącą. A dlaczego? Bo pochodzimy z ludów południa. Płynię w nas krew Maurów, Latynów, Żydów i Berberów.

- Dostyc, dostyc. O ziemię go! - rozległy się okrzyki. - O ziemię mówcę!

- Dlaczego nie wywodzisz nas również od Murzynów i Chińczyków? - wrzasnął jakiś drab. - Na ziemię głupca!

Dwaj mężczyźni, którzy dźwigali go na swych ramionach, nie dali sobie dwa razy powtarzać i biedny Zefirio znalazł się powtórnie na Ziemi.

Tłum zaczął się rozchodzić. Ludzie machnęli ręką na głupca, uwaga ich została skierowana w inną stronę.

- Nie znają się na krasomówstwie - mruknął Zefirio. - Szkoda fatygi dla nich.

Porfirio i Malibran dźwignęli go wspólnie z ziemi.

Trójka nierozłącznych przyjaciół, podpierając się nawzajem, oddaliła się wreszcie z pola walki.

W miarę jak oddalali się od miasta, kroki star-wały się coraz pewniejsze, sylwetki prostowały się, na ustach zjawiał się uśmiech. Obecnie nikt by nie. poznał, że przed kwadranssem opuścili plac ledwie żywi, pobici, zmalretowani.

I oto nagle Porfirio wykonał koziołka w powietrzu, a Zefirio i Malibran roześmieli się wesoło.

Znak na drzwiach

Pokój, w którym znajdował się Pablo Ravales, miał dziwny wygląd. Puste butelki leżały pod stołem, na łóżku i w kącie na podłodze. Stół zarzucony był papierami, na których widniały Wykresy i cyfry. Obok papierów leżała para pistoletów oraz stos naboii. Ravales siedział obok stołu. Sombrero miał na głowie, na butach ostrogi.

Na dwóch innych krzesłach siedzieli dwaj jego nieodłączni towarzysze. Wyglądali nader dziwnie: głowy mieli obandażowane, twarze zaklejone plastrami. Był to ślad pałek Porfiria i Malibrana od czasu owej niefortunnej nocnej wyprawy do domu Anzelma Cortiego.

Pablo Ravales odezwał się po długim milczeniu:

- Nie przychodzi..

- Powinien już być - brzmiała odpowiedź jednookiego.

- Szósta dochodzi - rzekł trzeci mężczyzna..

- Nie jest zbyt punktualny. Czekamy przeszło godzinę.

- A oto jest!

Drzwi się otworzyły i stanął w nich don Alvarez.

- Witajcie, senores - rzekł wchodząc.

- Witaj, senior Alvarez - rzekł Ravales, wyciągając doń rękę. - Czekamy, jak widzisz.

Don Alvarez zajął wolne krzesło.

- Nie mogłem przyjść wcześniej. Zarządziłem obławę w okolicy. Czas, byśmy wreszcie ujęli Zorrę...

Ravales zapalił długie cygaro.

- I ja odczułem na swej skórze, do czego jest zdolny - rzekł. - Ale przystąpmy do rzeczy. Nie po to zebraliśmy się w hotelowym pokoju, by rozprawiać o tym zbójcu.

Don Alvarez przysunął krzesło.

- Dobrze, przystąpmy do rzeczy - rzekł półgłosem. - Jeśli pamięć mnie nie myli, pragniecie nabyć posiadłość Anzelma Cortiego.

- Tak.

- I ten nie chce wam jej sprzedać?

- Niestety!

- Jaką sumę proponowaliście?

- Milion!

- Ejże! Słyszałem, że dawaliście więcej!

- Nieprawda.

- Coś ze trz:;y czy cztery miliony.

- Tylko dwa i pół.

- Więcej to niż milion.

- Proponowaliśmy, ot tak dla żartów.

- Nie kłam, senior Ravales. Dalibyście tę sumę, gdyby Corti się zgodził.

- Posiadłość nie jest warta tyle.

- Możliwe, nie przeczę. Lecz zależy wam na niej z jakichś powodów, których nie znam.

- Żądanie klienta...

- Nie mówcie głupstw! Tyle was obchodzi klient, co mnie prababka. Zresztą nie wchodzi w to. Powiedz mi tylko, senior Ravales, ile na tym zarobię...

- Pół miliona, jeśli się uda.
- Uda się na pewno, albowiem ksiązę robi wszystko, co mu każe. Pół miliona to jednak niewiele.
- Nie możemy więcej.
- Milion... i zaczynam działać.

Ravales podrapał się w głowę. Tym razem żal mu było miliona. Widząc jednak stanowczą postawę don Alvaręza, uległ.

- Dobrze. Damy milion, ale sprawa musi zostać szybko załatwiona.
- W ciągu miesiąca Anzelmo Corti zostanie wywłaszczony. Odbierzemy mu ziemię, by ją wam oddać.

- Załatwicie tę sprawę za zgodą królowej?

- Tak! Tylko jaką mam gwarancję, że mi wypłacicie ten milion? W tej samej chwili, zanim Ravales zdążył odpowiedzieć, rozległo się trzykrotne pukanie do drzwi.

Jednooki wstał, zbliżył się ku drzwiom i otworzył je. Za drzwiami nikogo nie było.

Wyjrzał na korytarz. Korytarz był pusty.

Jednooki zamknął drzwi i usiadł na swym miejscu.

- Nie było nikogo za drzwiami - rzekł.

Obecni spojrzeli po sobie.

Po chwili don Alvarez powtórzył poprzednie pytanie:

- Jaką gwarancję dajecie mi, że otrzymam ten milion? Sprawę załatwię pomyślnie, Cortiemu zabierzemy posiadłość, a później, gdy przyjdę po odbiór pieniędzy, pokażecie mi drzwi. Po was mogę się tego spodziewać.

Ravales zamyślił się i rzekł:

- Gotów jestem...

Wtem po raz drugi rozległo się trzykrotne pukanie.

Wszyscy czterej rzucili się ku drzwiom. Na korytarzu nie było żywej duszy.

Don Alvarez spojrział przypadkiem na zewnętrzną stronę drzwi i cofnął się przerażony.

Na drzwiach od strony korytarza widniały trzy czerwone kreski w kształcie litery „Z”.

Znak na biurku

- Zorro kręci się koło posiadłości Anzelma Cortiego. Większość napadów odbywa się w pobliżu majątku należącego do niego. Pewnej nocy omal nie wpadł w moje ręce i gdzie? W ogrodzie Anzelma, tuż koło domu. Jestem przekonany, że stary hacjendero porozumiewa się z Zorzą. Może nawet mu pomaga. Pewne poszlaki wskazują, iż Anzelmo Corti jest naszym wrogiem, wrogiem partii królewskiej...

Don Alvarez urwał i zaciągnął się dymem cygara, śledząc spod oka wrażenie wywołane opowieścią.

Ksiązę siedział zamyślony. Po chwili odezwał się:

- Nie może mi się pomieścić w głowie, że poczciwy Corti, który poza uprawą roli i hodowlą bydła niczym się nie interesuje, knuje przeciwko władzy.

- A jednak...

- Gdyby nawet tak było, jakież dowody mamy przeciwko niemu? Żadnych. A bez dowodów nie mogę uwięzić człowieka szanowanego w całej okolicy...

- Jest na to inna rada.

- Jaka?

- Możemy pozbawić go ziemi. Gdy będzie zmuszony porzucić te strony, ręką głową, że schwytemy Zorzę. Możliwe jednak, że wraz z odejściem Cortiego zniknie również i Zorro.

Don Alvarez mówił na chybił trafił. Chodziło mu jedynie o to, by przekonać księcia.

- Dobrze, señor Alvarez!.. - rzekł ksiązę. - Nie mam nic przeciwko temu, by przepędzić stąd Cortiego. Tylko nie wiem, w jaki sposób! Poradź, jak mam się do tego zabrać.

- Bardzo prosto...

Don Alvarez przysunął krzesło i zaczął mówić szeptem. Ksiązę kiwał głową na znak zgody, wreszcie wstał i rzekł: - Zgoda! Zrobię tak, jak mi radzisz!

Było już dość późno. Don Alvarez pożegnał się i wyszedł z gabinetu księcia.

Księżę zamknął drzwi za nim i powrócił do biurka.

Wtem drgnął, oczy wpatrzone w papiery rozszerzyły się niezmiernie pod wpływem przestrawu. Na rozrzuconych papierach leżała kartka, a na niej widniały skreślone wielkimi literami słowa:

Zostawcie Cortiego w spokoju. Nie jest mym współnikiem ani pomocnikiem.

U dołu kartki wielka litera „Z”.

Don Alvarez wyszedł z siedziby księżęcej uradowany. Czuł, że milion ma już w ręku. Jeszcze dwa, najwyżej trzy tygodnie, a zgłosi się do Ravalesa i przedłoży mu zobowiązanie przez tegoż podpisane. Następnie zostawi Aragonię, porzuci służbę wojskową i jecha do Madrytu. Tam na dworze królowej Izabelli czeka go daleko lepsza kariera.

Snując różowe myśli, zbliżył się do swej kwatery. Przed wejściem pełnili wartę żołnierze, którzy na jego widok prezentowali broń.

W przedsionku, na korytarzu, wszędzie zresztą pełno było oficerów i podoficerów, którzy mimo spóźnionej pory czekali na rozkazy pułkownika.

Nie zatrzymując się przeszedł przez wszystkie pokoje w drodze do swego gabinetu.

Przed drzwiami stanął zdziwiony. Poprzez uchylone drzwi sączyło się światło.

- Kto zapalił tu światło? - zapytał sam siebie i pchnął drzwi.

Na krawędzi biurka siedział Zorro, trzymając w ręku zobowiązanie podpisane przez Ravalesa.

Jak się tutaj znalazł? Którędy dostał się do tego pokoju, skoro wszędzie tylu uzbrojonych ludzi? Myśli te błyskawicznie przebiegły przez głowę don Alvareza.

Chciał się cofnąć i wezwać ludzi, lecz wycelowana lufa przykuła go do miejsca.

- Prosimy do środka, senor Alvarez! - rzekł uprzejmie Zorro, nie przestając weń celować. - Bardzo będziemy radzi pogawędzić z panem pułkownikiem.

Don Alvarez postąpił krok naprzód..

- Zamknij drzwi, pułkowniku - rzekł Zorro. - Zamknij drzwi i zbliż się, proszę!

Don Alvarez usłuchał, czując w całej swej istocie lodowaty podmuch strachu.

Stanął przed Zorrrą, który uśmiechał się swobodnie pod maską. Białe jak śnieg zęby lśniły w świetle świec umieszczonych w kandelabrach.

Pułkownik rzucił okiem na wycelowaną lufę i zzieleniał. Nie był to wcale pistolet, lecz cybuch jego własnej fajki. Zorro wywiódł go w pole.

- Tak, to rozumiem - rzekł Zorro. - Posłuch i dyscyplina! Teraz możemy spokojnie porozmawiać...

Uniósł kartkę papieru.

- Poznajesz, senor? Jest to liścik daleko cenniejszy od najczulszego listu miłosnego, albowiem zamiast słów miłości jest w nim mowa o milionie..

Don Alvarez milczał.

- Gdyby poczciwy księżę wiedział - ciągnął dalej Zorro - że wszystkie przekonujące argumenty, jakimi go przed godziną oszołomiłeś, gdyby księżę przeczuwał, że wszystko co powiedziałaś, o biednym, Bogu ducha winnym starcu, że wszystkie twe intrygi powodowane są tym oto świstkiem, który trzymam w ręku, gdyby księżę siędomyślił, jak sądzisz, co by uczynił? Ukaral cię? Nie! Zażądałby na pewno tego miliona do podziału. Ale ty wolisz zatrzymać sprytnie zarobiony milion dla siebie, nieprawdaż? Otóż nie! Muszę cię ukarać za twój egoizm! Zobowiązanie Ravalesa powędruje do mej kieszeni. Sądzę, że jej królewska mość ucieszy się, gdy na widok tej karteczki uświadomi sobie, jakich zabiegliwych ma oficerów.

Wszystko zawirowało przed oczami don Alvareza. Rzucił się na Zorrrę, by wydrzeć mu kompromitujący dokument.

Zorro nie ruszając się z miejsca, uniósł nogę i don Alvarez poleciał w kąt pokoju. Otrzymał potężne pchnięcie w piersi. Padł pod ścianą, a właściwie usiadł. Przez chwilę nie mógł złapać oddechu, wreszcie spróbował się dźwignąć. Nagle zbawienna myśl zaświtała w jego mózgu. Błyskawicznie dobył pistolet, który miał przy sobie i strzelił.

Zorro nachylił się i kula przeleciała tuż nad jego głową.

Za drzwiami rozległ się tupot biegnących ludzi. Drzwi zostały pchnięte gwałtownie i uzbrojeni żołnierze wpadli

do pokoju.

Zorro jednym susem był przy oknie.

Zanim obecni zdolali ogarnąć sytuację, Zorro wyskoczył. Okno znajdowało się na znacznej wysokości i Zorro spadł na bruk dziedzińca.

W oknie ukazały się głowy ludzkie.

- Trzymaj, łap Zorrę! - rozległy się dzikie okrzyki. Żołnierze znajdujący się na dziedzińcu, rzucili się ku człowiekowi

w masce.

Droga ucieczki była odcięta.

Zorro zawrócił ku domowi. Dopadł ściany i począł wspinać się po niej, chwytając się załomów muru i wystających ozdób architektonicznych. Wnet znalazł się na poziomie pierwszego piętra. Okno, obok którego się zatrzymał, nie było oświetlone. Zorro wybił szybę i wskoczył do pokoju. Przebiegł po omacku kilka pustych pokoi, wywracając krzesła po drodze, i znalazł się wreszcie na korytarzu.

Lecz ludzie biegli już w jego stronę. Zorro zawrócił i wpadł do sąsiedniej sali. Również i tutaj droga była odcięta. Drugimi drzwiami wpadł tłum z latarniami i pochodniami. Sala miała tylko dwa wyjścia. Jedno wyjście na korytarz, który zappełnił się ludźmi, i owe drzwi z przeciwległej strony, którymi wbiegł drugi oddział prześladowców.

Zorro został otoczony ze wszystkich stron.

Na ułamek sekundy wszystko znieruchomiało.

Osaczony rozglądał się dookoła jak tygrys w matni. Pośrodku sali wisiał olbrzymi, wspaniały żyrandol.

Wzrok Zorry padł na niego. Została mu tylko ta droga ratunku. Dał potężnego susa w górę i uchwycił się żyrandola. Pod wpływem skoku żyrandol wraz z mężczyzną zaczął się kołysać.

Ludzie pod nim czynili rozpaczliwe wysiłki, chcąc go uchwycić za nogi i ściągnąć na dół. Zorro jednak kołysząc się coraz szybciej, rozdawał potężne kopnięcia na prawo i lewo.

Żyrandol kołysał się coraz gwałtowniej.

W pewnej chwili Zorro rozluźnił palce. Ciało jego opisało wielki łuk w powietrzu i uderzyło z rozpędu w okno.

Rama okienna została wysadzona. Rozległ się brzęk rozbitego szkła.

Zorro spadł na miękką murawę.

- Strzelać!... Strzelać!... - rozległ się rozpaczliwy krzyk don Alvareza, który wychylił się przez okno. - Tam na ziemi... celujcie dobrze... Pał, pał!...

Inni żołnierze okrążali dom, biegnąc w stronę ogrodu.

W kilku oknach ukazały się lufy pistoletów, błysnęły płomienie i rozległa się salwa.

Cała ta scena trwała zaledwie parę sekund. Kilku śmiazków skoczyło z okien. w ślad za Zorrą, lecz na próżno. Czarny cień mignął ponad płotem okalającym ogród.

Zorro znikł bez śladu.

Popis

Don Alvarez zsiadł z konia i oddał wodze żołnierzowi. Oddział stanął przed domem Anzelma Cortiego.

Don Alvarez wszedł do środka.

- Witaj mi, oficerze! - rzekł uprzejmie Anzelmo Corti, wskazując krzesło.

Don Alvarez usiadł.

- Senor Corti - rozpoczął. - Przybywam do ciebie w sprawie urzędowej.

- Zamieniam się cały w słuch!

- Chodzi o Zorrę! Musisz nam udzielić o nim szczegółowych informacji.

- Zorro? - zdziwił się Corti. - Cóż mogę wiedzieć o nim? - Jesteśmy przekonani, że wiesz, senor, więcej, niż chcesz powiedzieć.

Szczerze zdumienie odbiło się na obliczu Anzelma. Don Alvarez nie zwracał jednak uwagi na wywołane wrażenie i ciągnął dalej:

- Ostatnio przeglądaliśmy wraz z księciem wielkorządcą listę zaległych podatków. Pomiedzy dłużnikami znajduje się również nazwisko Anzelma Cortiego.

Corti zerwał się ze swego miejsca, wołając:

- To nieprawda!

- Mniejsza o to. W danym wypadku obchodzi nas inna sprawa, a mianowicie: Zorro ujął się za tobą i po raz pierwszy wystąpił czynnie w obronie prywatnej osoby. Daje nam to wiele do myślenia.

Anzelmo spoglądał przez chwilę na swego rozmówcę, wreszcie rzekł:

- Przyznam się, senor Alvarez, że nic nie rozumiem! O co wam chodzi? Że nie zapłaciłem podatków za ostatnie lata? Mam pokwitowanie wystawione przez urząd, że wszystkie podatki są uiszczone. Następnie dziwi was, że Zorro ujął się za mną? Zaręczam pod słowem honoru, że nie znam go, nie rozmawiałem nigdy, a tym bardziej nie mogłem prosić Zorrego o jakąkolwiek obronę, bowiem nie wiem o tym, by mnie napastowano! Chyba wystarczy słowo szlachcica.

- Wystarczy, senor Corti! Niestety, książe jest uparty i mściwy. Wstawiennictwo Zorrego obudziło w nim niechęć do ciebie, senor. Nie ustanie, dopóki cię nie zrujnuje, nie uczyni z ciebie nędzarza i nie puści w świat o kiju żebraczym.

- Ha, trudno - westchnął Corti z rezygnacją. - Niech się dzieje wola boska.

- Rozumiesz więc teraz, senor, że przybywam tutaj jako przyjaciel, pragnę cię bowiem ostrzec przed nieszczęściem.

Zamilkł na chwilę, po czym ciągnął dalej:

- Wysłuchaj więc przyjacielskiej rady. Sprzedaj posiadłość i porzuć Aragonię.

- Nigdy nie uczynię tego! - zawołał Corti. - Wolę zginąć.

- Zostaniesz zrujnowany.

- Zobaczymy! Wierzę w sprawiedliwość. Sumienie mam czyste, to mi wystarczy.

- Dobrze - rzekł Alvarez, kryjąc złość. - Zobaczymy, spełniłem swoją powinność wobec człowieka, do którego żywię sympatię. Reszta mnie nie obchodzi. Obawiam się jednak, że tutaj nawet Zorro nie pomoże.

Nagle w drzwiach rozległ się ślamazarny głos.

- Kto tu mówi o Zorro?

Do pokoju wszedł Zefirio, w ręku trzymał kopertę.

- Aa... dzień dobry, senor Alvarez! - zawołał. - Cieszę się, że was widzę! Co się tyczy Zorrego, możecie się go już nie obawiać!

- Co takiego? - skoczył na równe nogi don Alvarez.

- Biada mu, gdy go przyłapię - ciągnął Zefirio swym flegmatycznym głosem. - Biada mu, bo władam obecnie biczem z bawolej skóry lepiej od niego. Niech go tylko spotkam, popamięta Zefiria.

Don Alvarez usiadł z powrotem rozczarowany. Spodziewał się, że Zorro został schwytany, zabity lub coś w tym rodzaju. Wydawało mu się przez moment, że Zefirio przynosi tę radosną nowinę, niestety zapomniał, że młody Corti to skończony głupiec, który rzadko mówi do rzeczy.

- A propos! - zawołał Zefirio. - Zapomniałbym. Jakiś mały chłopiec wręczył mi ten list zaadresowany do ciebie, senor Alvarez.

Don Alvarez rozerwał kopertę i wyjął kartkę papieru:

Senor Alvarez, ostrzegam Cię po raz ostatni, zaniechaj Twych intryg. Zobowiązanie na milion mam przy sobie.

Podpisane: "Z".

Don Alvarez zbladł i podarł list w drobne kawałki. Ten Zorro zna każdy mój krok - pomyślał. Czyżby był duchem?

- Skończyłeś, senor? - zapytał Zefirio, który czekał, aż oficer przeczyta kartkę.

- Skończyłem - rzekł don Alvarez.

- A więc poproszę cię, senor, byś wyszedł na dziedziniec. Chcę ci zaprezentować moją nową

umiejętność.

- Kochany senor Zefirio, odłóżmy popis na inny dzień. Dziś naprawdę nie mam ochoty ani czasu na oglądanie sztuczek. Możesz mi wierzyć, caballero, że mam daleko ważniejsze sprawy na głowie.

- Wierzę ci, pułkowniku, i zaiste szanuję twój czas i spokój, lecz proszę cię, zanim odjedziesz, racz mnie wysłuchać. Zadam ci kilka pytań, nie zajmie to zbyt wiele czasu... Dobrze?

- Pytaj!

- A więc słuchaj, senor Alvarez. Pierwsze pytanie: Kto jest naszym wspólnym wrogiem, czy nie Zorro?

- Tak!

- Dobrze! Teraz drugie pytanie: Dlaczego Zorro jest niezwycięzony? Czy nie dlatego, że jest mistrzem we władaniu biczem i pistoletem?

- Możliwe.

- Świetnie! A teraz trzecie i ostatnie pytanie: Senor Alvarez, odpowiedz szczerze, jeśli się znajdzie człowiek, który zna Zorrę z twarzy i włada biczem i pistoletem nie gorzej od niego i jeśli ten człowiek zmierzy się z Zorram, czy ma szanse na zwycięstwo?

- Hm...

Zefirio przybrał dumną postawę.

- Pułkowniku, popatrz na mnie dobrze!... Czy widzisz mnie?

- Widzę - rzekł don Alvarez i zagryzł wargi, by nie parsknąć śmiechem.

- Widzisz mnie, to prawda, lecz nie wiesz, że ja jestem tym człowiekiem, który ma szanse na zwycięstwo! Ha, co ty na to, pułkowniku?

- Podziwiam...

- A więc chodźmy na dziedziniec, senor... Za chwilę ocenisz, czy jestem godnym przeciwnikiem bandyty.

Don Alvarez wstał i wyszedł za nim.

Oddział rozlokował się na dziedzińcu, lecz po prawej stronie placu miejsce było wolne. Słupek, wysokości ludzkiego wzroku, stał pośrodku, wbity w ziemię.

Zefirio ujął bicz z bawolej skóry.

- Uwaga! - zawołał przybierając teatralną, pełną dumy pozę. - Rozpoczynamy pokaz a la Zorro. Ręczę, że sam Zorro mógłby się uczyć u mnie, jak należy z precyzją władać biczem.

Po czym dodał, zwracając się ku licznym widzom:

- Kładę jabłko na tym oto słupku! Zestrzelić je pistoletem, nie jest sztuką. Natomiast zrzucić jabłko końcem bicia, z odległości dziesięciu prawie kroków, to sztuka nie lada. - Wypiął dumnie pierś. - Nikt tego nie potrafi, tylko ja, Zefirio Corti! Wszyscy, którzy jesteście tutaj obecni, rozgłoście po całej Hiszpanii, że Zefirio Corti włada biczem z bawolej skóry jak nikt na świecie, nie wyłączając nawet Zorry... A teraz uwaga!

Bicz strzelił. Rzemień opisał ze świstem łuk w powietrzu.

Jabłko nie ruszyło się z miejsca, natomiast rozległ się przeraźliwy krzyk. Biedny wieprzek, który wałęsał się w pobliżu otrzymał niezасłużone cięgi.

- To nic - rzekł nie zrażony Zefirio. - Za pierwszym razem może się nie udać! Zobaczycie teraz.

Bicz przeciął powietrze po raz wtóry.

Jabłko leżało nadal spokojnie na swym miejscu.

Wówczas Zefirio, pragnąc za wszelką cenę strącić jabłko, zapalił się do gry.

Rzemień świstał coraz szybciej.

Rozległy się jęki i przekleństwa. Trafione konie stawały dęba. Ludzie chwytały się za twarze i uciekali, gdzie pieprz rośnie, przed straszliwym rzemieniem.

Don Alvarez, który stał w pobliżu Zefiria, nie zdążył odskoczyć. Smagnięty w twarz, upadł na ziemię.

Zefirio był głuchy i ślepy. Nie zważał na spustoszenie, jakie siał dookoła jego bicz. Wpatrzony w jabłko, wymachiwał rozpaczliwie biczem, nie widząc, że nieposłuszny rzemień trafia swym końcem zupełnie gdzie indziej.

Wreszcie Zefirio się zmęczył. Otarł pot z czoła i obejrzał się. Zdumienie odmalowało się na jego

głupkowanym obliczu. / Nie opodał ludzie leżeli jęcząc.

Inni chwytały rozszalałe konie.

Za jego plecami, w odległości dziesięciu kroków, don Alvarez z trudem dźwigał się z ziemi. Na jego obliczu widniała długa, czerwona pręga.

Na ganku stali Porfirio i Malibrán, trzymając się za brzuchy od śmiechu.

Dolores i Mercedes

Książęcy powóz sunął drogą. Dolores niecierpliwie wyglądała przez okno. Udawała się do Madrytu, lecz po drodze chciała się zobaczyć ze swą przyjaciółką Mercedes, była koleżanką z klasztoru.

Było piękne popołudnie czerwcowe. Słońce tego dnia nie przypiekało zbyt mocno, świeży powiew wiatru z północy muskał policzki Dolores.

Wreszcie oczom dziewczyny ukazał się w oddali dom Anzelma Cortiego.

Niebawem powóz zatrzymał się. Dolores wysiadła i udała się do hacjendy.

Mercedes, która przez okno dostrzegła zbliżającą się przyjaciółkę, wybiegła na spotkanie. Dziewczyny ucałowały się serdecznie i Mercedes zaprowadziła przyjaciółkę do gościnnego pokoju.

Usiadły na sofie i zaczęły rozmawiać.

- Ach, moja kochana Mercedes - mówiła Dolores - jakże się cieszę, że widzę cię nareszcie, po tylu latach rozłąki...

- No, nie przesadzaj - odparła Mercedes z uśmiechem - dopiero dwa lata minęły od chwili, gdy opuściliśmy klasztor.

- Możliwe. Czas ten wydał mi się szalenie długi. Bo też nudzę się u wuja okropnie. Saragossa, nie wyobrażasz sobie, co to za dziura. Wprawdzie jest uniwersytet, lecz jak wiesz, studenci mnie nie interesują.

- Sądzę, że nie brak wojskowych w świątynie twego wuja.

- Owszem! Ale są tacy nudni! Zresztą i oni mnie nie interesują...

- Ciekawe. Czyżbyś była zakochana?

Dolores zarumieniała się, milczała chwilę, wreszcie rzekła z wahaniem:

- Zdaje się, że zgadłaś!

- Jesteś zakochana? .

- Tak sądzą.

- A w kim?

- O, tego ci powiedzieć nie mogę. Wybacz, ale to tajemnica. - Nie nalegam. „Zresztą i ja... nie mogę powiedzieć, by me serce było wolne.

- Ach, to ciekawe. Kochasz również?

- Niestety.

-Dlaczego Niestety?

- I ja powiem, że to tajemnica.

- A więc obie mamy swe tajemnice. Mój Boże, jaka szkoda, że nie będę mogła pozostać tutaj dłużej, choćby do wieczora.

- Śpieszysz się?

- Tak. Jadę do Madrytu. Matka mnie wzywa. Jest trochę niezdrowa i chce mnie mieć przy sobie. Myślę jednak, że to niezbyt długo potrwa i niebawem powrócę do Saragossy. Wówczas musisz do mnie zawitać. Nagadamy się do woli.

Nagle drzwi wiodące do gościnnego pokoju otworzyły się i Zefirio przestąpił próg. Wzrok jego padł na dziewczyny siedzące obok siebie.

Zefirio cofnął się raptownie i zamknął drzwi. Obie jednak zdążyły go zauważyć.

Dolores roześmiała się.

- Zgaduję - zawołała - kochasz Zefiria.

- Ależ co ty wygadujesz? - oburzyła się Mercedes. - Złe masz o mnie wyobrażenie. Przecież to skończony głupiec i niedołęga.

Dolores śmiała się na dobre.

- Wybacz mi, moja kochana! - zawołała śmiejąc się. - Nie chciałam cię obrazić.

- Nie przeczę, że ojciec nakłania mnie, bym za niego wyszła. Sam Zefirio oświadczył mi się nawet...

- Jak to? - zawołała zdumiona Dolores. - Zefirio ci się oświadczył?

- Tak. Czy cię to dziwi?

- Wyobraź sobie, że ten młody człowiek oświadczył mi się również.

- To niemożliwe. Tobie również?

- Wpadł do mnie jak bomba, padł na kolana i zawołał wielkim głosem: O, Dolores, pani mego serca, kocham cię od dawna i kładę me dzielne, nieustraszone serce u twych stópek! Aby jednak ci dowieść, jaki jestem waleczny, zobowiązuję się schwytać Zorrę, jeśli mi przyrzekniesz swą rękę. Wybuchnęłam śmiechem i przyrzekłam.

Mercedes słuchała zdumiona, nie wierząc własnym uszom.

- Ach, ten nicpoń! - rzekła. - W ten sam mniej więcej sposób oświadczył się o moją rękę.

- Przyrzekłaś również?

- Tak!

Zaledwie przebrzmiały ostatnie słowa, od strony okna odezwał się męski głos:

- Wart jest, by mu wygarbować skórę, ten Zefirio. Odwróciły się przestraszone w stronę okna.

Na parapecie siedział Zorro.

- Boże! - wyrwało się obu dziewczętom.

Zorro mówił dalej, uśmiechając się szeroko:

- Zbyt wiele sobie pozwala ten nędznik. Muszę mu dać nauczkę.

Obie siedziały nieruchomo, bez tchu w piersiach. Dolores była blada. Mercedes cała w pąsach.

- Chwilka cierpliwości - ciągnął dalej Zorro - a usłyszycie niebawem, moje piękne panie, jaką nauczkę dam temu zarozumiałcowi. - Przełożył nogę i stanął w pokoju.

Obie patrzyły nań jak urzeczone.

Zorro pochylił się przed dziewczętami, kłaniając, się wytwornie i jednym susem znalazł się za drzwiami.

Dolores i Mercedes siedziały w milczeniu. Każda obawiała się wyrzec słówko, by ta druga nie domyśliła się, że znajdował się tutaj przed chwilą. mężczyzna, w którym jest zakochana.

Zaledwie Zorro znikł za drzwiami, drugie drzwi prowadzące do pokoju, gdzie obie siedziały, otworzyły się. Wbiegł nimi Zefirio. Przerażenie malowało się na jego twarzy. Nie odzywając się ani słowem, przebiegł przez salon i znikł za przeciwległymi drzwiami. Po chwili Zorro wbiegł do pokoju.

- Tędy uciekał Zefirio, nieprawdaż? Ucieka jak zając, ten bohater!

Skoczył w ślad za Zefiriem.

Nagle w oddali rozległ się rozpaczliwy krzyk Zefiria.

- Porfirio, Malibran. Na pomoc...

Rozległ się tupot nóg obu przyjaciół, którzy biegli na wołanie. Po chwili wszyscy trzej wpadli do salonu, trzymając w ręku pistolety.

- Gdzie Zorro? - zapytał zdyszczonym głosem Zefirio.

Obie milczały.

Zaledwie zniknęły za drzwiami, przez inne drzwi wpadł Zorro.

- Uciekaj, senor! - zawołała Dolores. - Jest ich trzech, mają pistolety.

- Czy sądzisz, o piękna senorito, że ułknę się trzech pistoletów? - odparł Zorro. - Nie znasz mnie, jak widzę.

Wybiegł z salonu przez drzwi, za którymi przed chwilą znikli trzej przyjaciele.

Wtem w odległym pokoju rozległ się radosny okrzyk przzerwany hałasem przewracanych mebli.

- Mamy go, mamy! Trzymaj Zorrę!

Zerwały się obie z sofy i pobiegły w kierunku, skąd dobiegał głos. Zefirio, Porfirio i Malibran trzymali z całych sił szamoczącego się człowieka, który leżał twarzą do podłogi.

- Puśćcie go! - zawołała Mercedes z rozpaczą w głosie. - Przecież go udusicie!

Zefirio, Porfirio i Malibran puścili swą ofiarę, która z trudem podniosła się z podłogi.

Był to don Alvarez.

Widząc przed chwilą kareta książęcą przed domem, wszedł do środka. Zaledwie jednak zdążył przejść przez korytarz, został napadnięty z tyłu i powalony na ziemię.

Trzej przyjaciele patrzyli z głupowatymi minami na don Alvareza podnoszącego się z trudem z podłogi.

Dolores i Mercedes wybuchnęły głośnym śmiechem.

- Omyliliśmy się - skostatował Zefirio. - Niestety!

Złodzieje bydła

Nad ranem pasterz wpadł do domu Cortich i zaczął budzić gospodarza:

- Senor, senor, nieszczęście!

Anzelmo Corti zerwał się z łóżka, przecierając zaspane oczy. - Co się stało, Pedro?

- Brakuje w stadzie sześćdziesiąt sztuk bydła. Szukaliśmy wszędzie. Zginęło bez śladu.

Anzelmo Corti zaczął się szybko ubierać. Cios był dla niego dotkliwy.

Zbliżając się ku ogrodzeniu, gdzie wpędzano bydło na noc, rozpoznał sylwetki Zefiria i jego przyjaciół.

Zefirio zwrócił się do ojca.

- No i cóż ojcze? Ograbiono nas.

- Tak sądzisz?

- Rozumie się. Przecież wczoraj wieczorem liczono bydło, wpędzając je na noc. Krowy nie dostały chyba skrzydeł? Cha, cha!

Anzelmo Corti oburzył się.

- Śmiejesz się, mój synu? Przecież to okropna strata dla nas. Najlepsze sztuki bydła!

Malibran wtrącił się do rozmowy:

- Nie należy poddawać się rozpacz, senor Anzelmo! Zabierzemy się do dzieła we trzech i z całą pewnością odzyskamy zrabowane bydło.

Anzelmo Corti machnął ręką. Niezbyt wierzył w policyjne zdolności trojga przyjaciół...

- Najlepiej będzie, jeśli zawiadomię władze - rzekł.

- Nie czyn tego, ojcze - odparł Zefirio. - Policja naszej królowej ściągnie z ciebie olbrzymi haracz pod pozorem, że poszukiwania są kosztowne i w rezultacie nic nie odzyskasz.

- Więc jak mam postąpić?

- Iść spać, gdyż sen uspokaja najbardziej wzburzone nerwy. My zaś zajmiemy się tą sprawą.

Cortiemu nie pozostało nic innego, jak tylko posłuchać rady syna.

W odległości dnia jazdy od Huesco, jak gdyby oddzielona od górskiego pasma Pirenejów, wśród piaszczystych, nieurodzajnych terenów znajduje się grupa skał. Rzadko podróżny zajrzy w te strony, rzadko jakieś zwierzę zapędzi się tutaj w poszukiwaniu pożywienia. Czasami tylko orzeł zabłąka się polatując nad skałami lub koza górska przeskoczy z wierzchołka na wierzchołek.

Skały te rozczepiają się pośrodku, tworząc głęboki, ciemny wąwóz. Na wiosnę, gdy śniegi stopnieją, dnem biegnie rwący potok. Później zaś, około czerwca, łożysko wysycha i dno rzeczne zamienia się w gościniec.

Pewnego upalnego dnia w wąwozie tym głośnym echem rozległy się strzelania z batów, pokrzykiwania ludzi i ryk bydła.

Woły i krowy zostały wpędzone do wąwozu. Ludzi było dziesięciu. Siedzieli na małych andaluzyjskich koniach, uzbrojeni w bicze i pistolety, sombrero mieli głęboko nasunięte na oczy.

- Uff - westchnął jeden z nich. - Zasłużyliśmy na odpoczynek.

- Dowódca powiada - rzekł drugi - że możemy tutaj pozostać choćby do wieczora. Nic nam tutaj nie grozi.

Do rozmawiających zbliżył się człowiek, który nimi dowodził. Był to jednooki pomocnik Pabla Ravalesa.

- No i cóż, chłopcy? - zawołał wesoło. - Napijemy się wina?

Mężczyźni skoczyli do siodeł. Butelki zostały wydobyte i wszyscy łykali napój łąpczywie. Przez

chwile nic nie było słycać prócz bulgotania płynu lejącego się z butelek.

- Senor Ravales przybędzie niebawem - rzekł jednooki, ocierając usta. - Wynagrodzi was i wskaże, co macie dalej robić.

- Rozkaże pędzić bydło do Saragossy na jarmark!

- Nie sądzę. Nie zależy mu wcale na spieniężeniu wołów. Tutaj chodzi o co innego. Możliwe, że ubijemy wszystkie zwierzęta i pozostawimy na miejscu.

- Aha, rozumiem! Zemsta!

- Zgadłeś!

- Jeśli tak, to co innego - wtrącił się trzeci mężczyzna do rozmowy. - Jeśli chodzi o zemstę, będzie musiał zapłacić nam drożej za usługę.

- Dlaczego?

- Zemsta to rzecz kosztowna. Jeśli kradniemy bydło, by je następnie sprzedać, zadowolić się musimy mniejszym zyskiem, bo przedsiębiorca również musi zarobić. Człowiek, który może sobie pozwolić na wynajem dziesięciu tęgich zuchów nie dla zarobku, lecz dla dokonania zemsty, jest bogaty, niech więc płaci.

Wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem, potakując mówiącemu.

- Wątpię, czy da wam więcej, niż przyrzekł - oświadczył jednooki. - Pięćdziesiąt peso na człowieka wystarczy.

- O, nie, kochany dowódco! Obecnie nie wystarczy - odparł tenże mężczyzna. - Jeśli się nie zgodzi, weźmiemy co nam się należy oraz bydło.

- Tak, tak. Masz rację - rozległy się okrzyki aprobaty. Jednooki spojrzał z nienawiścią na mówiącego:

- Dobrze - rzekł. - Pomówcie z szefem. Ja umyвам ręce. Mężczyźni rozłożyli się dookoła na ziemi.

Wtem nad ich głowami przeleciało z głośnym krakaniem stado wron.

- Zła przepowiednia - rzekł jeden z leżących.

- Dla ciebie chyba, nie dla mnie - odparł ten, który domagał się zapłaty.

U wylotu wąwozu rozległ się nagle tętent galopującego konia. Mężczyźni zerwali się ze swych miejsc, trzymając pistolety w pogotowiu.

Do wąwozu wpadł na spienionym rumaku senor Pablo Ravales.

- Dzień dobry, hultaje! - zawołał wesoło. - Spisaliście się nieźle, jak widzę! Zapłacę wam, co się należy.

Zeskoczył z konia i odwiązał worek z pieniędzmi.

- Płacę srebrem! - rzekł rozwiązuując worek. - Oto pięćdziesiąt peso dla każdego z was.

- Nie - rzekł jeden z rabusiów.

- Jak to nie? - zapytał Ravales, marszcząc brwi. - Co to znaczy?

- Nie weźmiemy pięćdziesięciu peso. Należy nam się więcej.

- Żartujecie chyba. Umówiłem się z wami i płacę podług umowy.

Ludzie jednak milczeli posepnie, nie biorąc pieniędzy.

Pablo Ravales dumiał chwilę i wreszcie zapytał cedząc słowa powoli:

-Więc ile chcecie?

- Sto pięćdziesiąt na człowieka lub też pięćdziesiąt peso i bydło dla nas! - odpowiedział ten, który podburzył innych.

- Sto pięćdziesiąt peso? - powtórzył wolno Ravales. - Lub pięćdziesiąt i bydło?

- Tak. Nie inaczej.

Ravales wyciągnął błyskawicznie pistolet, wołając:

- Masz zapłatę, łotrze. Starczy ci na całe życie!

Rozległ się strzał, odbijając się wielokrotnym echem o ściany wąwozu.

Człowiek zwał się na ziemię. Nastąpiło głucho milczenie.

Jednooki stanął obok szefa, z pistoletem w ręku.

- Kto tu jeszcze domaga się zapłaty? - ryknął Ravales.

- Ja - rozległ się miękki i pieszczotliwy głos tuż za nimi.

Siedząc na ognistym rumaku, w odległości kilku kroków uśmiechał się Zorro.

- Cóż widzę, chłopczkowie? - mówił dalej łagodnym głosem Zorro. - Zabijacie się nawzajem? O, nierozsądni, gdy wyginiecie wszyscy, kto będzie pilnował bydła? - Zorro bawił się niedbale rękojeścią swego bata. Rzemień jak wąż falował po ziemi. - Chyba że poprosicie mnie grzecznie - ciągnął dalej - i ja będę pilnował bydelko. Żądam jednak tej samej zapłaty: pięćdziesiąt peso i bydło!

Ravales, blady jak płótno, zwrócił się ku niemu.

- Czego chcesz od nas? Bydło należy do mnie! Jedź dalej, caballero! Zapłaciłem już daninę: czterysta tysięcy peso. Chyba wystarczy!

- Nie, señor! Tamto to był dług honorowy. Obecnie co innego. Pozostałeś mi winien sto tysięcy, sądzę, że nie zapomniłeś. Dasz mi więc te woły i krowy, a należność będzie uregulowana...

Nie dokończył jednak zdania, bo Ravales szybko uniósł rękę, w której trzymał pistolet. Prawie jednocześnie rozległ się suchy trzask bicia i pistolet poleciał daleko na piasek. Ravales zaś, krzywiąc się z bólu, trzymał się za rękę, na której wystąpiła czerwona pręga.

- Jesteś zatwardziałym dłużnikiem, señor Ravales - rzekł Zorro. - Zmuszasz mnie, bym cię okładał batem. Fe, wstydiłbyś się. Postępujesz jak mały chłopiec, którego ojciec musi karcić. Nie spodziewałem się tego po takim statecznym człowieku w podeszłych latach.

Głos jego stał się surowy, gdy zwrócił się do reszty ludzi.

- A wy, panowie, którzy gonicie bydło nie pytając nawet o pozwolenie prawego właściciela, powiedzcie, jak mam was ukarać?

Złodzieje bydła to byli ludzie gminu. Wieści o tajemniczym, zamaskowanym mężczyźnie były im doskonale znane. Nie próbowali nawet opierać się, napawał ich bowiem zabobonnym strachem.

Jeden z nich wystąpił i rzekł do Zorry, trzymając sombrero w rękę:

- Wybacz nam, señor Zorro. Jesteśmy biednymi wieśniakami żyjącymi z pracy najemnej. Ten oto jednooki skusił nas obietnicą sówitej zapłaty. Postąpiliśmy bardzo źle, przyznaję, lecz bieda zmusiła nas do tego.

- Bieda nie zmusi uczciwego człowieka do rabunku.

- Przysięgam, że nie jesteśmy zawodowymi złodziejami. Było to po raz pierwszy i ostatni w życiu. Jednooki nas zwerbował, uzbroił i zaprowadził na miejsce.

- Chcę wierzyć - rzekł wspaniałomyślnie Zorro. - Nie wyglądacie mi na zbójów. Niech to wam będzie nauką na przyszłość. Daruję wam tym razem, lecz pamiętajcie: żebym więcej o was nie słyszał!

- A ty - dodał zwracając się do Ravalesa - zabiłeś człowieka za kilka pistoli, pomimo że masz miliony! Słuchaj dobrze, señor. Nie jestem świętym, pobłażliwość moja nie jest bezgraniczna. Tracę już cierpliwość... Dziś znów ujdzie ci na sucho kradzież i morderstwo. Nie jestem sędzią, nie ja będę cię karał, uprzedzam jednak po raz ostatni: uchoďz stąd, pókiś żywy i żebym cię już nigdy w życiu nie oglądał. Jeśli jeszcze raz wpadniesz mi w ręce, biada ci. Pożegnasz się z życiem! A teraz uciekajcie wszyscy.

Po chwili Zorro został sam.

Stado stało spokojnie w pobliżu. Zorro smagnął konia i pognał w odwrotnym kierunku, pozostawiając zwierzęta w wąwozie.

Poganiacze mułów i okoliczni wieśniacy dążyli do pobliskiego miasteczka na jarmark. Szli i jechali większą grupą, rozmawiając wesoło i śmiejąc się. Zwyczajem przyjętym w Hiszpanii każdy muł czy koń dźwigał na swym grzbiecie dwoje ludzi. Mąż siedział w siodle, zaś jego połowica tuż za nim.

Karawana posuwała się powoli w pobliżu skał. Nagle rozległ się tętent i trzech jeźdźcy zrównali się z nią. Dwaj z nich siedzieli na koniach, trzeci zaś poganiał muła, na którym siedział.

- Witajcie mi, dobrzy ludzie! - zawołał ten na mule.

- Dzień dobry, señor Zefirio - odpowiedziano mu chórem. - Jedziecie na jarmark? - zapytał Zefirio.

- Tak - odpowiedział jeden z wieśniaków. - A dokąd to señor tak spieszy, jeśli wolno zapytać?

- Skradziono nam tej nocy sześćdziesiąt sztuk bydła. Dążymy śladem racic.

Kradzież bydła zawsze interesuje wieśniaka. Koń i byk to nieraz cały jego dobytek, toteż współczuje szczerze okradzionemu.

Zatrzymali swe konie i muły i otoczyli Zefiria, wypytując o szczegóły. Młodzieniec opowiedział pokrótce i, kończąc dodał:

- Ślady prowadzą przez skały. Sądzę, że niebawem dogonimy złodziei.
- Jedziemy z wami! - zawołało kilku wieśniaków. Jarmark nam nie ucieknie. Przydamy się może w walce ze złodziejami.

Zefirio przyjął propozycję z wdzięcznością. Kilkunastu jeźdźców oddzieliło się od karawany i przyłączyło do trzech przyjaciół.

Skręcili z drogi i niebawem znaleźli się pomiędzy skałami.

- Ach! - rozległ się jednogłośnie okrzyk.

Przed nimi w wąwozie stały spokojnie woły i krowy. Żadnej ludzkiej duszy nie było w pobliżu.

Nad ciałem zabitego krążyły kruki.

Trzy kule

W całej Hiszpanii istnieje specjalna klasa ludzi. Są to pistolero, czyli najemni mordercy. Pistolero, dla poczęstunku i niewielkiej zapłaty, sprzątnie każdego, kogo mu wskażą.

Książę Ramido sam miał duszę pistolera. Gdy wyczyny zbrodniarzy stały się nazbyt częste, tracił cierpliwość. Nie chciał mieć konkurentów pod bokiem. Toteż zabrał się z dziką energią do oczyszczania miasta. Uzbrojeni szpiedzy krążyli wszędzie, dokonywano obław masowych w biednej dzielnicy. Podejrzanych wieszano, wtrącano do lochów i katowano. Zbójce na żołdzie książęcym działali tak sprawnie, że niebawem Saragossa stała się za ciasna dla prywatnych zbójców.

W mieście zapanował spokój, lecz za to ponure wieści zaczęły napływać z prowincji.

Pistolero, zebrani w bandy, napadali na okoliczne hacjendy, zagrody wieśniacze, uprowadzali bydło, podpalali domostwa, napadali na karety pocztowe i na zwykłych podróżnych. Słowem, pistolero z Saragossy zamienili się w desperadosów, czyli bandytów wielkich dróg.

Na początku rabowali w okolicy Saragossy, następnie przenieśli się bliżej Huesco.

Krzyki mordowanych, ryki uprowadzonego bydła i trzask palących się domów rozlegały się coraz częściej. Mieszkańcy okoliczni byli zrozpaczeni - znikąd nie mogli się spodziewać ratunku.

Książę Ramido był obojętny na to, co się działo z dala od Saragossy.

Don Alvarez, który go tutaj zastępował, nie mógł nic zdziałać zaprzętny jedną myślą: jak schwytać Zorrę?

I oto cała okolica odetchnęła z ulgą.

Lotem błyskawicy rozniosła się wieść, że Zorro, zamaskowany obrońca ludu, rabuś, który nigdy nie brał nic dla siebie, Zorro wypowiedział bezwzględna wojnę pistolerom.

Rozpoczęły się trwożne dni. Po każdym napadzie jednej z band znajdowano w lesie lub na drodze trupa z przestrzeloną czaszką i znakiem „Z” na policzku.

Nieraz zabląkany podróżny dostrzegał w oddali przemykającego się jeźdźca w masce.

Widziano go coraz częściej to tu, to tam. Przebiegał okolicę we wszystkich kierunkach. Bat zwinięty spoczywał u siodła, natomiast pistolety trzymał w pogotowiu. Sprawa musiała być poważna, skoro zmienił rodzaj broni.

Krążył niby jastrząb wypatrujący zdobyczy.

Od pewnego czasu Zefirio miał nową namiętność. Stał się zagorzałym botanikiem. Został sam. Porfirio i Malibran opuścili go, udając się do Madrytu na miesiąc. Ciotka Malibrana umarła, musiał jechać po spuściznę, Porfirio towarzyszył mu w drodze.

Sprawił sobie skrzynkę, którą trzymał przewieszoną na rzemieniu, i ginął całymi dniami bez wieści, w poszukiwaniu jakiegoś kwiatka lub roślinki.

Pewnego dnia don Alvarez jadąc na czele oddziału, spotkał Zefiria wyłaniającego się z pobliskiego gaju.

- Ach, senior Zefirio! - zawołał. - Cóż tutaj robimy? Zefirio przymrużył tajemniczo oko:

- Jestem na drodze do sławy, senior Alvarez - rzekł z prostotą. - Jeszcze kilka dni, a zakasuję Linneusza i Buffona!

- Buffona i Linneusza? Kto są ci dwaj?

- Geniusze nauki, sławni botanicy.

- Aha, zbieracze kwiatków!

- Coś w tym rodzaju! Otóż udało mi się odnaleźć rodzaj rośliny nieznany dotąd nauce. Jeśli masz ochotę posłuchać historii tego kwiatka, chętnie ci służyć, lecz wpieryw pokażę ci ten okaz.

I Zefirio, łącząc czyn ze słowami, zabrał się do otwierania skrzynki, którą zdjął z ramienia.

- o nie, dziękuję! - zawołał śpiesznie don Alvarez, który nie miał najmniejszej chęci słuchać wykładu z botaniki. - Opowiesz mi innym razem, señor Zefirio! Śpieszę się, bo desperadosi krążą podobno gdzieś w pobliżu.

- Desperadosi? - rzekł Zefirio, uśmiechając się głupkowato. - Zdaje się, iż jeden z nich leży w tym gaju z przestrzelonym czołem. Gdy przechodziłem, był jeszcze ciepły.

Poza granicami dóbr Anzelma Cortiego rozpoczynał się gęsty las poprzecinany gdzieniegdzie ścieżkami i drogami dla pojazdów.

Na uboczu od głównego traktu drzewa rosły niemal jedno przy drugim. Panował tutaj wieczny półmrok, nieraz przebiegał leśny zwierz, wśród gałęzi polatywało liczne ptactwo. Zwalone drzewa leżały tu i ówdzie, zagradzając drogę śmiałkowi, który chciałby w te strony się zapuścić.

W pewnej odległości od zakrętu drogi, pośród drzew znajdowała się mała polanka. Niewielka chata, na pół zapadła, stała tuż przy skraju. Unosił się tutaj stale zapach palonego drewna.

W okolicy wszyscy znali starego Alonsa, węglarza, i obawiali go się po trosze. Uważano go za czarownika i unikano polanki, gdzie wypalał drewno na węgiel. Stary to był Hiszpan, może raczej Bask, przybyły tutaj w czasach tak odległych, że nawet naj starsi w okolicy nie mogli' sobie przypomnieć daty jego przybycia. Pomimo to trzymał się zadziwiająco krzepko. Gdy rąbał stuletnie pnie drzew, nikt by nie powiedział, że jest taki stary.

Nikt go nigdy nie odwiedzał, z wyjątkiem poganiaczy osłów i mułów, którzy zatrzymywali się na skraju lasu, by zabrać węgiel drzewny, który następnie rozwozili po całej Hiszpanii, sprzedając na wagę.

Pewnego dnia jakiś cień szybko przemykał się pomiędzy drzewami. Zwinny jak ryś, przeskakując jednym susem leżące pnie, cień ten, acz smukły i sprężysty jak pantera, nie należał do zwierzęcia. Był to człowiek, lecz o ruchach i zwinności drapieznika. W półmroku twarzy jego nie można było dojrzeć. Obcisła odzież podkreślała zgrabną sylwetkę. Ostatni skok poprzez zwalone drzewo i człowiek-pantera znalazł się na polance.

Stary węglarz odłożył topór i podniósł głowę.

- Konia i broń żywo, Alonso!

Węglarz, z szybkością zadziwiającą u starego człowieka, rzucił się w stronę swojej chaty, okrążył ją i niebawem wyprowadził, ciągnąc za uzdę, niecierpliwie szamocącego się konia.

- Pistolety są w olstrach. Oto szpada i bat! - rzekł Alonso, podając je przybyszowi.

-Maska i zawój?

- Tu jest.

- Dobrze - rzekł człowiek, wciągając maskę i okręcając głowę czarną chustą.

- Nowa robota? - spytał stary.

- Desperadosi...

- Nalazło tego robactwa do naszej okolicy! - zawołał węglarz gniewnie. - Mało to mamy kłopotu z jednym bandytą w książęcej skórze?

- Nie przejmuj się, Alonso - rzekł śpiesznie człowiek w masce. - Wyprzątniemy ich, zanim nastąpi nów księżycy.

- Dałby Bóg! Ludzie tutejsi cierpią zanadto.

Człowiek w masce spiął konia i skierował zwierzę w stronę rzadziej rosnących drzew.

Po chwili Zorro w pełnym rynsztunku sunął wielką drogą.

Łuna pożaru biła wysoko pod niebo. Paliły się zabudowania folwarczne i zboże. Bydło ryczało w oborach. Krzyki przerażenia, bólu i jęki mordowanych rozlegały się wokoło. Dwudziestu jeźdźców, ze strzelbami u siodła, pełniło straż. Reszta uwijała się pieszo pomiędzy płonącymi budynkami, wynosząc dobytek, wypędzając bydło lub też dobijając nieszczęsne ofiary z okrucieństwem właściwym bandytom hiszpańskim.

W ciągu pół godziny wszystko było ukończone. Dobytek zrabowany, cenniejsze rzeczy załadowane, bydło spędzone w stado i banda ruszyła w drogę, pozostawiając za sobą ruinę i śmierć.

Dowódca, mały, nerwowy mężczyzna, który kazał siebie tytułować don Pedro, a w rzeczywistości był synem przewoźnika, odróżniał się od innych przywódców band rozbójniczych małym wzrostem. Zazwyczaj bandyci obierają sobie na wodza tego, kto przewyższa ich siłą fizyczną, odwagą i okrucieństwem.

Don Pedro nie był silny fizycznie, nie wiadomo czy był odważny, okrutny jednak był z całą pewnością. Natomiast miał inną zaletę, która go stawiała na piedestale w oczach desperadosów. Zaletą jego było to, że zawsze strzelał pierwszy.

Okoliczność tę należy wytłumaczyć.

W życiu pełnym zasadzek i śmiertelnych niebezpieczeństw wszystko nieraz zależy od ułamka sekundy. Każdy widząc wymierzoną w siebie lufę strzelby czy pistoletu, uniesie na pewno ręce do góry. Każdy, lecz nie don Pedro. Człowiek ten miał nadludzki dar błyskawicznego wyciągania pistoletów z kabur i nie omylnego strzelania, zanim przeciwnik, który doń mierzył, zdążył nacisnąć kurek. Podobnie jak magik lub szuler karciany wykonuje szybkie ruchy, których ludzkie oko nie jest zdolne uchwycić, tak ręka don Pedra wędrowała do pochwy i unosiła nabity pistolet. Tak więc nikt nie był w stanie zaskoczyć don Pedra.

Miał również niezwykle węż, rzekłbyś szósty zmysł. Wyczuwał zaczajonego nieprzyjaciela.

Będąc jeszcze w Saragossie, zdarzało mu się nieraz, podczas spokojnej przechadzki ulicą miasta, wykonać niespodziany zwrot w tył i strzelić. Ofiarą padał zazwyczaj pistolero z bandy konkurencyjnej, który znalazł się poza jego plecami, z wydobytym pistoletem w ręku.

- Hop, Dorrio! - zawołał don Pedro galopując. - Osiemdziesiąt tysięcy peso w złocie. Nieźle, co?

- Jeśli nie liczyć srebrnych łyżek, noży i widelców, kandelabrow, rozmaitej broni, inkrustowanych złotem pistoletów...

- I była rozmaitego rodzaju - dokończył don Pedro z zadowoleniem - oraz wina i prowiantu.

- Schowamy to wszystko w kryjówce?

- Nie, rozdamy to wszystko między ubogich, tak jak to czyni Zorro! - odpowiedział szyderczo don Pedro.

Rozległ się głośny śmiech dookoła. Bandytów żart ten ubawił.

Roślinność stawała się coraz rzadsza w miarę zbliżania się w stronę gór. Niebawem konie stapały po piasku spalonym żarem słonecznym. Odłamy skał sterczały tu i ówdzie. W trakcie posuwania się bandy naprzód, teren szedł w górę i pojawiały się skały coraz większe, częstsze, tworząc miejscami całe pasma.

Bandyci bacznie rozglądali się dookoła. Nie wiadomo jaka zasadzka może kryć się za tymi głazami.

Karawana rozciągnęła się na dość znacznej przestrzeni. Przodem kilku desperadosów gnało bydło. Za nimi podążały konie obładowane zdobyczą, wreszcie pochód zamykała ariergarda zbrojnych jeźdźców.

Konie były zmęczone. Za oddziałem ciągnęli pojedynczy jeźdźcy, którzy nie mogli nadążyć za oddziałem.

W pewnej chwili don Pedro, tknięty jakimś dziwnym przecuciem, odwrócił się na siodle. Daremnie wyteżał wzrok. Spoza zakrętu pomiędzy skałami nie wyłaniał się żaden z opóźnionych jeźdźców.

- Słuchaj, Dorrio! - rzekł zwracając się do desperadosa, który nie odstępował od jego boku. - Zawróć i przekonaj się, co oni tam robią. Nawymyślaj im porządnie, by nie odłączali się zbytnio od towarzyszy.

Dorrio spiął konia i niebawem znikł za wielkim odłamek skały.

Nagle rozległ się wystrzał z pistoletu, odbity echem o skały.

- Za mną! - krzyknął don Pedro, zwracając konia.

Trzydziestu jeźdźców rzuciło się za nim. Reszta pozostała przy obładowanych koniach i trzodzie.

Wyminięły dwie grupy skał i ujrzeli straszny widok. Koń biegł bez jeźdźca. Nie opodal leżał Dorrio nieżywy, twarzą do góry. Ręce miał rozkrzyżowane. Na czole jego, tuż u nasady nosa, widniała dziura. Bandyci nie zatrzymali się dłużej przy trupie. Pognali dalej.

Wkrótce oczom ich ukazywały się ciała leżące wzdłuż całej drogi.

Otwarte rany świadczyły, że powalono ostrzem szpady każdego z nich z osobna. Każdy został napadnięty zupełnie niespodziewanie, bo najmniejszym nawet okrzykiem nie zdołał nikt z nich uprzedzić pozostałych o niebezpieczeństwie. Na policzku każdego z nich widniał znak „Z”.

- Pierwszy poległ ten, który włókł się na samym końcu – rzekł don Pedro. - Napastnik ukryty za odłamem skały, w chwili gdy nasz człowiek go mijał, wyskakiwał zniemacka i przebijał go szpadą.

Pięć razy powtarzał ten manewr. Pięć razy zabił człowieka tuż pod naszym nosem - Wtem zawołał wodząc krwią nabiegłymi oczyma: - I krąży dookoła nas Jak sęp nad padliną! - Spiał koma i zawracając ryknął: - Do obozu, chłopcy! Mamy Zorrę na karku. Dopadli reszty oddziału, który rozłożył się tymczasem obozem w oczekiwaniu powrotu herszta.

- Do broni! - krzyknął don Pedro, wpadając pomiędzy oczekujących. - Zorro krąży koło nas! - Do broni!

Bandyci sprawdzili strzelby i pistolety. Oddział ruszył ostrożnie naprzód. Ludzie bacznie rozglądali się dookoła.

- Kilku z was ruszy przodem! - rozkazał don Pedro. - Trzymajcie broń w pogotowiu!

Trzej jeźdźcy pognali przodem. Trzymali się jeden przy drugim, wiedząc z doświadczenia, że każdemu z osobna grozi śmierć. Nie oddalali się też zbyt, pozostając na oczach oddziału. Droga wciąż biegła wśród olbrzymich głazów. Odległość pomiędzy nimi a bandą nie wynosiła więcej niż trzysta do czterystu kroków. Cisza panowała dookoła, przerywana od czasu do czasu rykiem pędzonego bydła. Wtem stała się rzecz niespodziewana. Straż przednia, złożona z owych trzech jeźdźców, wymijała dwa znajdujące się po prawej stronie drogi głazy leżące tak, że tworzyły wąską lukę. Z luki tej wyskoczyło coś czarnego i mignęło przed oczami ludzi podążających za strażą. Kilka krótkich błysków stali i trzej jeźdźcy zwalili się na ziemię na oczach oddziału. Czarny cień skoczył z powrotem w lukę pomiędzy skałami i w następnej sekundzie rozległ się tętent galopującego konia.

- To Zorro! - rozległ się dziki okrzyk.

Wszystko co żyło, rzuciło się w ślad za napastnikiem. Nawet ci, którzy pilnowali bydła, przyłączyli się do pościgu. Obładowane zdobyczą konie również pozostały bez dozoru.

Jedni rzucili się ku przejściu w skałach, gdzie znikł czarny cień, drudzy okrążyli skały z prawej strony, starając się zająć drogę swemu prześladowcy.

Don Pedro gnał śladem pozostawionym na piasku przez konia Zorry. Ślad wiódł labiryntem wśród głazów, piął się pod górę, biegł w dół, okrążał drogę i wreszcie zawiódł w miejsce, gdzie bandyci przed chwilą pozostawili w pośpiechu zdobycz i bydło.

Miejsce to było puste, bydło i konie zginęły. Don Pedro i jego towarzysze stanęli w miejscu i ze zdumieniem rozglądali się dookoła. Olbrzymie stado nie jest przecież szpilką i nie może zginąć bez śladu w ciągu kilku zaledwie minut. W następnej chwili mieli rozwiązanie zagadki. Korzystając z tego, iż wszyscy rzucili się w ślad za nim, Zorro zakreślił wielkie koło, wpadł pomiędzy bydło i rozpędził je na cztery wiatry.

Rzeczywiście, w oddali, to tu, to tam, można było dostrzec pojedynczą krowę lub konia. Desperadosi, zapominając o niebezpieczeństwie, rzucili się hurmem spędzać rozproszone zwierzęta.

Lecz i Zorro nie próżnował. Wiedząc, iż banda poszła w rozsypkę, zabijał jednego bandytę za drugim, sam pozostając nieuchwytny.

Pracował szpadą szybko i bez hałasu; rozległ się wprawdzie dwa razy huk wystrzału, lecz było to w tych tylko wypadkach, gdy szpada nie mogła w porę dosięgnąć desperadosa.

Pobojowisko stawało się straszne. Za każdym prawie załamem leżał trup.

Reszta spostrzegła wreszcie, że sytuacja staje się rozpaczliwa. Strach przewyciężył chciwość, więc porzucili rozproszoną zdobycz i ze wszystkich stron, nawołując się wzajemnie, zaczęli się zbierać do kupy.

Zostało ich tylko dwudziestu siedmiu. Z czterdziestu ośmiu ludzi, pięciu zginęło na samym początku, trzech padło idąc przodem jako straż, reszta została sprzątnięta pojedynczo podczas pościgu za rozproszonym stadem.

Zmierzch zapadał.

Wśród złowrogiej ciszy, paniczny lęk przed ciemnością ogarnął desperadosów. Ci okrutni ludzie, którzy tak hojnie szafowali śmiercią, bali się teraz ciemności jak małe dzieci...

- Wyginiemy wszyscy po kolei, jeśli ruszymy z miejsca! – rzekł jeden z bandytów.

- Musimy poczekać tutaj do świtu - odezwał się drugi.

- Nie mamy nawet czym rozpaść ogniska - rozległ się głos trzeciego.

Don Pedro namyślał się przez chwilę.

- Miejsce tutaj jest dość bezpieczne - rzekł. - Skały otaczają nas w dość znacznej odległości. Usiądziemy na ziemi jeden koło drugiego, tworząc krąg plecami do środka, a twarzą w stronę otaczających nas skał. Każdy z nas będzie trzymał broń w pogotowiu. Musimy dobrze uważać strzelając za każdym razem, gdy coś podejrzanego poruszy się w ciemnościach.

Desperadosi usłuchali rozkazu. Usiedli kołem na ziemi. Głuche milczenie zaległo wśród otaczających ciemności.

Noc była księżycowa. Miliardy gwiazd świeciły na niebie, lecz w ich świetle niewiele można było dojrzeć.

Banda czuwała w nerwowym napięciu.

Nieraz strzał przeszył ciszę nocną. To zbyt naprężone nerwy wyolbrzymiały każdy podejrzanym szelest i rozgorączkowana wyobraźnia ukazywała zmęczonym oczom miraż zbliżającego się niebezpieczeństwa.

Tak minęło kilka godzin.

Znużenie zaczęło ogarniać czuwających. Nikt z bandytów nie odczuwał potrzeby snu, lecz w wytrzeszczonych oczach już się dwoiło i troiło.

Jeden z bandytów westchnął i padł na wznak.

Don Pedro siedział obok. Sięgnął ręką i uczył ciepłą krew na palcach.

- Uwaga! - zawołał zduszonym głosem. - Strzelać wszyscy przed siebie. Zorro zarznął jednego z nas.

Rozległa się salwa. Ogniste koło zabłysło dookoła siedzących.

Ludzie strzelali gorączkowo w otaczające ich ciemności, celując nisko, by trafić pełzającego po ziemi, według ich mniemania, Zorrę.

Siedzieli w ten sposób, że plecy tworzyły wewnętrzną stronę koła, nie mogli więc widzieć czarnego cienia poruszającego się w samym środku, poza ich plecami.

Zorro skorzystał z luki, jaka powstała w kole. Gdy przebił jednego z bandytów, przeskoczył przez leżące ciało i znalazł się w ten sposób poza obrębem strzałów.

Desperadosi nabijali strzelby i strzelali na oślep bez przerwy, nie zwracając uwagi jeden na drugiego wśród huku wystrzałów.

Zorro mógł teraz sprzątać siedzących dookoła ludzi, co też nie omieszkał uczynić.

Co chwila jedna ze strzelb milkła i siedząca postać pochylała się ku przodowi, opuszczając głowę na pierś.

Zorro działał metodycznie, przechodząc od jednego do drugiego bandyty... Wreszcie zostało ich tylko jedenastu.

Musieli dostrzec, co się święci, gdyż skoczyli z rykiem przerażenia na nogi i pobiegli na oślep naprzód, porzucając strzelby i nie oglądając się nawet poza siebie.

Zorro wyciągnął pistolet i nacisnął kurek jeden raz i drugi. Nie odpowiedział mu huk wystrzału.

Pistolet był pusty.

- Szkoda - rzekł Zorro, chowając broń. - Szkoda, że zabrałem z sobą tylko trzy kule.

Skrzynka botanika

Oddział żandarmerii pod dowództwem don Alvareza przybył zbyt późno na miejsce.

Człowiek niosący hiobową wieść, dotarł do Huescopóznym wieczorem. Pułkownik jadł kolację, gdy wprowadzono doń zmęczonego szybką jazdą wieśniaka.

- Senor! - zawołał dopadając stołu, za którym siedział don Alvarez. - Łuna pożaru unosi się nad hacjendą don Fernanda Izarra. Desperadosi, w liczbie około pięćdziesięciu, rabują i mordują ludzi w hacjendzie. Mieszkańcy okolicznych wiosek drżą z przerażenia...

Don Alvarez zerwał się pozostawiając nie dokończoną kolację.

- Gdzie to jest?

Wieśniak wymienił miejscowość.

Don Alvarez skoczył ku drzwiom, wołając:

- Do broni! Na koń!

Nie, upłynęły dwie minuty, gdy liczny oddział ruszył galopem. Niestety, przybyli zbyt późno na miejsce. Zastali tylko pogorzelisko oraz trupy właścicieli i służby.

Zapalono latarnie i przy świetle szli śladem wydeptanym przez uprowadzone stado.

Oddział posuwał się powoli i żołnierze zdawali sobie sprawę, że nigdy im się nie uda dogonić desperadosów, chociaż i oni również nie mogli uchodzić zbyt szybko ze względu na pędzone bydło. Świt zastał don Alvareza w górzystej okolicy.

Ślady prowadziły pomiędzy skały.

Ludzie zdjęli broń z ramienia i podnieśli kurki.

Don Alvarez galopował na przedzie. Wtem wzrok jego padł na jakiś podłużny przedmiot leżący na ziemi w pewnym oddaleniu. Uderzył konia ostrogą i po chwili znalazł się nad trupem mężczyzny w stroju wyszywanym srebrem. Człowiek ten miał ranę na piersi, na policzku czerniły się w zapiekłej krwi trzy cięcia w kształcie litery „Z”.

- Karta wizytowa Zorry - szepnął jeden z żandarmów. Inni spojrzeli sobie pytająco w oczy. Co tu robił Zorro? Kiedy zabił desperadosa?

W miarę jak oddział posuwał się naprzód, zdumienie wszystkich rosło. Na drodze leżał człowiek mający na twarzy również trzy cięcia szpadą... potem trzeci... czwarty... piąty... Dalej droga była pusta.

Po pewnym czasie żandarmi zauważyli błakające się samopas woły, krowy i osiodłane konie.

Nikt nie wiedział, co o tym myśleć.

Spędzono jednak zwierzęta i zabrano je z sobą.

To co ujrzeli wkrótce, było tak niesamowite, że niektórzy z żandarmów przeżegnali się ukradkiem: na drodze pomiędzy skałami, niemal za każdym zakretem, leżał zabity człowiek.

Wprawne oko rozpoznawało z łatwością, że uczyniła to spustoszenie jedna i ta sama ręka.

Leżeli w pewnej odległości jeden od drugiego, pozycja zaś każdego i układ ciała świadczyły, że zostali powaleni zniemacka - pokonani bez walki.

- Czysta robota! - mruknął przez zęby don Alvarez. - Ten Zorro to wcielony szatan. Jakim cudem zdołał tego dokonać? Nie uspił ich chyba.

Zdumienie całego oddziału zamieniło się w uczucie zgrozy, gdy wyłaniająca się spoza skał przestrzeń ukazała ich oczom nowy widok, przerastający wszystko co poprzednio widzieli. Półkolem, ramieniem przy ramieniu, siedziało kilkunastu ludzi. Głowy mieli pochylone ku kolanom i wszyscy, co do jednego, byli martwi. Obok lub na kolanach każdego leżała strzelba gotowa do strzału. Każdy z nich otrzymał pchnięcie w plecy, w okolicy lewej łopatki.

- Zorro nie żartuje tym razem! - szepnął jeden z żandarmów.

- Bo to są bandyci, ci ludzie - odpowiedział drugi. - Zorro dotychczas nie pozbawił życia ani jednego żołnierza. Najwyżej osmaga batem.

- I to w wypadku, gdy widzi wymierzoną lufę lub szablę wzniesioną do ciosu.

- Tak, tak! - wtrącił się trzeci. - Trzeba to przyznać. Zorro jest godnym przeciwnikiem. Po raz pierwszy widzę zabitych przez niego ludzi, dotąd nie splamił rąk krwią.

- Tak, ale każdy z nich ma dziesiątki zbrodni na sumieniu. Tym razem Zorro pomścił zabite kobiety, starców i dzieci... popalone domostwa...

- Cicho tam w szeregach! - krzyknął surowo don Alvarez. - Co to za rozprawy? Wracamy!

Rzeczywiście żandarmi nie mieli już co robić tutaj.

Bydło i rzeczy odzyskano; śmierć desperadosów została skonstatowana, nie pozostawało więc nic innego, jak ruszyć z powrotem do Huesco.

Minęli pustynię i wkroczyli w pas zieleni.

Drzewa rosły coraz gęściej, trawa unosiła się coraz wyżej.

Nagle jadący przodem dostrzegli pochyloną ku ziemi postać ludzką. Człowiek, odwrócony tyłem, stał na drodze, którą podążał oddział, i skubał coś rękami przy ziemi.

Don Alvarez zbliżył się wraz z oddziałem.

- Na bok! - krzyknął don Alvarez zatrzymując konia. - Człowieku, czyś głuchy? Chcesz, by cię konie stratowały?

Człowiek usłyszał wreszcie, że do niego mówiono i uniósł głowę. Był to Zefirio.

- He, co? - zapytał roztargniony.

- Oczywiście, że tylko senor Zefirio nie dostrzega stu czterdziestu koni pędzących nań w pełnym galopie - rzekł don Alvarez, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu. - No, co znów za kwiatek złowiłeś, młody człowieku?

Zefirio spojrział na mówiącego, zbierając rozproszone myśli.

- Desperadosi spalili wczoraj hacjendę don Fernanda Izarra - odezwał się ni stąd, ni zowąd. - Biedni ludzie!

- Kto biedni ludzie? - zdumiał się don Alvarez. - Desperadosi?

- Nie, ci co zginęli w płomieniach.

- Ach, tak to co innego! Myślałem, że żałujesz desperadosów.

- Tych też żałuję.

- Co? Jak?

- Albowiem poszli drogą zbrodni i występku.

- Hm, rzeczywiście! Z tego punktu widzenia godni są politowania. Nie zginęliby tak marnie.

Zefirio uniósł skrzynkę, która stała obok.

- Chcesz obejrzeć nowe roślinki, które zdobyłem? - rzekł uchylając wieko. - Opowiem ci historię niezwykłego kwiatka znalezionego przed godziną!

- Opowiesz mi następnym razem - rzekł don Alvarez. - Teraz nie mam czasu.

- Zaczekaj chwileczkę, senor! - zawołał z przejęciem Zefirio, chwytając za uzdę konia Alvareza. - Musisz rozstrzygnąć moją wątpliwość co do tej dzikiej różyczki, którą znalazłem w tym oto parowie. Jest to dziwny gatunek, czerwono nakrapiany...

- Okaz rzadki, rzeczywiście - rzekł don Alvarez, przyglądając się róży. - Na płatkach widnieją czerwone cętki.

- A widzisz! - zawołał Zefirio z triumfem. - Moja skrzynka zawiera drogocenny skarb, za który amator zapłaciłby dużo pieniędzy. Wracajmy do rzeczy! Co do tej róży mam pewne wątpliwości, które ty powinieneś rozwiązać.

- Słucham - rzekł don Alvarez, wzdychając z rezygnacją.

- Byłem świadkiem dziwnej sceny, która rozegrała się przed godziną w tym oto parowie. Szukałem jakiejś roślinki w zaroślach na skraju parowu, gdy wtem odgłos ludzkich kroków zwrócił moją uwagę. Nie opodał, środkiem parowu, szedł człowiek niewielkiego wzrostu. Sombrero miał głęboko nasunięte na oczy, rękę trzymał na głównej pistoletu. Szedł cicho i ostrożnie jak skradający się tygrys.

Drugi człowiek, w czarnym zawoju na głowie, stał nie opodał, odwrócony doń plecami i oparty o drzewo. Przypatrywał się koniowi, który pasł się obok. Widocznie wypoczywał w tej pozycji. Był odwrócony plecami do mnie i do skradającego się człowieka. Palił, beztrosko cygaro. Widziałem dym unoszący się do góry. W pewnej chwili zaczął pogwizdywać jakąś melodię. Skradający się, błyskawicznie wyciągnął pistolet zza pasa, lecz człowiek w zawoju odwrócił się szybciej i bat świsnął w powietrzu. Człowiek w sombrero chwycił się za rękę. Pistolet poleciał w krzaki.

Trwało to jednak tylko sekundę.

Człowiek w sombrero miał przy sobie drugi pistolet. Jakimś cudem pistolet ten znalazł się w jego dłoni, choć mógłbym przysiąc, że nie sięgnął powtórnie do pasa. Musiał to uczynić niezwykle szybko. Strzelił, ale nie w człowieka w czarnej chustce, lecz prosto w niebo. Dlaczego? Bo w tej samej chwili, gdy wyciągnął rękę, by strzelić, został przebity szpadą, nacisnął kurek, gdy leżał już plecami na Ziemi.

Poznałem człowieka w czarnej chuście. Był to Zorro. Gdy człowiek w sombrero upadł, Zorro rzekł: Nie zdążyłeś strzelić pierwszy, mój biedny don Pedro.

Otóż gdy Zorro dosiadł konia i odjechał, wylazłem ze swego ukrycia i zbliżyłem się ku zabitemu. Obok leżącego ciała rosła ta oto różyczka. Chciałem właśnie zapytać ciebie, don Alvarez, ciebie, którego uważam za światłego męża, powiedz mi proszę, czy ta cętkowana różyczka jest rzeczywiście rzadkim okazem kwiatka, czy też została po prostu opryskana krwią don Pedra?

Piętnaście monet

- Nie mogę, nie mogę, ojczy! Nigdy nie wyjdę za niego. Byłabym najniešťeśliwszą z kobiet pod słońcem. Chyba nie chcesz, by twoja córka wylewała łzy przez całe życie?

- Kwesnię twego szczęścia, pozwolisz moje dziecko, że ja rozstrzygnę. Jestem stary, widziałem świat i ludzi, znam życie lepiej i wiem, gdzie znajdziesz swe szczęście...

- Wydając mnie za bałwana...

- Nie jest taki głupi, jak ci się zdaje. Po prostu chłopak z nikogo nic sobie nie robi, mówi co mu ślina na język przyniesie. Nie widzę w tym nic złego. Jest wykształcony, bogaty, charakter ma równy, spokojny, muchy nie potrafiłby skrzywdzić. Poza tym jest synem mego przyjaciela, pochodzi więc z dobrej, szlacheckiej rodziny. Cóż więcej chcesz? Mówisz, że nie jest mądry? Przecież nie można wymagać od człowieka, by posiadał wszystkie zalety i ani jednej wady!

- Ojczy! Ty, który walczyłeś za ojczyznę, byłeś chlubą armii hiszpańskiej, stawiano cię zawsze jako wzór waleczności i odwagi, ty ojczy sam żądasz, bym miała męża tchórze i niedołęę! Nie mogę tego zrozumieć.

Stary generał uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Istnieje odwaga a odwaga. Na polu bitwy to zupełnie co innego, moje dziecko. Widziałem człowieka, który pod huraganowym ogniem artylerii szedł samotnie na pozycje nieprzyjacielskie, a jednak w cywilu, napadnięty przez zwykłego rzezimieszka, zlął się sztyletu. Skąd wiesz, jak by się zachował Zefirio na polu bitwy? Skąd wiesz, że jest tchórzem? Że don Alvarez rozciągnął go jednym uderzeniem. na podłodze i Zefirio nie zemścił się na nim za zniewagę? Młoda jeszcze jesteś, moja córko, i nie nauczyłaś się patrzeć z pobłażaniem na drobne wady ludzkie. Co do mnie, powody jakie podajesz, nie wystarczają mi, by odrzucać kandydaturę tego miłego i spokojnego młodzieńca.

Łzy napłynęły do oczu Mercedes. Nie wiedziała, w jaki sposób przekonać upartego starca. Nie mogła przecież wyznać mu, że kocha Zorrę. Byłby to Cios zbyt gwałtowny i generał na pewno doznałby wstrząsu. Pozostawiła więc ojca w pokoju i wyszła ocierając oczy chusteczką.

W salonie minęła się z Anzelmem Cortim, który wrócił właśnie z inspekcji.

- Cóż to, Mercedes? - zapytał widząc zapłakane dziewczę. - Masz czerwone oczy! Czyżbyś płakała?

Mercedes chciała się wyprzeć, lecz wpadło jej na myśl w tej samej chwili, że jeśli nie Anzelmo Corti, to nikt jej nie pomoże.

- Senor Anzelmo! - rzekła z wahaniem. - Mam do was zaufanie i dlatego nie biorę pod uwagę, że jesteś ojcem tego, o którym chcę mówić. Nie bierzcie mi za złe, senor, jeśli pomimo woli was urażę, możliwe, że ucierpi wasza duma ojcowska, lecz... lecz... nie mam na to rady... doprawdy.

I łzy znów trysnęły z jej oczu.

Senor Anzelmo zaczął ją łagodnie uspokajać.

- Otrzyj łezki, moje biedne dziecko - rzekł wzruszony. - Powiedz szczerze o co chodzi! Daję słowo honoru, że nie będę żywił urazy do ciebie, bez względu na to co powiesz.

- A więc dobrze! - zaczęła Mercedes. - Powiem wszystko...

Nie dokończyła jednak, gdyż przez okno dojrzeli oboje zajeżdżającą przed dom karetę. Drzwi uchyliły się i wysiadł z niej Pablo Ravales, tym razem sam.

- Do licha! - zawołał Anzelmo niezadowolony. - Cóż ten człowiek znów chce ode mnie?.. Przepraszam cię, moje dziecko, ale muszę się dowiedzieć, jaki ma do mnie interes ten człowiek. Opowiesz mi później, co ci leży na sercu.

Wyszedł pozostawiając Mercedes.

Pablo Ravales wyciągnął rękę do don Anzelma; uśmiechnął się szeroko, zupełnie jak gdyby nic pomiędzy nimi nie zaszło.

- Witajcie, senor! - zawołał. - Cieszę się, że was widzę przy dobrym zdrowiu. Jakże synek się miewa?

- Czemu mam przypisać zaszczyt... - zaczął sucho Anzelmo, lecz don Ravales przerwał:

- Nie tak oficjalnie, na Jowisza, senor! Przywożę dobrą nowinę. Trzymajcie się tylko dobrze, by nie zemdleć!

- Słucham!

- Mój klient zgodził się na dziesięć milionów peso.

Don Anzelmo zbłądł i rzeczywiście omal nie osunął się na ziemię.

Przyczyna jednak była całkiem inna. Ravales mylił się, jeśli przypuszczał, że zawrotna suma

dziesięciu milionów była przyczyną bladeści, jaka okryła oblicze starego szlachcica. Anzelmo przeraził się, gdy uprzytomnił sobie, iż Zefirio zobowiązał się w swoim i jego imieniu odstąpić ziemię za dziesięć milionów. Nikt wówczas nie przypuszczał, że za posiadłość, której wartość nie przekracza pięciuset tysięcy peso w złocie, ktokolwiek zaofiaruje więcej niż pół miliona, a jednak znalazł się taki szaleniec i Anzelmo, który nie chciał za żadne pieniądze pozbywać się ziemi, został przyparty do muru.

- Senor Ravales, muszę przyznać, że zaskoczyłeś mnie swoją propozycją - wyjąkał Anzelmo zmieszany. - Wyznam ci, że nie jestem skłonny sprzedawać dziedzictwa mych przodków!

- Nie rozumiem, don Anzelmo! - rzekł Ravales zdziwiony. - Mam słowo twego syna, które potwierdziłeś. Zażądał w twoim imieniu i w twojej obecności fantastycznej sumy dziesięciu milionów, więc o co chodzi? Wycofujesz dane mi słowo?

- Muszę porozumieć się z synem - odpowiedział wymijająco Anzelmo.

- To co innego. Nie mam nic przeciwko temu.

- Ale teraz nie ma go w domu.

- Mogę poczekać. Mam czas.

Anzelmo Corti nie mogąc pozbyć się natręta, zaprosił go do salonu.

Mercedes czekała w salonie na powrót don Anzelma. Postanowiła wyznać wszystko, a mianowicie, że nie kocha jego syna, że kocha innego, nie wymieniając imienia tego, któremu oddała swe serce.

Don Anzelmo wrócił w towarzystwie jakiegoś mężczyzny, którego wprowadził do salonu, mówiąc:

- Mercedes, przedstawiam ci senor Pabla Ravalesa. Muszę odnaleźć Zefiria, dlatego też proszę cię, weź na siebie rolę gospodyni domu i postaraj się zabawić gościa, zanim wrócę.

Wyszedł pozostawiając ich w salonie.

Pablo Ravales zgiął się w niskim ukłonie i usiadł na wskazanym miejscu.

Mercedes była roztargniona. Lecz pomimo to zarumieniła się gwałtownie, gdy spostrzegła, że przybysz pożera ją wzrokiem.

Uroda Mercedes wywarła na Ravalesie głębokie wrażenie. Uczuł nagle, że dla tej dziewczyny gotów jest na wszystko. Ciemne interesy, złoto - wszystko uleciało z głowy w jednej chwili. Ujrzał tę dziewczynę i zakochał się bez pamięci.

Rozpoczął rozmowę tonem obojętnym i po pewnym czasie już wiedział, że jest córką generała, że korzysta wraz z ojcem z gościnności don Anzelma oraz że ma dziewiętnaście lat.

Mercedes odpowiadała na stawiane jej pytania w roztargnieniu, sama nie zdając sobie zbyt dobrze sprawy, co mówi.

- Seniorita, jesteś młoda i piękna - mówił pieszczotliwym głosem Ravales. - Czy nie żal ci, że musisz tkwić w tym pustkowiu, podczas gdy właściwym miejscem dla twej urody jest tylko wesoły, rozbawiony Madryt lub elegancka i romantyczna Barcelona. Jestem oburzony na samą myśl, że rodzic twój trzyma cię tutaj, gdzie się nudzisz i więdniesz.

Mercedes milczała, nie wiedząc co ma odpowiedzieć. Ravales przysunął swój fotel bliżej:

- Muszę ci wyznać, piękna seniorito - ciągnął dalej - że zrobiłaś na mnie duże wrażenie. Czuję, że nie potrafiłbym żyć bez ciebie. Jestem człowiekiem bogatym, otoczę cię zbytkiem i nie będzie ci nic brakowało przy moim boku. Don Pablo Ravales znany jest w stolicy Hiszpanii, nie masz więc do czynienia z pierwszym lepszym przybłądą. Zbuduję dla ciebie przepiękny pałac z różowego marmuru i obwieszę cię diamentami. Seniorito Mercedes, zostań moją żoną.

Zapałił się wygłaszając swą przemowę miłosną. Mercedes wstała i rzekła sucho:

- Senor Ravales, zdaje się, że jesteś szalony. Nie chcę słuchać dalej. Żegnam!

Don Ravales skoczył na równe nogi i schwycił ją za rękę.

- Posłuchaj, seniorito! Nie odrzucaj mnie, kocham cię nad życie i wszystko zrobię, by...

- Proszę puścić moją rękę - przerwała Mercedes.

Lecz Pablo Ravales stracił panowanie nad sobą i przyciągnął nagle dziewczynę ku sobie, szepcząc namiętnie:

- Rozmówię się z twym ojcem, dam mu tyle milionów, ile zechce. Musisz być moja.

Mercedes zaczęła rozpaczliwie wyrywać się z objęć rozszalałego mężczyzny.

- Oszalałeś, senior! - wołała oburzona w najwyższym stopniu. - Proszę mnie puścić, gdyż zawołam

o pomoc!

Pablo Ravales objął jedną ręką jej kibić, drugą zaś przyciągnął głowę dziewczęcia ku sobie, chcąc ją gwałtem pocałować w usta.

Wtem poza jego plecami rozległ się głos Zefiria:

- Doskonale spędzasz czas, senior! Świetny sposób na nudy wyczekiwania.

Pablo Ravales puścił dziewczynę i odwrócił się ciężko dysząc.

- Niestety - ciągnął dalej Zefirio - seniorita nie należy ani do żywego, ani też do martwego inwentarza mego ojca, nie rozumiem więc, z jakiego tytułu tak się nią interesujesz!

- Pomówię z ojcem Mercedes - rzekł Ravales, odzyskując przytomność umysłu. - Poproszę go o rękę córki!

- Hm, to już do mnie nie należy. Co do mnie, nie oddałbym ci Mercedes za nic w świecie.

- Dlaczego?

- Nie płacisz długów honorowych. Przegrałeś w morę pięćset tysięcy peso i uciekłeś nie uiszczając przegranej. Honorowy człowiek nie postępuje w ten sposób.

- Powściągnij swój język, młody człowieku - rzekł gniewnie Ravales. - Przede wszystkim nie uciekłem, następnie zwróciłem pieniądze za pośrednictwem Zorry.

- Czteryście tysięcy tylko! - rzekł Zefirio. - Lecz Zorro wręczył mi je po to, by następnie odebrać!

- Nie obchodzi mnie to! Zresztą sprawę uważam za załatwioną i niezbyt mi się podoba, że powracasz do niej, by mnie oczernić przed senioritą.

- Jaką senioritą?

Teraz dopiero Ravales zauważył nieobecność Mercedes.

- Mniejsza o to! - rzekł. - Tamto załatwię później. Teraz chcę pomówić o interesach.

- Ach tak! Ojciec mi mówił przed chwilą!

- Bardzo się cieszę, że zgodziłeś się, senior, na tę cenę. Gdzie jest don Anzelmo Corti?

- Nie może na razie opuścić korralu.

- Wolalbym pertraktować z właścicielem.

- To obojętne! Ojciec zrobi wszystko, co powiem.

- Zgoda! A więc: zażądałeś za posiadłość dziesięć milionów, czy tak?

- Dokładnie.

- Suma ta wydała mi się na początku nierealna. Prawdę mówiąc, byłem oburzony na ciebie, sądziłem, że kpisz sobie ze mnie, senior Zefirio. Mój klient uparł się jednak. Rozgniewał się nawet na mnie. Jak to - wołał - powiedziałem ci wyraźnie, że o cenę mi nie chodzi. Proszę dziesięć milionów, trzeba je było dać natychmiast!

- Miał rację. Należało je dać natychmiast!..

- Nie rozumiem.

- Wyzначyłem cenę... propozycja została odrzucona z oburzeniem. Dobrze. Trafił się drugi kupiec, który zaofiarował więcej. Świetnie. Ceny na ziemię tymczasem poszły w górę - weź gazetę do ręki, a przekonasz się. Doskonale. Wobec tego wszystkiego uważam się za zwolnionego z danego ci słowa, chyba... chyba...

- Chyba? - zapytał Ravales, któremu pot wystąpił na czoło.

- Chyba że dasz piętnaście milionów...

- Daję! - wrzasnął doprowadzony do rozpaczcy Ravales.

- Czekaj, senior - rzekł spokojnie Zefirio. - Nie skończyłem jeszcze, piętnaście milionów i połowa zysków...

- Zysków? Z czego?

- Z kopalni srebra, którego złoża znajdują się na gruntach mego ojca! Sądzisz, że nikt nie wie o tym? Że tylko twój klient dobroczyńca zna tę tajemnicę! Niestety, jeszcze dwoje ludzi wie o tym dobrze. Pierwszy to unizony twój sługa Zefirio, drugi...

- Drugi....

- Drugi to Zorro, ten bandyta.

Do pokoju wszedł Anzelmo Corti.

Zefirio siedział w bujającym się fotelu i uśmiechał się szeroko i jak zwykle głupkowato.

Pablo Ravales stał przed nim. Żyły na jego czole nabrzmiały, pot spływał po policzkach. Ledwie opanowywał ogarniającą go wściekłość. Nie mówił na razie nic - walczył z sobą.

Anzelmo spojrzał nań ciekawie i zapytał:

- No i cóż, porozumieliście się?

- Niezupełnie! - odpowiedział Zefirio. - Klient seiiora Ravalesa jest zbyt chciwy, chce sam zagarniać zyski, a nam pozostawia okruchy z pańskiego stołu.

- Nie rozumiem - rzekł Anzelmo zdumiony.

- Na razie jest to tajemnica, ojczu. Dowiesz się z czasem! Sądzę, że wystarczy nam na utrzymanie to, co posiadamy.

- Piętnaście milionów! - powtórzył machinalnie Ravales.

- Piękna sumka! - rzekł Zefirio. - Niestety, pieniądze nie kuszą nas. Co do mnie, nie lubię spokojnego żywota spędzanego na wylegiwaniu się na workach ze złotem. Nadmierny dobrobyt ogłupia. Emocja, ryzyko, hazard to co innego... - Przerwał na chwilę jakby namyślając się, wreszcie rzekł: - Uwielbiam hazard. Dla ryzyka gotów jestem poświęcić miliony. Toteż mam dla ciebie pewną propozycję, która może uczynić cię tanim kosztem właścicielem całej posiadłości. Sądzę, że ojciec mój zgodzi się na to z góry.

Anzelmo skinął głową, uśmiechając się. Miał zaufanie do swego syna, ślepą wiarę ojca, który kocha swego jedynaka. Czuł instynktownie, że wszystko, co syn przedsięwzię, choćby to miało wyglądać na niedorzeczność lub czyste szaleństwo - nie wyjdzie mu na złe.

- Jaką propozycję masz dla mnie? - zapytał nieufnie Ravales.

- Proponujesz piętnaście milionów. Odmawiasz jednak udziału w zyskach, które urosłyby przypuszczalnie do pięciu milionów peso. Jest to chciwość niewybaczalna. Mniejsza o to, nie żywię do ciebie urazy, senior. Przeciwnie, dam ci szansę nabycia całej posiadłości za jeden milion.

Ravales podskoczył nie wierząc własnym uszom.

- Za milion? Żartujesz chyba, caballero?

- Mówię zupełnie poważnie! Zagramy o tę sumę.

- Nie nabierzesz mnie znowu, senior Zefirio - rzekł. - Poznałem się już na twojej zdolności do wszelkich sztuczek i gier. Nie mam miliona peso do stracenia.

- Krzywdzisz mnie, senior Ravales, nie chcąc mnie wysłuchać. Nie wiesz nawet o czym mówię!

- Więc słucham!

- Na to czekałem! Nie będziemy grali w morę ani też w inną grę wymagającą zręczności lub przytomności umysłu. W piętnaście monet grać może nawet dziecko. Jest to gra prosta, trzeba tylko umieć liczyć do piętnastu! Czy umiesz liczyć do piętnastu?

- Hm! - mruknął Ravales, który miał się na baczności.

- Doskonale! Przeczynałem, że jesteś dobrym rachmistrzem. Nie każdy potrafi liczyć do piętnastu.

Wydobył z kieszeni garść drobnych monet i ułożył je szeregiem na stole.

- Uwważaj, senior Ravales! - rzekł. - Gra polega na tym, że każdy z nas kolejno odejmuje od górnej liczby jedną do trzech monet. Rozumiesz? Jeśli na przykład ja odejmę jedną, dwie lub trzy monety - ty z kolei odejmujesz tyle, ile ci się podoba, lecz nie więcej niż trzy monety za każdym razem.

- Rozumiem!

- Doskonale! Otóż ten, dla którego pozostanie ostatnia moneta - przegrywa! Szanse są równe, ponieważ każdy z partnerów odejmuje według własnych obliczeń jedną, dwie lub trzy monety.

- Kto rozpoczyna grę?

- To obojętne. Jeśli chcesz, możesz sam rozpocząć, możesz też mi dać pierwszeństwo. Wybór pozostawiam tobie.

- Gra wydaje się uczciwa.

- Dziecinnie prosta! Daję ci jednak szansę. Zagramy dziesięć razy. Jeśli wygrasz choćby trzykrotnie, zabierasz posiadłość, jeśli przegrasz, zabieram milion. Zgoda?

Pablo Ravales zamyślił się. Jakieś wewnętrzne uczucie wołało: nie graj, nie graj, z drugiej zaś strony nie byłby Hiszpanem, gdyby nie miał w sobie żyłki hazardzisty.

- Zgoda-odparł.

- Pieniądze na stół!
- Asygnata na bank Moreno w Madrycie?
- Dobrze.
- Oto jest.

Zefirio wziął ze stołu asygnatę, złożył i schował do kieszeni.

- Co czynisz? - zawołał Ravales niespokojnie.

- Zabezpieczam się - rzekł Zefirio. - W razie przegranej wolę, by pieniądze leżały u mnie w kieszeni, niżby Zorro musiał je siłą odebrać.

- Zaczynamy! - rzekł Ravales niecierpliwie i dodał: - Liczę na twą obietnicę.

- Jeśli przegram, posiadłość należy do ciebie!

Rozpoczęli grę. Ravales ujął dwie monety, Zefirio jedną. Pozostało na stole dwanaście monet. Ravales ujął trzy. Zefirio - dwie. Ravales namyślał się chwilę i ujął dwie monety. Pozostało pięć sztuk. Zefirio ujął jedną, Ravales trzy i Zefirio przegrał, gdyż pozostała dlań jedna moneta..

- Przegrałem - rzekł. - Gramy jeszcze dziewięć razy.

Rozpoczęli grę po raz drugi. I tym razem Ravales obliczał, namyślał się i Zefirio znów przegrał.

- Nie mam szczęścia dzisiaj - rzekł Zefirio. - Gramy dalej.

Anzelmo Corti, który z zapartym tchem przyglądał się grze, otarł perlisty pot występujący mu na czoło. Jeszcze jedna wygrana, a posiadłość przechodzi na własność Pabla.

Lecz szczęście odwróciło się od Ravalesa. Zefirio zaczął wygrywać.

Rozpoczęła się ostatnia gra.

- Ujmuję dwie monety! - rzekł Ravales, dysząc ciężko. - Jedną.

- Również jedną!

- Dwie!

- Jedną!

- Trzy!

- Jedną!

- Trzy i ostatnia moneta pozostaje na stole dla ciebie - rzekł Zefirio. - Przegrałeś!

Anzelmo odetchnął, Ravales wstał i dziko potoczył oczami. Wyglądał jak gdyby dostał ataku furii. Nie mówiąc ani słowa, zaczął rozglądać się za swym sombrero.

Zefirio zgarnął spokojnie monety ze stołu i bawiąc się nimi, rzekł:

- Nie przejmuj się zbytnio stratą miliona, senor! Nie wahałeś się przecież ofiarować don Alvarezowi milion peso, by postarał się, ażeby nas ksiądz Ramido przepędził z naszej ziemi. Don Alvarez nie zdołał tego dokonać, a więc zaoszczędziłeś milion.

Ravales nie słyszał dalej. Schwycił kapelusz i wypadł z pokoju jak oparzony.

Po chwili turkot kół powozu oznajmił, że sprytny handlarz dóbr ziemskich opuścił niegościnne progi.

Zefirio siedział w bujającym się fotelu i śmiał się wesoło.

- Uf! - odetchnął z ulgą Anzelmo. - Nastraszyłeś mnie porządnie, chłopcze. Przegrałeś dwa razy. Jeszcze jeden raz, a bylibyśmy zmuszeni opuścić rodzinne strony.

- Płonne obawy, ojczu! - rzekł Zefirio. - Przegrałem umyślnie dwa razy, by mu dostarczyć trochę emocji. Nie przegrałbym ani razu, gdybym nie zechciał.

- Niemożliwe! - zawołał Anzelmo. - Obserwowałem grę uważnie, nie było tutaj żadnej sztuczki.

- Bo źle uważałeś! Cała sztuka polega na tym, by na samym początku gry pozostawić przeciwnikowi dziewięć monet. Mając dziewięć monet przed sobą, z góry przegrywa. Biorę więc dwie sztuki, jeśli ujęto już cztery, lub też. biorę jedną monetę, jeśli poprzednio ujęto pięć. Zawsze tak manipuluję, by dziewięć, a następnie pięć sztuk pozostawało partnerowi. Wówczas musi przegrać.

- A więc szulerska sztuczka?

- Niekoniecznie. Nie chowam kart w rękawie, wszystko leży na stole, biada tylko graczowi, który nie jest spostrzegawczy. Zresztą należała się nauuczka temu hultajowi, który nasyła nocą morderców do domu i przekupuje don Alvareza, by mu dopomógł wyzuć bezprawnie właściciela z jego posiadłości.

- Co uczynisz z pieniędzmi?

- Namyślę się jeszcze - rzekł Zefirio zagadkowo.

Przyjaciel

Powóz pozostawił Huesco daleko za sobą. Słońce chyliło się ku zachodowi. Dookoła panował ponury krajobraz pustkowi północnej Hiszpanii. Nieszczęściem tego kraju jest przyroda, która nierównomiernie rozmieściła, niby oazy, roślinność żyznych okolic wśród bezpłodnych piasków, gór i skał.

Pablo Ravales siedział w powozie nieprzytomny z wściekłości. Nigdy nie będzie mógł wyznać nawet najbliższemu przyjacielowi, że dwukrotnie padł ofiarą młodzieńca, którego cała okolica uważa za durnia. Wystawiłby się tylko na pośmiewisko ludzkie. On, jeden z najbardziej sprytnych i przebiegłych spekulantów, jakich tylko znała Hiszpania. Nie miał równego sobie w oszukiwaniu bliźniego, nigdy nie przebierał w środkach, gdy chodziło o dopięcie celu.

I nagle zjawia się żółtodziób, młokos; ogrywa go w morę, grę, którą znał świetnie i w której celował jeszcze za czasów, gdy włóczył się po spelunkach Barcelony i Madrytu.

Nauczony doświadczeniem nie powinien dać się wciągnąć w drugą grę. Uległ i kosztowało go to okrągły milion.

- Nie daruję! - warknął zgrzytając zębami z wściekłości połączonej z rozpaczą. - Puszcę z dymem, zamorduję obydwu, ojca i syna! Nie będę sobą, jeśli tego nie uczynię.

Knując plany zemsty, Pablo Ravales oddalał się tymczasem coraz bardziej od ludnych okolic. Powóz posuwał się po kamienistym terenie. Turkot kół rozdzierał ciszę panującą dookoła. Nagle rozległ się groźny okrzyk: stój! poparty wystrzałem. Powóz stanął i woźnica uniósł ręce do góry. Dwudziestu kilku jeźdźców w szerokich sombrero otoczyło powóz ze wszystkich stron, trzymając strzelby wycelowane w stronę okna powozu i w pierś woźnicy.

Była to banda desperadosów.

Herszt bandy zatoczył koło na koniu i zatrzymał się przed oknem powozu.

- Hej pasażer, wyłazić, ale żywo! - zawołał mierząc z pistoletu. Pablo Ravales wysadził głowę przez okno. - Cóż tam znowu? - zapytał.

Herszt opuścił pistolet, zdumiony.

- Pablo, do diabła! - zawołał. - Skąd się tu wziąłeś?

- A ty, Galena, rozbijasz się na wielkich drogach, jak widzę? Despeldo schował pistolet i rzekł ponuro:

- Cóż robić? Ten przeklęty Ramido, który jest większym zbójem niż my wszyscy razem wzięci, uwziął się na nas. Musieliśmy uchodzić z Saragossy. Wielu z nas wybił Zorro, szatan z piekła rodem. My tutaj jesteśmy niedobitkami. Podróżnych teraz mało, a ci którzy są, jadą pod silną eskortą. Nie napadamy teraz na folwarki, by nie ściągać Zorry, tego piekielnika, sobie na kark. Słowem, jak widzisz, interesy idą nieszczęśliwie.

- Widzę, mój biedny Galena - rzekł Pablo Ravales ze współczuciem - że macie miny nader wygłodzone.

- Słuchaj, Pablo - rzekł desperado nachylając się do okienka powozu - byliśmy ongiś wiernymi przyjaciółmi. Braliśmy udział w niejednej wspólnej wyprawie. Dobry był z ciebie przed laty pistolero. Słyszałem, że teraz wiedzie ci się nieźle. Ze względu na naszą dawniejszą przyjaźń, powiedz Pablo, czy nie można by coś zarobić przy tobie?

- Sądzę, że tak! - rzekł Ravales. - Mam, zdaje się, dla ciebie robotę...

- Naprawdę? - ucieszył się bandyta. - Masz robotę?

- Siadaj przy mnie! Pogadamy!

Galena rzucił cugle jednemu z desperadosów i wlaź do powozu, który ruszył powoli naprzód.

- A więc, słucham! Jaka to robota? Rabunek, podpalenie, morderstwo czy porwanie?

Na słowo „porwanie”, Pablo Ravales drgnął. Pewna myśl zabłysła w jego mózgu. Przypomniał sobie piękną Mercedes, jej opór wobec niego i krew zaczęła mu się burzyć w żyłach.

- Przedsięwzięcie nie jest zbyt trudne - rzekł. Chodzi tylko o to, żeby zabrać się zrećźnie do roboty. Musicie porwać dziewczynę, sprzątnąć właścicieli, ojca i syna, oraz podpalić wszystkie zabudowania.

- Folwark?

- Tak! Anzelmo Corti, dwadzieścia trzy mile na południowy zachód od Huesco.

Galena podrapał się w głowę.

- Wahasz się? - zapytał Ravales.

- Ten przeklęty Zorro krąży w tamtych stronach.

- Więc cóż! Jest was dwudziestu! Boicie się jednego człowieka?

- Poznać, żeś przybył z daleka. Nie zdajesz sobie sprawy, do czego ten człowiek jest zdolny.

I Galena opowiedział szczegółowo, jak Zorro, sam jeden, wyciął prawie całą bandę, wśród ciemności nocy.

- To była straszna noc! - zakończył. - Tam zbielały mi pierwsze włosy. Nie możesz sobie wyobrazić jaki okropny lęk nas wszystkich ogarnął. Strzelaliśmy na oślep, we wszystkich możliwych kierunkach, a on krążył pomiędzy nami jak jaguar i ciął bez miłosierdzia. Wiesz dobrze, że byłem już nieraz w opresjach. Życie pistolera i desperadosa obfituje we wszelkiego rodzaju niebezpieczne przygody, ale tak straszliwej nocy, póki żyję, nie zaznałem i do samej śmierci nie zapomnę. Teraz rozumiesz, dlaczego waham się, gdy chodzi o napad na folwark.

Ravales słuchał w najgłębszym zdumieniu. Widział, jak na twarzy herszta, na samo wspomnienie, malowała się zgroza. Winszował więc sobie, że uszedł cały ze spotkania ze straszonym przeciwnikiem.

- Rozumiem cię bardzo dobrze! - rzekł, gdy Galena dokończył swe opowiadanie. - Niestety, nie mogę odstąpić od swego żądania. Jeśli nie podejmiesz się tej roboty, wyszukam odpowiednich ludzi w Madrycie i przyślę ich tutaj. Nie będą mieli podobnych skrupułów.

Bandyta pomyślał chwilę, wreszcie odezwał się wzdychając:

- Ha, cóż robić! Zaryzykujemy, skoro inaczej być nie może. Przeniesiemy się potem do innej prowincji. Aragonię pozostawimy daleko za sobą: Będziemy jednak musieli umykać co tchu.

- Co uczynicie później, nie interesuje mnie wcale! Grunt to wykonać zadanie jak się należy. Płacę gotówką. Daję dwadzieścia tysięcy peso.

- Mało! Jest nas dwudziestu trzech. Co najmniej trzy tysiące na głowę!

- Zgoda! Nie targuję się, zależy mi bowiem na wykonaniu tej roboty.

- Pieniądze z góry.

- Nie! Połowa zaraz, a reszta gdy mi dostarczycie dziewczynę.

Galena musiał się zgodzić widząc stanowczość Ravalesa.

- Podaj mi szczegóły - rzekł bandyta, biorąc pieniądze. - Muszę wiedzieć dokładnie, kogo mamy porwać, kogo sprzątnąć i co podpalić.

Ravales wytłumaczył mu wszystko dokładnie - opisał położenie domu i rozkład pokoi.

Galena zanotował szczegóły w pamięci.

Po chwili siedział już na swym koniu. Banda oddaliła się galopem i skryła się w tumanie kurzu.

Pablo Ravales zatarł ręce, zadowolony z siebie.

- Na Galenie mogę polegać - szepnął. - Wziął pieniądze, więc zadanie wykona, choćby miał życie postradać.

Postrach Aragonii

Ulicą Saragossy szli dwaj mężczyźni rozmawiając z ożywieniem. Jeden z nich, z miną hiszpańskiego granda, wysoki, chudy, ubrany był z wyszukaną elegancją. Drugi - szeroki, okrągły, o twarzy lśniącej jak tarcza księżycy, miał na sobie ubranie szlachcica z prowincji. Uśmiechał się przez cały czas trwania rozmowy, mrużąc swe maleńkie, rzekłbyś świńskie oczka. Obaj nie mieli wyglądu zbyt dobrodusznego, lecz mały grubasek, pomimo swego wiecznego uśmiechu, wywierał gorsze wrażenie niż jego towarzysz.

Idąc mówili:

- Daleko jeszcze, senor Antonio? - zapytał grubas. - Nogi mi się wykręcają na tych wybojach.

- Cierpliwości, senor Sebastiano! Jeszcze dwie uliczki i będziemy na miejscu.

- Szedłbym chętnie jeszcze ze dwie godziny, gdybym był pewny, że sława tego... tego....

- J osego Cardilli...

- Właśnie! Sława tego Josego Cardilli nie jest przesadzona.

Gdybym był tego pewny, szedłbym tak do wieczora, choćby mi nogi miały wleść w ciało po

kolana.

- Nie, senor Sebastiano! Zapewniam cię, że to co o nim mówię, nie jest przesadą. Spędził cztery lata na galerach i dwa lata w domu dla obłąkanych w Barcelonie. To ostatnie uratowało go od dożywotniego więzienia!

- Ładny ptaszek!

- Unikat! Kocha się w niebezpieczeństwie, morduje dla przyjemności i nie jest przy tym zbyt wymagający.

- Nie chodzi mi o sumę, jakiej zażąda. Gotów jestem dać dwa razy więcej, niż wymieni, byleby zabrał się do rzeczy energicznie!

Wątpię tylko, czy podola.

- Głowę dam, że podola. Nie ma w całej Hiszpanii drugiego takiego.

- Włada batem?

- Lepiej niż...

- Tsss! Nie wymieniajmy nazwiska.

- Chwyta pistolety w powietrzu i strzela do trzech podrzuconych w górę monet. Trafia w każdą.

- Pięknie!

- Ciska nożem ze zręcznością nadzwyczajną! Włada szpadą jak fechtmistrz florentyński z siedemnastego stulecia!

- Ależ to cud!

- A co jest w nim najlepsze? Otóż działa szybko, sprawnie, cicho i dokładnie. Słowem, tygrys w ludzkim ciele. Przy tym jest ubogi i nie ceni pieniędzy. Przepija natychmiast wszystko, co zarobi.

- Dziwne, że don Ramido nie wymiółł go z innymi desperadosami.

- Jose Cardilla nie jest bandytą! Pogardza nimi! Jest to samotny zbój, który chadza własnymi drogami. Żaden żandarm ani szpieg księcia nie zagląda w te strony, gdyż wie dobrze, że nie uszedłby z życiem. A oto jesteśmy.

Stanęli w ciasnej uliczce. Nad głowami idących gęsto powiewała rozwieszona bielizna. Zaduch bił ze wszystkich okien i drzwi. Pełno było wszędzie obdartych dzieciaków.

Mężczyźni waleśali się spoglądając nieufnie i chciwie zarazem na dwóch obcych.

Wysoki jegomość, o minie granda, zadarł głowę i zawołał głośno:

- Frasquita, hej Frasquita!

W małym okienku na drugim piętrze ukazała się rozczochrana głowa młodej kobiety:

- Co tam?

- Można na górę?

- Zaraz.

Głowa kobiety znikła i po chwili zjawiała się znów.

- Chodźcie!

Na drugim piętrze drzwi były otwarte. Stała w nich kobieta, której ciało ledwie okrywał brudny, podarty szlafrok.

Dwaj mężczyźni weszli do środka.

- Kto tam? - rozległ się męski głos z drugiego pokoju. To ty, senor Antonio?

- Tak, to ja! - odezwał się chudy mężczyzna. - Przyprowaździłem interesanta. Czy można wejść?

- Proszę.

Weszli do drugiego pokoju.

Na szerokim barłogu spoczywał mężczyzna w ubraniu. Obok stało krzesło, na którym leżał długi nóż. Mężczyzna, leżąc na plecach, trzymał pomiędzy zgiętymi kolanami oślekę, na której toczył wąski sztylet, co chwila próbując ostrza palcami.

- Siadźcie, proszę! - rzekł Jose Cardilla, szlifując sztylet.

Lecz w pokoju nie było wolnego krzesła i przybysze stali w dalszym ciągu.

Don Antonio chrząknął i rzekł:

- Słuchaj, Jose! Przyprowaździłem tutaj przyjaciela. Ma dobrze płatne zajęcie dla ciebie!

- Wszyscy tak mówicie! - mruknął Jose. - Dobrze płatne zajęcie, a jak przyjdzie do płacenia, szkoda wam każdego peso.

- Mylisz się w tym wypadku - rzekł don Antonio. – Senor Sebastiano ofiaruje ci dziesięć tysięcy. Jose ożywił się nieco. Usta jego rozchyliły się w uprzejmym uśmiechu, który był raczej grymasem.

- Tak, to co innego! - rzekł odkładając sztylet i oselkę. – Co powinienem zrobić za te pieniądze? Wyciąć w pień pułk kirasjerów?

- Żarty na bok, Jose! - rzekł don Antonio. - Chodzi tutaj tylko o jednego człowieka.

Jose zdumiał się. Za sprzątnięcie jednego człowieka dają mu tak wiele pieniędzy? Tu coś się kryje!

Z wyjątkiem królowej i księcia wielkorządcy podejmują się za te pieniądze przenieść na tamten świat każdego człowieka na kuli ziemskiej.

Sebastiano przystąpił do rzeczy.

- Dużo słyszałem o was, senor Jose, i dlatego też nie zwróciłem się do nikogo innego. Wiem, że jesteś szalenie odważny, zuchwały nawet, wiem, że jesteś najzręczniejszym strzelcem i szermierzem na Półwyspie Pirenejskim, toteż jestem przekonany, że nie ułękniecie się Zorry.

Jose Cardilla usiadł od razu. Oczy jego zabłysły. Odpowiedział cicho:

- Zorro? Więc tutaj chodzi o Zorrę?

Don Antonio i Sebastiano spojrzeli na siebie. W oczach grubasa malował się niepokój. Zląkł się Zorry, przeleciało mu błyskawicznie przez głowę. Cała sprawa na nic!

Wyjął tonem pojednawczym:

- Ostatecznie, jeśli ten interes nie odpowiada ci, senor Jose, nie będę zbytnio nalegał...

- Głupiec z ciebie, senor! - mruknął Jose. - Jestem gotów podjąć się zadania, nawet bezpłatnie!

Obecni spojrzeli znów na siebie ze zdumieniem.

- Dziwicie się, co? - zauważył Jose, wstając z łóżka. - Wytłumaczę wam zaraz, dlaczego ta sprawa leży mi na sercu.

Gdy wstał, don Antonio i Sebastiano mogli podziwiać jego muskularne ciało, uwydatniające się poprzez obcisłą odzież. Był szczupły, wysoki i miał ruchy niezwykle sprężyste. Z postawy bardziej przypominał akrobatę lub tancerza niż rozbójnika.

- Wyjaśnię wam w czym rzecz - rzekł. - Zorro jest jedynym człowiekiem na świecie, o którym mógłbym powiedzieć, że mi dorównuje pod wielu względami. Włada biczem z bawolej skóry ze zręcznością, która prawie dorównuje mojej. Strzela dobrze, jest zręczny i zuchwały. Wybaczyłbym mu to wszystko, gdyby nie przynosiło to uszczerbku mej sławie. Każdy wiedział, że tylko Jose Cardilla pokonał całą uzbrojoną bandę złożoną z wrogich mu pistolerów. Pokonał jedynie nożem, który trzymał w ręku. Było ich dziewięciu. Zorro jednak usunął mnie w cień. Słyszeliście o tej historii w okolicy Huesco? Wyciął bandę desperadosów! Pomędzy zabitymi znalazł się również ich szef, najlepszy pistolero w kraju i mój najwierniejszy przyjaciel...

- Rozumiem! - rzekł Sebastiano. - Chcesz się zemścić. - Nie tylko! Chcę pokazać, że prócz mnie nikt nie może rościć sobie prawa do tytułu: postrach Aragonii.

- Rzeczywiście, tak nazywają Zorrę - rzekł Sebastiano. - Otóż postrachem Aragonii jestem tylko ja, Jose Cardilla.

- Podobaś? - zapytał krótko Sebastiano.

- Zaraz zobaczysz!

Wyszedł do drugiego pokoju i przyniósł bat. Rzemień zwinięty był w kółko.

Zbliżył się do okna i rzekł odwracając się do obu:

- Chodźcie tutaj, senores! Pokażę wam coś.

Wychylił się z okna i zawołał:

- Hej, Miguel, podrzuć kamyk w górę.

Obdarty chłopiec, stojący nie opodal na ulicy, posłuchał, podniósł mały kamyk i podrzucił.

Bicz trzasnął i koniec rzemienia ugodził w kamyk, który poleciał wyżej i padł na dach przeciwnego domu.

- No i cóż? - rzekł Jose. - Podoba się wam ta sztuczka? Zwróćcie uwagę na to, że stojąc w oknie, jestem skrepowany w ruchach, nie mogę nabrać rozmachu! A teraz pokażę wam co innego.

Odłożył bat i wyszedł do drugiego pokoju. Po chwili wrócił trzymając pistolety w obu rękach. Zbliżył się znów ku oknu i rzekł:

- Widzicie to stado gołębi, które krąży wysoko nad nami? Uważajcie!

Podrzucił dwa pistolety, które zawirowały i padając znalazły się ponownie w dłoniach Cardilli. W tej samej sekundzie padły jednocześnie dwa strzały i dwa gołębie runęły w dół. Znow pistolety zakreśliły się w powietrzu i znow padły dwa strzały, dwa gołębie padły martwe..

- No i cóż, senores! - zapytał spokojnie. - Jak się wam podobają me latające pistolety?

Obaj nie rzekli ani słowa.

- Na tym nie koniec! - kontynuował Jose, który zawział się, by wprawić, swych gości w osłupienie. Wziął sztylet i nóż, które leżały dotychczas na krześle. - Przejdźcie się, proszę, po pokoju, ja zaś odwrócę się plecami..

Uczynili, jak prosił.

Jose szybko przegiął się w tył, tak że gibkie jego ciało tworzyło teraz łuk, i cisnął noże trzymane w rękach.

Sztylet świsnął koło ucha don Antonia i utkwił w drzwiach. Nóż przeleciał tuż obok głowy Sebastiana i utkwił ostrzem w komodzie.

- Mógłbym popisywać się w cyrku! - chwalił się Jose, prostując się i odwracając się do gości. - Czy Zorro dokaże tego samego?

- Wątpię - odezwał się don Antonio.

Sebastiano sięgnął do kieszeni i wyjął sakiewkę.

- Oto dwadzieścia pięć tysięcy peso - rzekł kładąc pieniądze na krześle. - Płacę z góry i więcej niż podwójnie.

Oświadczyzny don Alvareza

Dolores stała przed klatką wiszącą na oknie i karmiła kanarka. Promienie słoneczne wpadały do pokoju, tworząc na podłodze jasną plamę.

Dziewczyna była zatopiona w myślach. Jak żywy stawał przed jej oczyma obraz święta ludowego. Ona i Zorro tańczą. Jest upojona. Cały świat przestaje istnieć. I nagle brutalni ludzie odpychają ją na bok i rzucają się na Zorrę. Wymknął się, to prawda, lecz od tego czasu nie widziała go więcej.

Na próżno walczyła później z uczuciem, które ją ogarnęło, na próżno tłumaczyła sobie, że jest szalona, że Zorro to zwykły rozbójnik, a ona jest księżniczką.

Starła się nie myśleć o nim. Flirtowała z młodymi mężczyznami z najlepszych rodów, bawiła się na balach, tańczyła nieraz do rana, budząc zgorszenie wśród najlepszej socjety - wszystko na próżno. Myśl uparcie powracała do Zorry.

Westchnęła zdając sobie jasno sprawę, że go kocha.

- Cóż mogę zrobić? - szepnęła. - Nikt nie może być panem swego serca.

Odeszła od okna i usiadła przy pianinie.

Popłynęły piękne tony nokturnu Chopina. Smętna melodia ulatywała przez okno. Słysząc było w niej szum wichru i odgłos kropel deszczowych.

Don Alvarez przechodził obok rezydencji książęcej. Do uszu jego doleciały dźwięki melodii. Przystanął nad słuchując.

Dolores skończyła grać i zbliżyła się do okna.

- Buen Dios, seniorito! - zawołał don Alvarez z najmiłym uśmiechem, na jaki potrafił się zdobyć. - Pięknie grasz, doprawdy, seniorito Dolores. Jakaż to melodia?

- Nokturn Chopina - odpowiedziała.

- Chopin, ach tak, kompozytor niemiecki.

- Nie, don Alvarez! Kompozytor polski. Polacco!

- Polacco? - zdziwił się don Alvarez.

- Powinieneś znać ten naród. Przy boku Napoleona zdobyli niegdyś Somosierrę i miasto, gdzie obecnie się znajdujemy, Saragossę. Dziwi mnie to, że jako wojskowy nic o tym nie wiesz!

Don Alvarez skrzywił się, nie bardzo było mu przyjemnie, że Dolores wypominała mu omyłkę z lekką ironią.

- Ach tak. Przypominam sobie. Bardzo waleczny naród.

Był nieco zażenowany swym brakiem wiedzy. Historia, której się uczył będąc chłopcem, wyleciała

mu z głowy zupełnie, a nigdy nie interesował się podaniami i legendami, które krążyły wśród ludu. Z trudem przypominał sobie fakty historyczne.

Potem pomyślał: Jakaż ona piękna, a zarazem wykształcona. Wymarzona małżonka dla dzielnego oficera. Dolores zapewniłaby mu karierę.

Uniósł głowę i zawołał:

- Księżniczko! Czy pozwolisz, bym zawitał do niej nieco później!. Chciałbym z nią pomówić.

- Nie mam nic przeciwko temu, pułkowniku! – odpowiedziała Dolores i zamknęła okno.

Don Alvarez zamyślony okrążył pałac i wszedł przez główne drzwi, obok których żołnierze pełnili straż. Minał olbrzymią salę wysłaną czerwonym dywanem, witając się po drodze z dworzanami księcia, i zapukał do drzwi gabinetu don Ramida.

Księżę siedział przy biurku. Uniósł głowę i spojrzał pytająco na wchodzącego.

- Mam nowinę - rzekł don Alvarez. - Zorro osmagał batem don Sebastiana Hioro, właściciela dóbr na zachód od Huesco.

- Znam don Sebastiana! Poważam go, umie bowiem trzymać swych ludzi w ryzach.

- Właśnie dlatego też Zorro go osmagał. Podobno wyrzucił całą rodzinę składającą się z ojca, matki i czworga dzieci. Pozbawił ich dachu nad głową z błahej przyczyny, a wszystko dlatego, że rodzice nie chcieli przysłać swej córki Marquity do jego dworu.

- I ten bandyta śmiał unieść rękę na tak szacownego hacjendero? To przechodzi ludzkie pojęcie. Co robią żołnierze i policja?.. Mam wrażenie czasami, że Aragonia to pustynny kraj, gdzie bezczelny osobnik hula bezkarnie, nie napotykając żywej duszy, która by mu stawiała opór. I powiadasz, że osmagał go za to, że don Sebastiano wydalil jednego ze swych ludzi?

- Tak, z całą rodziną. Zorro podjął się naprawienia rzekomej krzywdy.

-Hm!

- Zorro obil go, a następnie zabrał wszystkie pieniądze, jakie don Sebastiano miał przy sobie, i dał je tej rodzinie.

- Co dalej?

- Posłałem żandarmów! Odebrali z powrotem pieniądze...

- I zwróciłeś je don Sebastianowi...

- Nie, bo Zorro zaatakował żandarmów i odebrał złoto, które wieźli!

- Bronili się?

- Oddali bez oporu.

- Należy ich surowo ukarać.

-Już zrobione.

-To wszystko?

- Nie! Mam jeszcze jedną nowinę.

- Słucham.

- Znam kryjówkę Zorry.

Księżę skoczył na równe nogi.

- Znasz kryjówkę Zorry? - zawołał. - Nie żartujesz?

- Trzyma tam konia i broń.

- W jaki sposób dowiedziałeś się, pułkowniku?

- Doniósł mi jeden ze szpiegów. Ukryty w zaroślach widział starego węglarza, który wyprowadził konia Zorry przed swą chatę.

- Zorro tam był?

- Tak. I to bez maski. Niestety, było już zbyt ciemno i mój człowiek nie mógł dojrzeć rysów twarzy.

- Szkoda! Cóż zamierzasz uczynić?

- Przede wszystkim unieszkodliwię węglarza. Następnie rozmieszczę dookoła swych ludzi. Ukryję ich w zaroślach i w chacie. Gdy Zorro się zjawi, a będzie bez broni, gdyż znajduje się ona u węglarza, zaatakujemy go jednocześnie ze wszystkich stron. Bez bata, bez szpady i bez pistoletów - wątpię, czy się nam wymknie.

- Świetnie! - ucieszył się don Ramido, zacierając ręce. - Jeśli się uda postaram się dla ciebie o

najwyższe odznaczenie. Kariera twoja jest zapewniona.

- Uda się na pewno. Uważam, że trzymam Zorrę mocno w garści. Pozwolisz jeszcze, mości książe, że wystosuję doń pewną prośbę.

- Słucham!

- Mam zaszczyt prosić o rękę księżniczki Dolores.

Książę siedział w milczeniu. W głębi duszy nienawidził don Alvaręza, który dzielił z nim władzę wojskową na mocy rozkazu królowej Izabelli. Uważał go za intryganta i karierowicza. Nie dał jednak poznać po sobie, jakie uczucie żywi wobec niego i rzekł ostrożnie:

- Nie mam nic przeciwko temu, byś pojął Dolores za żonę. Cieszę się na samą myśl, że w rodzinie będzie tak dzielny oficer. Muszę cię jednak uprzedzić, pułkowniku, że jesteś już dziewiątym z kolei mężczyzną, który oświadcza się o rękę Dolores w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Odrzuca jednak wszystkich. Nie mam pojęcia, co jej się stało. Zapytałem kiedyś i wiesz co mi ze śmiechem odpowiedziała? "Nudzą mnie ci wszyscy dobrze urodzeni młodzieńcy, mam chętkę zakochać się w zwykłym rozbójniku!" Uważam jednak, że możesz poprobować szczęścia i oświadczyć się wprost mej siostrzenicy. Co do mnie, masz moje błogosławieństwo. Ślub jednak odłożymy, aż do ujęcia Zorry, gdyż tylko wówczas kariera twoja byłaby zapewniona.

Don Alvarez podziękował, uklonił się i wyszedł. Gdy był już na korytarzu, pomyślał: chytry lis!

Minął salę posiedzeń, dwie przyległe komnaty, skręcił długim korytarzem w prawo i kazał się zameldować senorcie Dolares. Pokojówka wróciła po chwili:

- Księżniczka prosi! - rzekła.

Don Alvarez, przechodząc obok niej, uszczypnął ją w policzek.

Dziewczyna uśmiechnęła się ukazując równe ząbki.

- Jak ci na imię, moje dziecko? - zapytał don Alvarez.

- Pepita! - brzmiała odpowiedź subretki.

- A więc Pepito, śliczne moje dziewczętko, podobasz mi się!

- Och, senior pułkownik żartuje sobie ze mnie! - odpowiedziała pokojówka, opuszczając niby skromnie oczy.

- Wcale nie żartuję - rzekł don Alvarez, przyciągając ją ku sobie i składając pocałunek na jej ustach. - Rad byłbym, gdybyś złożyła wizytę w mej kwaterze dziś około północy!

- Ach! - szepnęła dziewczyna, czyniąc wysiłek, by się zarumienić.

- No więc, dziewczętko, przyjdiesz czy nie?

- Nie wiem, czy będę mogła - szepnęła Pepita. - Nie mogę odejść od księżniczki!

- Postaraj się! Ręczę ci, że nie pożałujesz! Dla dziewczyny, która mi się podoba, nie jestem skąpy! Ładny naszyjnik ozdobiłby II twą śliczną szyjkę, a pierścionek twój zgrabny paluszek. No co, przyjdiesz?

- Przyjdę! - szepnęła pokojówka.

- A więc czekam na ciebie, moje dziecko.

Złożył jeszcze jeden pocałunek na jej ustach, wypuścił ją z objęcia i wszedł do pokoju, gdzie czekała nań Dolores.

- Oto jestem! - rzekł. - Pozwolisz księżniczko, że usiądę? Dolores wskazała mu krzesło.

Don Alvarez usiadł, wygładził starannie fałdy swego munduru, poprawił szablę i rozpoczął:

- Zawsze byłem pełen podziwu dla twej osoby, księżniczko. Nie śmiałem jednak nigdy ci tego wyrazić, toteż milczałem. Na dworze królowej uważają mnie za bardzo dobrego oficera, odwadze mojej nikt nie może nic zarzucić, a jednak wobec ciebie, seniorito, przyznaję, że nigdy nie miałem odwagi.

Dzisiaj przechodząc pod twymi oknami usłyszałem przypadkowo piękną melodię tego Chopino...

- Chopina - poprawiła Dolores.

- Chopina. Cudowne dźwięki obudziły w mej duszy śpiącą strunę. I ja również ubóstwiam muzykę. Melodie Calderona...

- Calderon nie był muzykiem, lecz poetą.

- Ach tak, przepraszam! Pomyliłem z Casablanką! Otóż melodie Casablanki...

- Casablanka również nie był muzykiem, lecz marynarzem francuskim, pochodzącym z Korsyki.

- Ale zdaje się, że będąc na łądzie komponował piękne utwory muzyczne.

- Casablanka był korsarzem, francuskim bohaterem morskim i nic nie miał wspólnego z muzyką.

- A więc coś mi się pomieszało z innym muzykiem o podobnym nazwisku.

Don Alvarez uczynił wysiłek myślowy.

- Ach tak, przypomniałem sobie. Teraz już wiem na pewno. To był Stradivario.

- Stradivarius chyba - ironicznie odparła Dolores. - No, ten to już prędzej miał coś wspólnego z muzyką. Był twórcą skrzypiec.

- Głupstwo, pominiemy to - zachnął się Alvarez. - Nie chodzi mi tutaj o autora, lecz o samą muzykę. Słyszałem, jak grałaś, księżniczko, i tęsknota obudziła się w moim sercu. Rzekłem więc do siebie: odwagi Pedro, jesteś dzielnym wojakiem, pochodzisz z dobrej, szlacheckiej rodziny, droga do awansu stoi przed tobą otworem, zostaniesz generałem w krótkim czasie, kochasz piękną Dolores ponad życie, więc czego się boisz? Naprzód, śmiało i odważnie do ataku.

Don Alvarez odetchnął i rzekł uroczyście, wstając:

- A więc księżniczko, mam zaszczyt prosić cię o rękę!

- Bardzo mi pochlebia uczucie, jakim mnie obdarzasz - odpowiedziała ze śmiechem Dolores. - Niestety, nie mogę przyjąć zaoferowanego mi serca. Nie dlatego bym miała coś przeciwko tobie, senior, o nie! Lecz po prostu dlatego, że kocham innego.

Don Alvarez zbladł i zacisnął palce.

- Domyślam się, seniorito, kto jest obiektem twego uczucia. Dolores spojrzała pytająco.

- Słyszałem przed półgodziną - ciągnął dalej - z ust księcia słowa, które mnie zastanowiły. Na pytanie księcia, za kogo wreszcie masz zamiar wyjść za mąż, odpowiedziałas, że chcesz zakochać się w rozbójniku...

Dolores spojrzała niespokojnie na mówiącego.

- Przypuszczam, piękna księżniczko, że życzenie twe spełniło się. Byłem świadkiem waszego bolera. Nie zapomnę nigdy wyrazu twych oczu, gdy tańczyłaś z Zorzą. Nie przypisywałem temu wówczas żadnego znaczenia. Niestety, widzę teraz, że nie miałem racji. Seniorito, kochasz Zorzę?

Dolores siedziała blada i milcząca. Serce tłukło się w jej piersi. Nie była w stanie wyrzec ani jednego słowa.

Don Alvarez wstał odsuwając z hałasem krzesło.

- Przysięgam, seniorito, że Zorro dostanie się w moje ręce, a wówczas odpokutuje za wszystko. Ścigam go od dawna, lecz nigdy jeszcze nie odczuwałem takiej nienawiści i nie pragnąłem zemsty jak obecnie. Choćbym miał głowę położyć, musi zawisnąć na szubienicy.

Odwrócił się i wyszedł bez pożegnania.

Otwierając drzwi, uczuł pchnięcie.

Pepita odskoczyła od dziurki od klucza, pocierając czerwone czoło.

Don Alvarez ujął ją za podbródek i rzekł:

- Cóż to, podsłuchujesz, moje dziecko? To nieładnie. Jesteś zbyt ciekawa, kochana Pepito.

Pokojówka coś bąknęła w odpowiedzi.

- Chodź, dziewczyno! - rzekł don Alvarez. - Dam ci pewne polecenie. Jeśli je wykonasz, zarobisz trochę pieniędzy.

Odeszli na bok i w zagłębieniu korytarza don Alvarez szeptał jej coś na ucho.

Porwanie

Galena jechał w milczeniu na czele swych ludzi. Rozwazał polecenie Pabla Ravalesa. Niezbyt mu się podobało zadanie, jakie miał wykonać.

Wtem pewna myśl przyszła mu do głowy. Porwanie dziewczyny, owszem, lecz nigdy podpalenie domu i zabójstwo właścicieli. Wszystko odbędzie się w najgłębszej ciszy, żadna łuna pożaru nie rozświetli nieba. Zanim Zorro się dowie, będziemy już daleko. Zresztą wątpię, by Zorro zaprzętał sobie umysł porwaną dziewczyną. Będzie sądził, że to jakiś gach porwał swą ukochaną. Dostarczę Ravalesowi dziewczynę, odbiorę resztę pieniędzy, a zanim się spostrzeże, będziemy daleko, na drugim krańcu półwyspu.

Plan ten dodał mu otuchy.

Przyśpieszył konia, ludzie jego podążyli za nim.

Niebawem jechali wśród gęstniejących drzew.

W końcu w oddali zamajaczyły zabudowania należące do Anzelma Cortiego.

Wieczór się zbliżał.

Galena i jego ludzie zsiadli z koni, które ukryli starannie. Desperado przywołał jednego ze swych ludzi.

- Odłóż broń, Pedro. Masz wygląd wieśniaka, przybierz nieco pokorniejszą postawę. Pójdiesz do Anzelma Cortiego i poprosisz o pracę. Jeśli cię przyjmie, wszystko będzie w porządku, jeśli zaś nie, poprosisz, by ci pozwolił odpocząć i przenocować w oborze lub stajni. Nie trać czasu. Rozejrzyj się dobrze dookoła, szczególną uwagę zwróć na senioritę. Dowiedz się, gdzie śpi i czy nie przebywa ktoś w pobliżu. O północy usłyszysz cichy skowyt psa podwórzowego. Będziemy czekać nie opodal na ciebie. Zrozumiałeś?

- Tak jest, szefie! - rzekł Pedro.

Wyjął pistolety, odpasał szablę i podał Galenie. Wyglądał teraz jak wiejski parobek.

Anzelmo Corti stał przed stajnią i dawał rozporządzenia służbie.

Okryty kurzem wieśniak zbliżał się ku niemu, trzymając sombrero w ręku. Przystanął w pewnej odległości od właściciela, w postawie pełnej szacunku.

- Czego chcesz, mój zuchu? - zapytał Corti, dostrzegając przybysza.

- Szukam pracy, senior! Umieję wszystko. Ujeżdżam konie, nawozę pola, doję krowy, strzygę barany.

- Gdzie pracowałeś poprzednio?

- W tej okolicy jeszcze nie pracowałem. Pochodzę ze starej Kastylii, wioska moja znajduje się nie opodal Valladolid.

- I nie mogłeś znaleźć dotychczas pracy?

- Nie, senior!

- Dobrze. Zgłosisz się jutro rano. Tymczasem idź do kuchni, tam cię nakarmią. Prześpisz się w budynku dla służby.

Pedro uklonił się nisko i uradowany udał się we wskazanym kierunku. Po drodze bystre jego oczy obserwowały wszystko dookoła. Nie uszło jego uwagi miejsce, gdzie znajdowały się psy ani też okna zawieszane firankami.

- Źle ci z oczu patrzy, mój człowieku - rozległ się głos obok niego.

Desperado drgnął przerażony. Obok niego stał Zefirio, uśmiechając się przyjaźnie. Pedro domyślił się, na podstawie ubioru, że jest to syn właściciela. Skłonił się uniesieniem, zdejmując sombrero z głowy, i rzekł:

- Jestem spokojnym człowiekiem, senior. Pracuję w polu...

- I rozglądam się bacznie dookoła - dokończył Zefirio.

- Och, senior, wybac mi, proszę. Wioska, z której pochodzę, jest biedna. Nigdy jeszcze nie pracowałem przy dworze wielkopańskim. Toteż podziwiam tutaj wszystko.

- Ojciec przyjął cię do pracy?

- Tak jest, senior. Będę nareszcie mógł zarobić na chleb dla mych dzieci.

Zefirio sięgnął do kieszeni i wyjął kilka złotych monet, mówiąc:

- Masz, prześlij to swej rodzinie.

Desperado podziękował gorąco, błogosławiąc swego dobroczyńcę.

Zefirio nie słuchał słów podziękowań, odwrócił się i poszedł w kierunku domu.

Pedro schował pieniądze i mruknął:

- Dobrze i to! Przyda się jako zadatek. A teraz do dzieła.

Słońce skryło się na horyzoncie. Noc zapadła. Zamiast udać się do kuchni, Pedro przeskoczył niskie ogrodzenie i skradając się jak kot, zbliżył się ku oknu, gdzie zajaśniało światło. Zajrzał ostrożnie przez szybę. Młoda kobieta siedziała w pokoju przy niewielkim stoliku i czytała książkę. W głębi, pod baldachimem z muślinu, stało szerokie łóżko.

- W porządku - szepnął desperado, oddalając się od okna. - A teraz przyjrzyjmy się psom. Na szczęście mam trutkę przy sobie...

Zmowa przyjaciół

Don Sebastiano uściśnął rękę don Antonia.

- Dziękuję ci, przyjacielu - rzekł. - Dziękuję ci za pomoc, jaką mi okazałeś. Czuję, że będę pomszczony i raduję się niezmiernie, zupełnie jak gdyby już było po fakcie dokonanym. A teraz chodźmy się napić.

Weszli do oberży. Don Sebastiano zamówił najlepsze wino.

Niebawem obaj byli w świetnych humorach.

Siedzieli przy stoliku w kącie sali. Don Antonio dolewał ciągle, a grubas nie wylewał wina za kołnierz. Toteż oblicze jego z różowego stało się czerwone, po czym nabrało sinego odcienia.

Był zupełnie pijany.

Don Antonio pił również, lecz cera jego pod wpływem wina nie zmieniała się. Została, jak była, sucha i blada.

- Gdy kwestia zemsty została załatwiona - mówił Sebastiano - jeszcze jedna sprawa leży mi na sercu i wiem, przyjacielu, że mi szczerze poradzisz.

- Mów - odezwał się don Antonio.

- Czy wiesz, dlaczego zostałem osmagany jak pies przez tego... zbója?

- Wyrzuciłeś rządcę z majątku.

- Tak. Przepędziłem na cztery wiatry, odbierając mu mieszkanie i nie płacąc zaległej gaży.

- Okradał cię?

- Nie. Był zawsze wzorem uczciwości.

- Więc dlaczego?

- Historia sentymentalna. Zakochałem się na zabój w Marquicie, jego córce.

- Odmówił ci jej ręki?

- Nie prosiłem o rękę! Rządca, który je mój chleb, który zawdzięcza mi dach nad głową, okazał się zbyt hardy. Zaproponowałem mu podwyżkę gaży, lepsze mieszkanie, gratyfikację w wysokości pięćdziesięciu tysięcy - wszystko odrzucił.

- Czego żądałeś w zamian?

- By przysłał córkę swą, Marquite, do mego dworu.

- Odmówił?

- Tak. Nie mam córek na sprzedaż, odpowiedział.

- Jak zareagowałeś?

- Pokazałem mu drzwi. Następnie posłałem ludzi, którzy wyrzucili całą rodzinę i wszystkie meble na dziedziniec, po czym zamknęli mieszkanie na kłódkę.

- Doskonale zrobiłeś! Tak powinien postępować prawdziwy mężczyzna.

- Dziękuję za uznanie! Lecz nie pociesza mnie to bynajmniej. Serce moje wyje z rozpacz jak pies na cmentarzu. Brak mi małej, słodkiej Marquity. Zatapiam tęsknotę w winie, ale i to nie pomaga.

- Hm, to smutne.

- Poradź towarzyszu, przyjacielu, bracie. Żyć bez niej nie mogę! - wołał Sebastiano, ócierając łzy płynące z jego sinej twarzy pijaka.

- Jest na to jedna tylko rada! Odebrać ją gwałtem rodzicom. Księżę Ramido jest w dobrej komitywie z tobą - będzie więc patrzył przez palce.

- Powiadasz?

- Jestem tego pewny. Don Alvareza łatwo przekupisz. Znam tego człowieka, jest chciwy i sprzedajny.

- Człowieku! Ratujesz mnie! Czym ci się odwdzięczę?

- Bardzo łatwo! Masz koło rzeczki kawałek gruntu sąsiadującego z posiadłością Anzelma Cortiego. Sprzedaj mi go!

- Skrzywdziłbym cię, don Antonio. Nie chcę oszukiwać przyjaciela! Ten kawałek ziemi nic nie jest wart. Pelen głazów i kamieni, leży ugorem. Sprzedam ci ziemię urodzajną...

- Dziękuję! Chodzi właśnie o ten ugór.

- Przyjacielu, po co ci to?

- To mój sekret.

- Ha, trudno! Lecz pozwolisz, że nic nie wezmę za te kamienie. Daję ci darmo. Winienem ci przecież wdzięczność.

- Przyjmuję.

Dopili wino i wyszli z gospody, podpierając się nawzajem, zadowoleni z siebie.

I tak rozmawiając doszli do domu don Antonia. Była to okazała rezydencja i nikt by nie uwierzył, że człowiek, który niedawno gościł u bandyty, mieszka w jednym z pałaców arystokratycznej dzielnicy Saragossy.

- Chodź, Sebastiano, wypoczniesz nieco u mnie - rzekł don Antonio.

- Nie mogę, mój przyjacielu. Muszę wracać. Podróż trwa osiem godzin, jeśli konie dobrze ciągną. Muszę ruszyć w drogę natychmiast, jeśli chcę przed wieczorem być w domu. Wybacz mi, don Antonio.

- Zawitam do ciebie w tym tygodniu.

- Będę oczekiwać z niecierpliwością.

Don Antonio przywołał koniuszego i polecił mu wyprowadzić powóz don Sebastiana.

Niebawem karetą ruszyła, uwożąc pogrążonego w zadumie właściciela.

Powóz sunął drogą wśród pól, łąk i lasów.

Don Sebastian o zasnął ciężkim snem pijaka i obudził się dopiero wtedy, gdy już znalazł się przed swoim domem.

Wylazł z karety, przeszedł do umywalni i orzeźwił wodą spoconą twarz. Następnie przywołał służącego.

- Poszukaj Fernanda i powiedz mu, że go wzywam.

Służący uklonił się i wyszedł.

Po pewnym czasie zapukano do drzwi gabinetu don Sebastiana. - Wejść!

Fernando, powiernik don Sebastiana, wszedł do pokoju. Był to żyłasty mężczyzna, o twarzy ospowatej i cynicznej.

- Sefior mnie wzywał?

- Tak, Fernando! Mam dla ciebie polecenie, lecz musi ono pozostać w naj głębszej tajemnicy. Ani pary z ust o tym co ci powiem.

- Sefior może polegać na mej dyskrecji. Niejednokrotnie wykonywałem różne zadania i jeszcze nikt nie usłyszał słowa ode mnie.

- Wiem! Toteż nie jestem niewdzięczny. Peso, które przeszły z mej kieszeni do twojej, świadczą o tym najlepiej.

Zbliżył się do Fernanda i zaczął mówić zniżonym głosem. -. Gdzie się znajduje obecnie mój były rządcą?

- Zorro dał mu pieniądze, za które stary wydzierżawił młyn. - Dzieci są przy nim?

- Rozumie się!

-- Doskonale!

I Sebastian o zaczął szeptać na ucho Fernandowi.

W miarę jak Sebastiano mówił, twarz powiernika rozciągała się w cynicznym uśmiechu.

- Zrobione, senor! - rzekł. - Nikt się niczego nie domyśli. Należy tylko dobrze ukryć ptaszynę, gdy ją będziemy już mieli w ręku.

- Moja w tym głowa. Bezpieczne miejsce się znajdzie.

- Przystępuję do dzieła jeszcze dziś - zapewnił Fernando, biorąc sombrero.

Sebastiano sięgnął do kieszeni.

- Masz, oto. zadatek.

Wręczył mu garść peso, które tamten skwapliwie schował i poszedł zwołać kompanów.

Zebrałi się na uboczu. Było ich czterech. Draby o odpychających obliczach, gotowi za pieniądze zrobić wszystko.

- Musimy porwać córkę rządcy, Marquitę - wyjaśniał Fernando. - Obłowicie się niezgorzej przy tej robocie.

I wyłożył plan działania, którego wszyscy czterej wysłuchali uważnie.

Skowyt psa

Wszystko umilkło w okolicy, pogrążone w głębokim śnie.

W ogólnej izbie przeznaczonej dla służby folwarcznej Anzelma Cortiego panowała cisza przerywana chrapaniem kilku śpiących mężczyzn. Na jednym z posłań uniosła się czyjaś głowa. Mężczyzna przez moment nadłuchiwał, wreszcie wysunął jedną nogę, potem drugą i stanął na podłodze. Był w ubraniu.

Cicho i ostrożnie podążył ku drzwiom.

Przystanął na chwilę. Nikt ze śpiących nie poruszył się. Pchnął drzwi i znalazł się na podwórku.

Ani jeden pies nie zaszczekał. Leżały wszystkie potrute. Człowiek przesadził ogrodzenie i znalazł się w ogrodzie. Zbliżył się do okna i wyteżył słuch.

Pociągnął za ramę okienną. Okno nie było zamknięte. Oddalił się od domu, przesadził znów ogrodzenie i ukryty za rogiem składu narzędzi gospodarskich, czekał niecierpliwie.

Wtem rozległ się w pobliżu cichy skowyt psa. Ukryty człowiek odpowiedział podobnym skowytym.

- Czy to ty, Pedro? - rozległ się po chwili szept obok niego. - Tak, to ja.

- Okno?

- Uchylone.

- Psy potrute?

- Wszystkie.

- Ludzie?..

- Śpią jak zabici.

- Doskonale. Za mną.

Kilka sylwetek wyłoniło się z ciemności.

- Jest knebel i sznur?

- Tak.

- Trzymać w pogotowiu!

Mercedes spała spokojnie w swym panińskim łóżku. Śniła o pięknym salonie w pałacu królowej. Dookoła ludzie tańczą, a ona stoi przytulona do człowieka w masce. Zorro bierze ją w swe objęcia, przyciska mocno, coraz mocniej... i unosi w powietrze. Składa pocałunek na jej ustach. Lecz co to? Pocałunek jest brutalny - brak jej tchu, chce krzyknąć i... budzi się.

Jest skrępowana powrozami. W ustach jej tkwi knebel. Jacyś ludzie zanoszą ją do okna i podają innym, stojącym na zewnątrz. Przeżrana chce krzyknąć, wołać pomocy i nie może.

- Ostrożnie, ostrożnie! - mówi Galena. - Musimy dostarczyć senioritę zdrową i całą.

Odebrał ją byndytm i wziął na ręce. Wydostali się poza obręb zabudowań i skierowali się w kierunku lasu.

Pochód trwał dość długo.

Wtem rozległo się końskie rżenie.

- Jesteśmy na miejscu - rzekł Galena. - Na koń i w drogę. Posadził związaną Mercedes przed sobą na siodle i cała banda puściła się galopem.

Dziewczyna zemdląła. Galena, któremu było to zupełnie obojętne, liczył w myślach pieniądze, które otrzyma i które rozdzieli pomiędzy kompanów, zatrzymując lwią część dla siebie.

Gnali tak dość długo. Przed świtaniem dopiero przystanęli i pomiędzy skałami.

Nie opodał, za zakrętem czekał powóz. Woźnica spał na koźle.

Z wnętrza powozu dobiegało chrapanie.

Galena zsiadł z konia, przekazał Mercedes swym ludziom i zbliżył się do karety.

- Hola, Ravales! - zawołał. - Sen zostaw na później.

Pablo Ravales otworzył oczy.

- To ty Galena? - zapytał ziewając.

- Tak, to ja, we własnej osobie. Przyszedłem po pieniądze.

Ravales zerwał się ze swego miejsca.

- Jak to? - zawołał. - Wykonałeś zadanie?

- Od początku do końca.
- Podпалиłeś dom?
- Tak, z czterech stron! - skłamał bandyta.
- Zabiłeś właścicieli?
- Zrobione.
- A gdzie dziewczyna?
- Mam ją tutaj.

Ravales wyskoczył z powozu.

- Gdzie ona?
- W rękach mych ludzi.
- Dawaj ją.

Bandyci wnieśli Mercedes do powozu i złożyli na poduszkach.

Pablo Ravales wyciągnął sakiewkę i wręczył ją Galenie.

- Bierz! - rzekł doń. - Możesz sprawdzić.

- Wierzę ci, Pablo - odparł Galena, kładąc woreczek do kieszeni. - Nie potrzebuję sprawdzać zawartości. Między starymi przyjaciółmi oszukaństwo nie może istnieć.

Dwaj godni przyjaciele pożegnali się i każdy z nich ruszył w swoją stronę.

Bandyci puścili konie w kierunku Starej Kastyli. Powóz Ravalesa pomknął w stronę Saragossy.

Nie dojeżdżając do samego miasta, woźnica skręcił z głównej drogi w lewo.

Ravales przyglądał się związanej dziewczynie z nie ukrywaną radością.

- Jesteś w mych rękach, dumna seniorito. Jesteś w mej mocy i żadna siła ludzka nie zdoła cię uratować. Chciałem pojąć cię za żonę, odrzuciłaś mnie ze wzgardą, dobrze. Teraz zgodzisz się zostać moją kochanką. Ptasiego mleka nie będzie ci brakowało. Pablo Ravales jest hojny do czasu, aż mu się znudzisz.

Mercedes otworzyła oczy. Białe światło poranka rozjaśniało wnętrze karety. Spojrzała przed siebie i zrozumiała wszystko. Przed nią siedział Pablo Ravales, krzywiąc twarz w uśmiechu.

Łzy trysnęły z oczu dziewczyny. Była w mocy człowieka bez czci i mogła spodziewać się najgorszego. W jednej chwili uświadomiła sobie, że nikt nie wie, co się z nią stało i gdzie się obecnie znajduje.

Ravales wyjrzał przez okno.

- Jesteśmy na miejscu - rzekł. Będę mógł ci ulżyć wyjmując knebel z ust.

Odwiązał chustkę, którą przewiązano jej twarz, by nie mogła wypchnąć knebla językiem.

Mercedes zaczęła krzyczeć rozdzierającym głosem, wołając o pomoc.

- Krzycz, moje dziecko, krzycz, ile ci się żywnie podoba – rzekł spokojnie Ravales. - I tak nikt cię tu nie usłyszy.

Powóz stanął przed niewielkim domem.

Dookoła było pustkowię. Mur z cegieł odgradzał budynek od reszty świata.

Ravales wylazł z karety i otworzył kluczem żelazną bramę. Powóz wjechał na dziedziniec.

Dwoje ludzi wyszło z domu na spotkanie. Zapewne małżeństwo. On tęgi, wysoki, o ponurym, a zarazem bezmyślnym spojrzeniu. Ona mała, chuda, nerwowa, z czarnym wąsikiem na górnej wardze. Miała chytre, latające oczy i nos zagięty jak u jastrzębia.

Skłonili się unieźwienie przed Ravalesem.

- Przenieście dziewczynę z powozu do górnego pokoju, tego z kratą w oknie - rozkazał Ravales. - I baczcie pilnie, by nie uciekła, odpowiadacie za nią.

- Czy więzy można zdjąć? - zapytała kobieta.

- Tak, lecz dopiero na górze - odpowiedział Ravales.

Mercedes teraz milczała. Zdawała sobie sprawę, że protest wobec tych ludzi na nic się nie przyda. Wołała więc milczeć, rozglądając się ukradkiem dookoła.

Drab wniósł ją na pierwsze piętro. Jego żona otworzyła drzwi przed nim i Mercedes została wniesiona do jasnego pokoiku gustownie umeblowanego. Od razu też zauważyła grube, żelazne pręty w oknie.

Kobieta zamknęła starannie drzwi za sobą, po czym, z pomocą męża, zabrała się do zdejmowania

więzów.

- Nie będzie ci tutaj źle, kochanie - mówiła. - Bądź tylko grzeczna, nie hałasuj zbyt wiele i nie łam sprzętów. Dostaniesz najpiękniejsze suknie i największe diamenty. O, senor Ravales jest bardzo hojny.

Lecz Mercedes milczała wciąż zawzięcie.

Gadatliwa kobieta wzruszyła ramionami i wyszła. Mąż jej wycofał się za nią. Klucz zgrzytnął w zamku.

Zaledwie drzwi się zamknęły, Mercedes skoczyła do okna. Grube pręty były mocno osadzone. Przez okno widziała kawałek trawnika i mur odgradzający dziedziniec od lasu.

- Ucieczka jest niemożliwa! - szepnęła z rozpaczą, czepiając się kraty rękami. - Boże, Boże, jak się stąd wymknąć?

Znów zgrzytnął klucz i w drzwiach ukazał się Pablo Ravales.

Mercedes przyłgnęła do okna i patrzyła nań szeroko rozwartymi z przerażenia oczami.

- Dzień dobry, moja piękna seiiorito - rzekł Ravales. - Przyszedłem oświadczyć ci się powtórnie.

Oczami, w których płonęły dziwne ogniki, pochłaniał wysmukłą kibić dziewczęcia. W tej samej chwili Mercedes zrozumiała ze zgrozą, że jest zgubiona.

Powrót Porfiria i Malibrana

Wóz, zaprzężony w dwa konie, włókł się drogą. W wozie tym, na posłaniu ze słomy, leżeli dwaj młodzieńcy: chudy jak tyczka Porfirio i gruby Malibran.

- Szkoda, że nie uprzedziłeś Zefiria o naszym przybyciu – rzekł Malibran. - Wyjechałby na nasze spotkanie.

- Chciałem mu zrobić niespodziankę - odparł Porfirio, przeciągając się. - Ucieszy się chłop, gdy nas zobaczy.

- Byłoby weselej w jego towarzystwie, gdyby tu przybył - upierał się Malibran. - Reszta podróży zeszlaby raźniej.

- Cóż to, niewdzięczniku, nie jest ci wesoło w moim towarzystwie? - z udaną obrazą rzekł Porfirio. - Mało to bawisz się moim kosztem?

Malibran coś mruknął w odpowiedzi i jechali dalej w milczeniu.

Droga prowadziła teraz przez gęsty las.

- Stój I - rozległ się nagle groźny okrzyk zza drzew.

Woźnica zatrzymał konie.

Na drogę wyjechał jeździec. Głowa okręcona była czarną chustką, twarz osłonięta maską. W rękę trzymał bicz z bawolej skóry. Porfirio i Malibran spojrzeli po sobie z uśmiechem.

- Buen Dios, senor Zorro! - rzekł Porfirio.

Jeździec w masce zatrzymał konia nie opodał wozu.

- Nie gadać zbyt wiele! - krzyknął ostro. – Wypróżnić kieszenie i dawać tu pieniądze.

Porfirio i Malibran usłuchali rozkazu, uśmiechając się ciągle.

Znaleźli przy sobie sześć peso.

- Tylko tyle? - wrzasnął jeździec. - Biada wam, jeśli mnie oszukujecie.

Malibran mrugnął w stronę Porfiria i rzekł złażąc powoli z wozu:

- Wierz nam, senor Zorro, że jesteśmy zbyt biedni, by mieć więcej przy sobie.

Skoczył błyskawicznie na jeźdźca, lecz otrzymał potężne pchnięcie pięścią w pierś i upadł na ziemię.

Porfirio przyglądał się tej scenie, pękając ze śmiechu. W następnej jednak chwili śmiech zamarł na jego ustach, ustępując miejsca najwyższemu zdumieniu.

Zorro nie żartował, świsnął bat raz, drugi i trzeci i Malibran zaczął się wić na piasku pod uderzeniami rzemienia.

Po dokonanej egzekucji jeździec w masce zawrócił konia i znikł pomiędzy drzewami.

Porfirio zeskoczył z wozu i pomógł jęczącemu przyjacielowi wgramolić się na wóz. Ruszyli naprzód. Porfirio milczał, zmieszany w najwyższym stopniu, Malibran jęczał i przeklinał.

W ten sposób dotarli wreszcie do domu Anzelma Cortiego.

- Porfirio, Malibran! - rozległ się radosny krzyk i Zefirio rzucił się ku przybyłym.

Zamiast jednak powitania Porfirio ujął jęczącego Malibrana i powoli wysadzał go z wozu.

Zefirio stanął zdumiony.

- Mój biedny Malibran. Kto cię tak urządził? - zawołał ze współczuciem. - Cały jesteś we krwi.

Porfirio z wściekłością odpowiedział za Malibrana.

- Kto jak nie Zorro! To są jego głupie żarty.

- Zorro? - zapytał Zefirio blednąc. - Coś powiedział? - Zorro?

- Czemu się dziwisz? Tak, Zorro! Upił się widocznie i napadł na drodze na dwóch mieszczuchów, żądając pieniędzy.

- Ależ człowieku, zastanów się, co mówisz? - zawołał Zefirio. - Przecież Zorro nie napada na ludzi, którzy nie uczynili nikomu nic złego! Chyba wy powinniście wiedzieć o tym dobrze.

- Więc jak to wytłumaczyć? - zapytał Porfirio, podtrzymując ślaniającego się Malibrana. - Patrz, nawet trzy pręgi w kształcie litery "Z" ma na policzku.

- Moi biedni przyjaciele! - rzekł Zefirio. - To nie był Zorro... Patrz, pręgi widnieją na prawym policzku. Zorro pozostawia swój znak na lewym.

Teraz i Malibran, zapominając o swym bólu, uniósł głowę.

Spoglądali tak na siebie w milczeniu, wreszcie Zefirio odezwał się pierwszy:

- Dopomogę ci, mój przyjacielu. Podeprę cię z drugiej strony.

Weszli do domu. Minęli kilka pokoi w amfiladzie i znaleźli się w komnacie zajmowanej poprzednio przez Porfiria i Malibrana.

- Zajmij się nim tymczasem! - rzekł Zefirio. - Będziesz miał niebawem pomoc w doskonałej pielęgniarce. Obudzę Mercedes, śpi dzisiaj zbyt długo.

Wyszedł udając się do apartamentu Mercedes.

W korytarzu natknął się na generała.

- Widziałeś Mercedes, Zefirio? - zapytał z niepokojem. - Szukam jej wszędzie od pół godziny.

- Nie widziałem jej nigdzie - rzekł Zefirio, również tknięty złym przeczuciem.

Wpadł do pokoju kuzynki: kołdra leżała na podłodze, obok okna widniały grudki ziemi. Zefirio nachylił się.

- Ślady butów! - mruknął. - Włożono przez okno i naniesiono ziemi z ogrodu.

Wyrzwał przez okno. Trawa w ogrodzie była stratowana, kwiaty rosnące tuż koło domu, wygniecione.

Zefirio wyskoczył przez okno do ogrodu. Liczne ślady prowadziły do płotu. Za ogrodzeniem ślady ginęły, zatarte przez ludzi Anzelma, którzy krzatali się przy swych zajęciach.

Zatrzymał się zastanawiając, komu zależało na porwaniu Mercedes?

Nagle uderzył się w czoło.

- Mam! - zawołał. - Nikt inny tylko czcigodny senor Ravales, odrzucony konkurent do jej ręki. Tylko on zdolny jest do tego. Jak mogłem zapomnieć ową pamiętną noc, kiedy to dwaj jego pomocnicy wleźli przez okno do naszego mieszkania. Dokąd ją zawiózł? Na pewno nie do Saragossy! Zbyt wiele ludzi kręci się w mieście. Musi mieć jakiś schowek w pobliżu.

Zapomniał o swych przyjaciółach, których pozostawił w domu, i wybiegł, tak jak stał, na drogę.

- Hola, Zefirio! Dokąd tak śpieszno? - rozległ się ironiczny głos tuż za nim. Zefirio obejrzał się i ujrzał don Alvareza na koniu.

- Porwano Mercedes tej nocy - rzekł młodzieniec.

- Hę?

- Jacyś ludzie wynieśli ją przez okno!

- Może sama uciekła.

- Wolne żarty, senor! - zawołał Zefirio. - Mercedes nie uciekła, wszystkie ślady wskazują, że ją porwano.

- Tak sądzisz? Komu zależałoby na porwaniu seniority?

- Podejrzewam Ravalesa.

- Podejrzewać Ravalesa, człowieka ze wszech miar czcigodnego, może tylko taki mędrzec i filozof

jak ty, Zefirio.

- Sefior Alvarez! Sprawujesz tutaj, w tej prowincji urząd alkada, dowodzisz policją, wojskiem i zandarmerią. Zwracam się do ciebie o pomoc. Wyślij natychmiast ludzi, by ścigali porywaczy.

- Powoli, powoli! - rzekł uspokajająco don Alvarez. - Nie bądź w gorącej wodzie kąpany, młodzieńcze. Znajdziemy twoją Mercedes, lecz pozostaw mi nieco wolnego czasu. Mam głowę obecnie czym innym zajęta. Jest to sprawa tysiącokrotnie ważniejsza dla mnie i dla kraju. Za godzinę - za dwie, w każdym razie dzisiaj jeszcze Zorro dostanie się w me ręce. - Dodał wskazując ręką drzewa rosnące po lewej stronie drogi: - Widzisz ten las? Zorro nie wyjdzie z niego inaczej, niż w kajdanach.

- Możliwe! - rzekł Zefirio. - Lecz los Mercedes interesuje mnie bardziej niż los tysiąca Zorro! Nie widząc znikąd pomocy, sam muszę, niestety, zająć się odszukaniem seniority. Nie mam czasu wracać do domu. Jeśli będziesz przejeżdżał tamtędy, uprzedź, proszę cię, senior, ojca lub kogokolwiek, że dzisiaj nie wrócę do domu.

Don Alvarez ruszył dalej, a Zefirio pobiegł w innym kierunku. Dopiero po chwili przyszło pułkownikowi do głowy, że powinien był zapytać, dokąd Zefirio tak biegnie.

Zorro w opałach

Don Alvarez galopował w stronę domu Anzelma Cortiego. Już z daleka można było dojrzeć, że w domu panowało zamieszanie. Ludzie biegali tam i z powrotem, nawołując się głośno. Niektórzy z nich dojrzeliby zbliżającego się jeźdźcę i wybiegli na spotkanie.

- Senior! - wołali z daleka. - Porwano senioritę.

- Wiem! - rzucił don Alvarez, nie zatrzymując konia. - Znajdziemy waszą senioritę, nie obawiajcie się. Uprzedźcie senora Anzelma, że Zefirio poszukuje zaginionej i nie powróci dzisiaj do domu.

Koń pogalopował naprzód. Ćwierć mili dalej obozował liczny oddział żołnierzy.

Don Alvarez ściągnął konia.

- Za mną! - zawołał. - Będziemy mieli Zorrę.

Zawrócił konia i oddział pomknął za nim.

Minęli znów posiadłość Anzelma Cortiego i nie zatrzymali się, aż dopiero pod lasem. Na rozkaz pułkownika zsiadli z koni i zagłębili się pomiędzy gęsto rosnące drzewa. Tymczasem inni ludzie don Alvareza byli już ukryci w kępach zarośli, na gałęziach drzew, dookoła polanki; czekali z zapartym tchem, ściskając strzelby w rękach.

W chacie węglarza zaczął się dwudziestu ludzi. Starzec leżał związany na podłodze. Nie mógł krzyknąć, miał bowiem knebel w ustach. Przewracał tylko dziko oczami.

Głęboka cisza panowała dookoła.

Wtem rozległo się ciche ćwierkanie ptaka, powtórzyło się dwa razy. Nastąpiła cisza. Widocznie Zorro, nie otrzymując odpowiedzi na swój sygnał - zawahał się. Po chwili gałązki z lewej strony polanki poruszyły się.

Ludziom zaczajonym dookoła, dech zamarł w piersi. Sprężyli się do skoku.

Na polance ukazała się wysmukła postać w masce. Był to Zorro. Rozległ się wystrzał z pistoletu. Ludzie wyskoczyli z zarośli, wysypali się z chaty węglarza i otoczyli polankę zwartym kołem, trzymając strzelby gotowe do strzału.

Zorro wpadł w pułapkę.

Sobowtór Zorry

Mercedes wiedziała, że nie ma wyjścia z rozpaczliwej sytuacji: olbrzymi Pablo Ravales z muskularnymi ramionami, mały, okratowany pokoik i ona, słaba, trwożliwa dziewczyna.

Ravales mówił coś do niej, lecz nie słuchała. Widziała tylko te zwierzęce oczy pałające niesamowitym blaskiem. Mówiąc, nieznacznie zbliżał się ku niej.

- Nie dotykaj mnie, senior - krzyknęła Mercedes. - Jeśli mnie ruszysz, stanie się nieszczęście.

Lecz Ravales nie słyszał. Krew uderzyła mu do głowy, skoczył i chwycił dziewczynę za talię.

Mercedes broniła się z całym sił. Wtem ręka jej uderzyła o coś twardego. Była to głownia

olbrzymiego pistoletu, który wisiał u pasa.

W tej samej chwili zaszła w Mercedes dziwna zmiana pod wpływem niebezpieczeństwa.

Była córką generała, który za młodu wsławił się na całą Hiszpanię swą odwagą i nieustraszoną odwagą. Pochodziła z rodu sławnych wojowników Kastylii. Przodkowie jej brali udział w wyprawach krzyżowych, przelewali krew w walce z Maurami i zawsze zdumiewali współczesnych swą brawurą.

Trzeba było prawdziwego niebezpieczeństwa, by wszystkie, odziedziczone instynkty odżyły nagle.

- Aa! - zawołała prosto w twarz mężczyźnie. - Nie chcesz mnie puścić? Dobrze! Poczekaj, senior!

Zdumienie odbiło się na twarzy Ravalesa, który przyciskając ją do piersi, obserwował grę jej twarzyczki. Nie zdążył jednak wypuścić Mercedes z rąk.. Pistolet został błyskawicznie wyciągnięty z pochwy i dziewczyna z całej siły trzasnęła nim pomiędzy oczy napastnika. Mężczyzna bez jęku zwałił się na podłogę. W upadku uderzył tyłem głowy o brzeg łóżka i legł nieruchomo. Krew lała się z czoła i ze zmiążdżonego nosa.

Mercedes przyglądała się leżącemu jak osłupiała.

Wreszcie otrząsnęła się. Niebezpieczeństwo nie minęło jeszcze. Ravales wchodząc zamknął za sobą drzwi na klucz.

Mercedes uklękła i zaczęła gorączkowo przeszukiwać bezwładne ciało. Odrzuciła sakiewkę pełną złota. Odrzuciła również portfel. Wreszcie, w bocznej kieszeni kurtki, palce jej natrafiły na zwitek papieru i klucz. W pośpiechu wyciągnęła papier wraz z kluczem. Miała zamiar wyrzucić niepotrzebny świstek, gdy wtem wzrok jej padł na słowa wypisane wielkimi literami: Tereny Anzelma Cortiego. W obec tego schowała karteczkę za gors.

Skoczyła ku drzwiom. Do uszu jej dobiegł odgłos ciężkich kroków. To dozorca jej więzienia, zaniepokojony głuchym łoskotem, szedł na górę, by przekonać się, czy nic złego nie zaszło.

Mercedes przekręciła klucz w zamku i stanęła za drzwiami przyciskając się do ściany.

Dozorca nacisnął klamkę. Drzwi się poddały i olbrzym wszedł do środka.

Oczy jego padły na leżące ciało. Stał jak skamieniały, wybałuszając oczy. Ta chwila bezruchu stała się jego zgubą.

Otrzymał potężne uderzenie ciężką ręką pistoletu i runął na ciało swego pana.

W ślad za nim podążała jego godna połowica. Zatrzymała się przed otwartymi drzwiami, wzrok jej padł na dwa leżące ciała.

Pojęła w lot sytuację i z przeraźliwym krzykiem zaczęła uciekać na dół po schodach. Mercedes rzuciła się za nią. Długa suknia przeszkadzała jej. Odruchowo podciągnęła ją w górę i tak biegła po stopniach w ślad za uciekającą kobietą, potrząsając po drodze pistoletem.

Dopadła wreszcie uciekającej kobiety. Chwyliła ją za włosy i szarpnęła z całej siły w tył. Kobieta upadła - uderzyła głową o stopień schodów i zamilkła.

Mercedes wybiegła na dziedziniec.

Woźnica siedział na kozła i spokojnie jadł śniadanie złożone z chleba i kawałka szynki. Nagle chleb i szynka potoczyły się na ziemię. Osłupiały woźnica spoglądał jak urzeczony na wymierzoną doń lufę pistoletu.

- Żywo złaż z kozła i otwórz bramę! - zawołała Mercedes. - Śpiesz się, staruszkule, bo ci tak samo głowę roztrzaskam, jak tym co leżą tam na górze.

Bez słowa oporu woźnica zlażł z kozła i otworzył ciężkie wrota. Mercedes siedziała już na jego miejscu, trzymając lejce w ręku. Pistolet położyła obok. Ujęła bat, smagnęła konie i powóz całym pędem wypadł poprzez wrota popędzała konie bezlitośnie. Powóz przechylał się niebezpiecznie, podskakiwał na wybojach, a Mercedes, z włosami rozwianymi na wietrze, stojąc smagała i smagała rozszalałe zwierzęta.

Jakaś dziwna radość rozpierała jej piersi. Gdy tak niosła się rozchukana, miała chęć śpiewać i krzyżeć na całe gardło.

Nie, nie zwirowała. Obudziło się w niej coś, co dotąd w niej drzemało. -- uczucie, o którym nic miała pojęcia dotychczas: pragnienie dzikiej swobody.

Rycerska krew przodków odezwała się w ostatnim żeńskim potomku prastarego rodu.

Był to istny cud, że dotąd nie spadła z kozła. Stała bowiem bez żadnego oparcia w podskakującym gwałtownie powozie, bat zaś w jej rękach cały czas ciął powietrze ze świstem.

Wreszcie spostrzegła, iż oddaliła się znacznie od domu Ravalesa i żal jej się zrobiło zwierząt.

Cisnęła bat i ujęła lejce w obie ręce. W tej samej chwili spoza zakrętu drogi ukazał się jeździec, który gnał jak wichur w odwrotnym kierunku. Gdy mijając powóz ujrzał dziwnego woźnicę, szarpnął tak gwałtownie wodze, że koń aż przysiadł na zadzie.

Jeździec miał maskę na twarzy.

Polanka przedstawiała niesamowity widok.

Dookoła, ramię przy ramieniu, stali ludzie trzymając strzelby w pogotowiu. Pośrodku stał Zorro i jak osaczony zwierz rozglądał się na wszystkie strony.

Rozrośnięte konary drzew jakby zieloną kopułką przykrywały polankę.

- Poddaj się, Zorro! - rozległ się zdyszany głos don Alvaręza, który przybył w ostatniej chwili.

Za nim widniały twarze ludzi, którzy zjawili się wraz z nim.

- Chcecie mnie mieć? - rzekł Zorro - więc mnie bierzcie.

Zgiął kolana i z całej siły odepchnął się od ziemi. Gibkie ciało uniosło się w górę w niesamowitym skoku w górę. Chwycił rękami za gałąź zwisającą nad polanką. Rozhuśtane ciało zawadziło o sąsiedni konar. Zorro chwycił się go kolanami, poderwał się wyżej i stanął na konarze. Następnie ciało jego opisało łuk w powietrzu, opadając na wyższą gałąź.

Stało się to wszystko tak błyskawicznie, że zdumieni ludzie nie zdążyli wystrzelić. Ani jeden z kilkudziesięciu obecnych nie zdołał nacisnąć kurka w porę. Gdy rozległa się strzelanina, było już za późno. Postać Zorri mignęła gdzieś hen, przy wierzchołku drzewa, przefrunęła na sąsiedni wierzchołek, który aż się ugiął pod ciężarem ciała, i znikła z oczu napastnikom..

- Tędy, tędy ucieka! -- rozległy się w lesie gorączkowe okrzyki. Żołnierze pędzili pomiędzy drzewami, strzelając w górę na oślep.

- Nie schwytemy go dzisiaj! -- rzekł don Alvarez, zniechęcony, do sierżanta, powracając na polankę. - Mieliliśmy pecha. Należało strzelać od razu.

- Na pocieszenie został jego koń oraz kompletny rynsztunek - odezwał się sierżant.

- Mamy również jego współnika, starego węglarza.

- Przywiążę go do konia Zorri i wyprowadzę z lasu.

- Dobrze! Pistolety, szpadę i bicz możesz pozostawić przy siodle.

Oddział zaczął się zbierać. Ludzie mieli miny obitych psów.

Sierżant prowadził konia Zorri i przywiązał doń węglarza. Don Alvarez jechał obok, nieco przodem. Oddział podążał za nimi.

Drzewa zaczęły rzednąć.

Prócz odgłosu końskiego stąpania i poszumu wiatru w listowiu, nic nie mąciło ciszy. W oddali odzywała się kukułka, lecz i ta wreszcie zamilkła.

Nagle coś mignęło w powietrzu.. Jakieś wielkie, czarne ciało spadło z konaru na sierżanta, który jechał przodem. Sierżant potoczył się na ziemię.

Zorro, to on bowiem skoczył z drzewa na jadącego konno sierżanta, chwycił cugle i trzymając drugiego konia na wodzy, puścił go galopem. Po drodze, uderzeniem pięści, wytrącił z siodła jadącego przed nim don Alvaręza.

Żołnierze nie zareagowali w pierwszej chwili. Byli zbyt wyczerpani wypadkami dnia. Zanim podnieśli don Alvaręza z ziemi i rzucili się w pogoń za Zorrią, ten był już hen daleko. Dwa konie przemykały się pomiędzy drzewami, kierowane jego wprawną ręką.

W pełnym biegu Zorro przeciął więzy węglarza.

- Dzięki! - zawołał węglarz. - I szczęśliwej podróży!

Zsunął się z siodła, skoczył na bok i zaszył się w gęstwinie leśnej.

- Bądź zdrow, przyjacielu! - zawołał Zorro. - Nie zapomnę o tobie. Spotkamy się jeszcze.

Przeskoczył w biegu z siodła na siodło i puścił luzem drugiego konia. Teraz siedział na swym rumaku. Przy siodle znalazł swoje pistolety, szpadę i bicz.

- Hej ho, koniku! - zawołał radośnie, zwracając się do swego wierzchowca. - Nie tak łatwo nas pokonać co? Ty koński łbie, dlaczego nie odpowiadasz?

Koń strzygł tylko uszami, słysząc głos swego pana, i gnał jak wichur przez pagórki i doły, przeskakiwał strumyki i wielkie kamienie przydrożne.

Zorro zatoczył w ten sposób wielki łuk, kierując się ku drodze wiodącej do Saragossy. Obejrzał się - pościgu ani śladu.

W oddali młyn odcinał się na лазurze nieba. Wielkie skrzydła obracały się powoli.

Zorro uśmiechnął się i szepnął:

- Podarek don Sebastiana dla byłego rządcy! Wspaniały młyn, na Jowisza!

Wtem uwagę jego zwróciło kilku konnych oddalających się galopem od młyna.

Zatrzymał konia i stanął w strzemionach, przypatrując się uważnie jadącym.

Jeźdźcy, a było ich ośmiu, zbliżali się do niego.

Zorro mógł teraz rozróżnić twarze.

Na czele oddziału jechał Fernando. Przez siodło trzymał przewieszony jakiś pakiet podłużnego kształtu.

- Ciekawe - mruknął Zorro - co oni tam wiozą?

Nagle jeźdźcy spostrzegli zagradzającą im drogę konną postać.

- Z drogi, senior! - rozległ się gniewny krzyk. Z drogi, jeśli dbasz o ojca skórę. Umykaj nie odwracając głowy.

Dopiero teraz spostrzegli maskę na twarzy jeźdźcy. Zmieszali się.

- Zorro, Zorro - rozległy się trwożliwe szepty. - Ukryjmy dziewczynę.

Fernando cofnął konia. Inni okrążyli go, biorąc do środka wierzchowca niosącego na grzbiecie kompromitujący pakiet.

- Co wy tam macie, chłopcy? - zapytał Zorro, wskazując ręką białą batą na podłużny przedmiot obciążony płótnem.

- To... to mąka z młyna - wyjąkał Fernando.

- Mąka z młyna? - szyderczo powtórzył Zorro. - Dziwny ma kształt ten worek. Przysięgam, że tam leży człowiek.

Mężczyźni zbledli. Jeden z nich odruchowo sięgnął do pasa.

- Hej, ty! - zawołał Zorro. - Zostaw pistolet w spokoju.

- Senior Zorro - mówił Fernando. - W tym worku jest mąka, klnę się na wszystko.

- Mąka, która ma łokcie i kolana? Przyjrzyj się, nie widzisz, że wypycha płótno?

Wściekłość ogarnęła Fernanda.

- Ostatecznie, to nasza sprawa! - zawołał. - Nie mamy potrzeby spowiadać się...

- Zdejm kapelusz, gdy do mnie mówisz, parobku! - krzyknął Zorro. Świsnął bat. Kapelusz poleciał na ziemię.

- A teraz żywo! - wołał dalej. - Nie mam czasu na pogawędkę. Rozwiązać worek, jeśli wam całość waszej skóry miła!

Bat świsnął powtórnie, ściągając na ziemię jednego z mężczyzn, który ostrożnie sięgnął po pistolet.

Worek został rozwiązany. Oczom Zorry ukazała się dziewczyna.

Była skąpana grubymi powrozami, w ustach tkwił knebel.

- Cóż to! - zdziwił się Zorro. - Same porwania dzisiaj! To już druga z rzędu! Jesteście na służbie u don Sebastiana?

- Tak jest, czcigodny seigneur - rzekł Fernando.

- I podejmujecie się tak niegodnej sprawy, jaką jest kradzież kobiety? Macie za to. Zanieście don Sebastianowi pozdrowienie.

Długi bicz zaczął ciąć powietrze we wszystkich kierunkach. Smagani ludzie próbowali ucieczki, lecz złowrogi rzemień zawsze ich dosięgał, w ostatniej chwili ściągając z siodła. Ani jeden nie zdołał uciec. Ośmiu mężczyzn rzucało się na oślep we wszystkie strony, rycząc z bólu. Wreszcie gdy już wszyscy otrzymali porządne cięgi, Zorro wypisał swój znak końcem rzemienia na lewym policzku Fernanda.

Dziewczyna, uwolniona z więzów, stała nie opodal, przyglądając się okrutnej scenie egzekucji.

Zorro puścił wolno jęczących ludzi i skierował konia ku dziewczynie:

- Buen Dios, Marquito - rzekł. - Porwano cię w biały dzień, biedaczko!

- Napadli mnie koło studni, za młynem. Zaciśnęli mi usta, związali. Nie zdążyłam nawet krzyknąć.

- Dostali za swoje. Powinnaś być zadowolona.

Dziewczę splonęło i opuściło oczy. Szepnęła nieśmiało:

- Nic jestem zadowolona.
- Nie? - zdziwił się Zorro. - A dlaczego to, jeśli łaska?
- Widok karuszy, jakie im zadałeś, był zbyt okrutny.
- Musiałem ich nauczyć rozumu.
- Tak, lecz nie należało ich torturować.
- Wróciliby nazajutrz i ponowili napad.

Uprzedziłabym ojca i ludzi pracujących w młynie. Mieliby się na baczności.

- Nie współczuj tym ludziom, Marquito! Pojęczą trochę, a po dwóch, trzech dniach nie pozostanie ni śladu po otrzymanych cieżach. Nie zapomną jednak nigdy nauczki, która przyda im się na przyszłość. Kara im się słusznie należała!

- Nic do nas należy karanie winnych, senior.

Zorro ujął podbródek dziewczęcia i rzekł:

- Dobrze masz serduszko, Marquito! Idź do domu i nie wychodź bez opieki.

Uderzył konia ostrogami i pomknął dalej.

Dziewczyna stała na miejscu i patrzyła za nim.

Mercedes zatrzymała powóz. Serce waliło jej jak młotem.

Zorro zdumiony przyglądał się dziewczęciu w milczeniu. Wreszcie przemówił, a w głosie jego zabrzmiała nuta uznania.

- Buen Dios, seniorito Mercedes. Od kiedy to stałaś się woźnicą? Nieźle powozisz, jak widzę?

Mercedes roześmiała się wesoło:

- Potrzeba jest matką wszelkich umiejętności. Porwano mnie tej nocy. Udało mi się wyrwać ze szponów senora Ravalesa. Nie miałam nic innego pod ręką jak oto ten powóz, skorzystałam więc z okazji, by uciec.

- Senior Ravales! - rzekł Zorro. - Byłem tego pewny. Jadę właśnie, by mu złożyć wizytę.

- Wątpię, czy będzie mógł mówić z tobą, senior! - rzekła Mercedes, opuszczając wzrok. - Dostał cios między oczy ręką pistoletu.

Zorro zagwizdał z podziwu:

- Spisałaś się, seniorito Mercedes - rzekł. - Nigdy bym się nie spodziewał tego po takim trwożnym dziewczątku.

Oczy Mercedes zabłyśły dumą. Powóz ruszył powoli. Zorro towarzyszył jej konno.

- To dziwne, senior Zorro - mówiła Mercedes - lecz nie przypuszczałabym nigdy, że tkwi we mnie żyłka awanturnicza. Porwała mnie żądza przygód.

- Dosyć, seniorito! - przerwał jej Zorro. - Żądza przygód hartuje i doskonali mężczyznę, lecz kobietę sprowadza na manowce....

- Zależy o jakich przygodach mówisz, senior - zaczerwieniła się Mercedes.

Zorro nie odpowiedział od razu.

- Wybacz mi, seniorito - rzekł po chwili łagodnym tonem. - Zawsze wyobrażałem sobie kobietę jako łagodne, nieśmiałe stworzenie potrzebujące męskiej opieki. Podziwiam twą odwagę, seniorito. Proszę cię jednak, wobec tego, że przygoda dzisiejsza zakończyła się szczęśliwie, siadź przy robótce w domu i postaraj się zapomnieć o wszystkim. Słyszałem, że masz narzeczonego - zajmij się nim.

Mercedes zbladła i zapytała drżącym głosem:

- Czyżbyś zapomniał, senior?

-???

- Ową noc kwietniową...

- Ach tak. Gitara, romanza, don Alvarez, żołnierze...

- Nie zapomniałam jeszcze...

Zorro przysunął konia bliżej i spojrzał w oczy dziewczęcia.

- Posłuchaj dobrej rady, seniorito Mercedes, jestem człowiekiem wyjętym spod prawa. Żyję w ostępach leśnych jak dziki zwierz, broniąc tych, co obrony potrzebują. Nie jestem mężczyzną, który by mógł przyrzekać cokolwiek kobiecie. Masz obok siebie poczciwego młodzieńca, który możliwe, że cię kocha. Odpowiedz mu miłością zgódź się zostać żoną Zefiria. Ręczę ci, że nie będziesz żałowała.

- Nienawidzę tego osła! - zawołała Mercedes rozpaczliwie.
- Jest przystojny, nawet piękny.
- Cóż z tego. Nie mogę patrzeć nań bez uczucia pogardy.
- Źle czynisz, seniorito, oceniając go tak powierzchownie. Mówię bezstronnie, choć Zefirio jest moim wrogiem. Przyjdzie czas, gdy pokochasz tego, jak nazywasz, osła, lecz wówczas on nie zechce pięknej Mercedes!

- Krajesz mi serce, Zorro! - wyjąkała Mercedes. – Kocham tylko ciebie.

Lecz Zorro nie odpowiedział. Smagnał konia i po chwili był już daleko.

Mercedes patrzyła za nim i łzy spływały po jej policzkach.

Zorro skręcił w boczną drogę i puścił konia stępa. Dookoła nie było żywej duszy. Step rozpościerał się, aż het do lasu, który czernił się na widnokręgu. Słońce chyliło się na zachód. Na zachód też skierował Zorro swego konia. I zaczął śpiewać głębokim, melodyjnym głosem:

Rozpacz serce moje chwyta
Mnie nie kocha seniorita
Puszczę konia mego w cwał
Świat mi wrogiem, wpadnę w szal,
Zacznie szaleć caballero
Wciśnie głębiej swe sombrero
Bij, zabijaj - śmierć pomoże
Gdy już głowę swą położę...

Urwał nagle wpatrując się w dal.

Na skraju lasu stał powóz. Coś się obok tego powozu poruszało.

- Co się tam dzieje? - mruknął Zorro. - Dlaczego powóz stoi na tym pustkowiu?

Spiął konia ostrogami i pocwałował naprzód. Gdy zbliżył się dostatecznie, ujrzał dziwną scenę. Przed powozem stali dwaj mężczyźni trzymający ręce wzniesione ponad głową. Jeździec, odwrócony plecami do Zorry, coś mówił do przerażonych podróżnych. Zorro zbliżył się jeszcze i omal nie krzyknął ze zdumienia ujrzał bowiem siebie samego. Tak, ów jeździec miał czarny zawój na głowie, długi bicz wisiał po prawej stronie siodła i choć Zorro nie mógł tego widzieć, domyślał się, że jego sobowtór nosi również czarną, welurową przepaskę na twarzy. Przysunął się ostrożnie jeszcze, bliżej. Do uszu jego' doleciały słowa jeźdźca w masce:

- Nie kłamcie! Dziesięć tysięcy peso to zbyt mała sumka dla ludzi jadących kareta. Dawać tutaj pieniądze albo zapoznać się z batem Zorry.

Wtem za jego plecami rozległ się spokojny głos:

- Zorry mówisz? Ale Zorro nie ma najmniejszego zamiaru objąć tych pocziwców! Zorro nie tknie pieniędzy należących do pocziwych ludzi.

Tajemniczy jeździec odwrócił się gwałtownie.

Dwaj jeźdźcy w maskach stanęli oko w oko. Obaj zewnętrznie podobni do siebie, z tą tylko różnicą, że jeden miał piwne oczy a drugi zielononiebieskie.

Dwaj Zorro! Który z nich prawdziwy?

Podróżni nie mieli odwagi ani chęci przyglądać się tej scenie. Korzystając z tego, iż uwaga była od nich odwrócona, skoczyli do karety, woźnica zaciął konie, które ruszyły z kopyta. Dwaj jeźdźcy pozostali sami.

Zorro numer jeden uśmiechnął się ironicznie.

Zorro numer dwa zacisnął zęby i sięgnął błyskawicznie po pistolet. Lecz Zorro numer jeden był szybszy. Świsnął bicz i wyrwał tamtemu pistolet z ręki.

Zorro numer drugi chwycił również za bicz.

- Szkoda koni, senior - rozległ się głos spokojny. - Biedne zwierzęta ucierpią tylko w czasie walki. Zsiądźmy z koni!

- Zgoda! - odpowiedział drugi jeździec. - Od dawna już szukam ciebie, senior. Mam cię wreszcie i godzę się na wszystko, byleby zmierzyć się z tobą. Dwóch takich jak my nie może istnieć na świecie.

Zsiedli z koni, każdy trzymał bicz w ręku.

- Pojedynek w kole? - zapytał Zorro numer jeden.

- Tak!

Zorro zakreślił obcasem wielkie koło na murawie.

- Obnażeni do pasa?

- Tak! Który z nas znajdzie się poza kołem, uważany będzie za pokonanego.

Zdjęli kurtki i koszule, po czym stanęli naprzeciw siebie.

- Zaczynamy!

Świsnęły dwa bicze jednocześnie.

Drogą wiodącą z Saragossy do Huesco podążali czterej jeźdźcy. Pomimo że mieli ostrogi na butach i płaskie sombrera na głowach, wyglądali na mieszczan. Na czele jechał wysoki i chudy jegomość o minie wielkopańskiej. Jeden z jeźdźców zrównał się z jego koniem i zapytał:

- Daleko jeszcze do posiadłości don Sebastiana, senior Antonio?

- Pozostała zaledwie godzina jazdy! - odpowiedział don Antonio. - Śpieszy ci się?

- Ręce mnie swędzą. Chciałbym już przystąpić do dzieła.

- Nieco zimnej krwi i cierpliwości, Esteban!

Esteban cofnął konia, nic nie mówiąc. Na pierwszy rzut oka był to człowiek o wręcz odpychającym wyglądzie - niski, rozrośnięty w barach, o niebywalej wprost objętości, czynił wrażenie człowieka bardziej szerokiego niż wysokiego. Mała głowa na karku, który był prawie dwa razy od niej szerszy. Długie, małe ręce wisały po obu stronach siodła. Potężne mięśnie uwydatniały się pod rękawami kurtki, krótkie, muskularne nogi ścisnęły boki końskie. Miało się wrażenie, że to nie człowiek, lecz jeden kłębek stalowych mięśni.

Wygląd dwu jego towarzyszy był również niepokojący. Zaciśnięte kureczowo szczęki i ponury wyraz oczu nie zapowiadał nic dobrego dla przygodnego wędrowca.

Jechali stępą w głębokim milczeniu.

Nagle w oddali wzniósł się tuman kurzu, który rósł i zbliżał się w szybkim tempie. Spoza chmury wyłonił się galopujący oddział jeźdźców. Na czele mknął don Alvarez.

- Senior Antonio? - zawołał zdumiony, gdy znalazł się w odległości kilkuset kroków. - Co za spotkanie!

- Don Alvarez! - zawołał człowiek o wielkopańskiej minie. - Cieszę się, że cię widzę, senior! Wskaż mi siedzibę don Sebastiana, gdyż do niego udaje się w pewnej sprawie.

- Jeszcze cztery mile, senior, cały czas prosto. Sam bym chętnie odwiedził mego przyjaciela z Saragossy, niestety czas mnie nagli, sygnalizowano mi bowiem przed niespełną godziną, że Zorro napada przejezdnych w tej okolicy. Czy nie dostrzegłeś, senior, nic podejrzanego po drodze?

- Nie, nic!

- Żadnego samotnego jeźdźca w oddali?

- Nie dostrzegłem żywej duszy na przestrzeni dwudziestu mil.

- To znaczy, że w tym kierunku nie ma czego szukać? Musze skrócić na zachód! Zegnaj, senior Antonio. Do zobaczenia.

Padł rozkaz i oddział pomknął na zachód.

Don Antonio i jego ludzie spojrzeli na siebie.

- Jeszcze nigdy nie słyszałem, a żeby Zorro napadał na prywatnych podróżnych - rzekł Esteban.

- To nie Zorro! - rzekł don Antonio z uśmiechem na ustach.

- Nie Zorro? A więc któż?

- Jose Cardilla.

- Jose Cardilla? - zdumiał się Esteban. - Przecież siedzi w Saragossie!

- Mylisz się! Don Sebastiano zlecił mu pewne zadanie, krąży więc w tej okolicy.

- I nie traci, jak widać, czasu nadaremnie!

- Cóż chcesz, natura ciągnie wilka do lasu. Prócz tego pragnie widocznie ściągnąć na siebie uwagę Zorry.

- Rozumiem! Udając Zorre i obdzierając podróżnych w jego imieniu.

- Zgadłeś! Domyśliłem się tego od razu, gdy mi doniesiono w Saragossie, że Zorro zmienił się nie do poznania, stając się zwykłym desperadosem.

W oddali zamajaczyły budynki.

- Jesteśmy u celu!- rzekł don Antonio. - A teraz, chłopcy, uwaga! Gęby na kłódkę i ani pary z ust. Możliwe, że będą was wypytywać. Jesteście zwykłymi murarzami, waszym zadaniem jest wybudowanie domku dla don Antonia. Poza tym nic nie wiecie.

Zorro i jego zamaskowany przeciwnik stali w odległości ośmiu kroków od siebie.

Rzemienie świsnęły jednocześnie, lecz żaden z nich nie został ugodzony, gdyż bicz skrzyżowały się z sobą i opadły splatane na ziemię. Po chwili znów świsnęły. Zorro uskoczył na bok i poderwał biczysko. Na nagim ciele przeciwnika, w okolicy szyi, ukazała się krwawa pręga. Przeciwnik Zorry ryknął z wściekłości i bólu.

Świsnął rzemień i owinał się końcem dookoła łokcia Zorry. Ten ani drgnął. W tej samej sekundzie, gdy rzemień przeciwnika werznął się w jego ramie, bicz jego jakby oszalał. Niby długi waz wił się, syczał, skręcał, unosił w górę i chłostał bez przerwy.

Ciosy przeciwnika Zorry straciły na celności. Machał teraz biczyskiem na oślep. Ciało jego w ciągu jednej chwili pokryło się krwawiącymi pręgami. Pot i krew okryły ciało obnażone do pasa.

Teraz już nie dwa bicz przecinały powietrze, lecz tylko jeden, bowiem przeciwnik Zorry upadł na ziemię. Natomiast Zorro stał, a bicz jego smagał ciało leżącego. Ten uczul, że umiera pod ciosami.

Ostatnim wysiłkiem woli doczołgał się do granicy koła i tracąc nieledwie przytomność, wywłócił się na łokciach poza obręb narysowany na ziemi.

Zorro opuścił rękę: przeciwnik poza kołem był nietykalny.

Obejrzał swe ciało. Jedna czerwona pręga biegła wokół łokcia, druga widniała na obojczyku i wreszcie trzecia zajechała końcem aż na plecy, pod lewą łopatkę.

Włożył bez pośpiechu koszulę i kurtkę. Zbliżył się do zemdłego i pociągnął go za barki, odwracając na plecy. Uchylił jego maskę i przyjrzał się uważnie twarzy. Następnie wciągnął nań koszulę i kurtkę, zarzucił bezwładne ciało na plecy i zaniósł do lasu. Konia przywiązał do drzewa obok leżącego.

Potem galopował dalej, kończąc urwana piosenkę:

I rozdziobią sępy ciało
I zasypie piach gorący
Z caballera nie zostało
Nic prócz kości bielejących...

Zwyciestwo Zefiria

Pułkownik Gonzano gnał na czele swego oddziału na zachód.

Mijali właśnie pustkowie usiane głazami, gdy wtem w oddali zamajaczyła jakąś nieruchoma a postać ludzka pochylona nad czymś.

Dowódca przyśpieszył konia. Zdawało mu się, że poznaje sylwetkę.

Gdy zbliżył się dostatecznie, okazało się, iż rzeczywiście był to Zefirio.

Nie miał zwykłej skrzynki botanicznej przy sobie, natomiast za pasem lśnił olbrzymi pistolet.

- Hej, Zefirio! - zawołał zbliżając się don Alvarez. - No i cóż, znalazłeś seniorite Mercedes?

Zefirio uniósł głowę i położył palec na ustach.

- Tss! Nie tak głośno. Zdaje się, że mam go.

- Kogo?

- Zorre!

- Czyżby? - zapytał ironicznie don Alvarez. - Siedzi na pewno w ziemi jak kret, skoro tak się wpatrujesz w murawę.

- Nie, przyglądam się temu kołu nakreślonemu na ziemi.

- Widzę to koło! Cóż z tego wnioskujeś?

- Ze odbyła się tutaj walka.

- Tak?..

- Pełno krwi dookoła...

Don Alvarez zeskoczył z siodła.

- Rzeczywiście! - rzekł. - Trawa zdeptana i grudy ziemi wyrwane. Co się tutaj działo?

- Zapewne walka poganiaczy mułów, tak zwany pojedynek w kole!

- A więc mamy wytłumaczenie. Dlaczego mówiłeś przed chwilą, że masz Zorre w ręku?

- Dlatego! - odpowiedział Zefirio.

- To jest odpowiedź godna senora Zefiria! - zadrwił don Alvarez.

- Poczekaj, senor, momentik - rzekł Zefirio, kierując się w stronę lasu. - Zaraz wrócę.

Szedł ostrożnie na palcach, trzymając pistolet gotowy do strzału i wpatrując się bacznie w ślady na ziemi. Niebawem znikł pomiędzy drzewami.

Don Alvarez wzruszył ramionami i wsiadł na konia. Nie dam się chyba okpić idiocie, pomyślał, a głośno zaś rzucił:

- W drogę!

Oddział ruszył, nie zdążył jednak odjechać daleko, gdy spośród drzew ukazał się Zefirio, wlokąc po ziemi coś ciężkiego.

- Don Alvarez, stój! - krzyczał rozpaczliwie. - Mam go, mam go! Stój!

Gdyby niebo zawałiło się w tej chwili na głowę don Alvareza, nie byłby bardziej zdumiony.

Oddział zawrócił.

Don Alvarez dopadł zdyszanego Zefiria.

Na ziemi leżał nieruchomo mężczyzna w czarnym ubraniu.

Głowa jego okryta była czarna chusta, twarz przesłonięta maską. W prawym ręku tkwił kurczowo zaciśnięty trzon bata.

Don Alvarez zeskoczył z siodła, rozpiął koszulę na piersi człowieka i przyłożył ucho.

- Żyje! - rzekł. - Stracił tylko przytomność.

Zerwał maskę i chustę i spojrzał ciekawie na twarz leżącego. Była blada, pociągła; usta wąskie, zaciśnięte; włosy krótko przystryżone.

- Toż to jest Jose Cardilla! - rozległ się okrzyk jednego z żandarmów.

- Aaa! - wyrwało się z piersi obecnych.

Wszystko wyjaśniło się od razu. Bandyta był znany jako niezrównany mistrz bata, noża i pistoletu. Teraz wyczyny Zorry znalazły pełne wytłumaczenie w osobie Josego Cardilli.

- Nie zapominaj, senor, że ja uczyniłem to odkrycie, że ja ująłem Zorre! Wszyscy powinni wiedzieć, do czego jestem' zdolny! - mówił Zefirio, wkładając pistolet do pochwy. - Maja Zefiria za głupca, uważają go za niedołęgę, a tymczasem Zefirio dotrzymał przyrzeczenia i dostarczył Zorre żywcem.

Dwa złamane serca

Wieść o ujęciu Zorry obleciała lotem błyskawicy cała prowincja. Niemal przyczynił się do tego sam Zefirio, który obchodził wszystkich sąsiadów w towarzystwie swych dwóch przyjaciół, Porfiria i Malibrana, opowiadając długo i szeroko o swym wyczynie.

Z całej okolicy zjeżdżali się ludzie. Nieprzeliczone tłumy stały przed wiezieniem, a pomiędzy nimi uwijał się Zefirio, nadęty jak paw. Wszyscy go znali, słuchali więc z uśmiechem jego wynurzeń.

Byli jednak i tacy, którzy tracili cierpliwość.

-- Wielka sztuka znaleźć nieprzytomnego człowieka! - mówili mu wprost w oczy. - Każdy bałwan to potrafi.

- W takich wypadkach Zefirio usuwał się w cień, na jego miejscu wyrastali groźni jego obrońcy, Porfirio i Malibran.

- Obrażasz naszego przyjaciela! - zaczynał zwykle Malibran

- Czy wiesz, czym to pachnie?

- To pachnie waszym głupim Zefiriami! - brzmiała odpowiedź.

Wówczas rozpoczynała się bójka, która niebawem wciągała większą liczbę gapiów. I gdy ludzie kotłowali się, Porfirio, Zefirio i Malibran byli już daleko.

- Oni jeszcze tam się bija! - mówił Porfirio.
- E, chyba nie! Na pewno spostrzegli, że nas już nie ma pomiędzy nimi.
- Załóżmy się, iż nie wiedza jeszcze, że się wymknęliśmy.
- Dobrze!

Powracali więc, by zobaczyć, jak żandarmi rozpedzają walczących.

- Kto wygrał, rozsądź nas, Zefirio.
- Obydwa wygrałście, wobec tego pójdziemy napić się wina.

W ten mniej więcej sposób bawili się trzej przyjaciele.

Po powrocie do domu Zefirio najpierw udał się do pokoju Mercedes.

Generał drzemał w swym fotelu. Dziewczyna siedziała przy oknie, trzymając chusteczkę w rękach.

- Dzień dobry, seniorito! - rzekł Zefirio, wchodząc. - Słyszałaś nowinę?
- Słyszałam! - rzekła bezdźwięcznym głosem.
- Słyszałaś i nie radujesz się? - zapytał Zefirio zdziwionym tonem.
- Nie wiem, dlaczego mam się radować?
- Zapomniałaś o danym mi przyrzeczeniu, kuzynko?

Mercedes drgnęła.

- O jakim przyrzeczeniu mówisz? - zapytała.
- Ze się pobierzemy, gdy schwytam Zorre.
- Nie schwytałeś go!
- Jak to nie schwytałem? Cała Hiszpania tylko o tym mówi!
- Znalazłeś go w lesie, nieprzytomnego.

- To na jedno wychodzi! Nie było mowy o tym, że muszę Zorre złować, gdy będzie w najlepszym zdrowiu i przy wszelkich zmysłach. Nie znalazł go ani don Alvarez, ani księżę Ramido, ani też moi przyjaciele Porfirio i Malibran. Ja, tylko ja, wpakowałem go do więzienia i przychodzę po obiecana mi zapłatę.

- I otrzymasz ja, na honor! - rozległ się tubalny głos generała, który obudził się i słyszał prawie całą rozmowę. - Otrzymaś nagrodę w postaci ręki mej córki Mercedes! Niech mnie kartacze rozniosą w tym miejscu, jeśli kłamie.

Zefirio skłonił się nisko przed generałem, rzucił triumfujące spojrzenie na błądząca dziewczynę i wyszedł.

- Słuchaj, moja córko! - mówił dalej generał, drżąc z hamowanego gniewu. - W naszym rodzie nikt jeszcze nie złamał danego słowa, ty nie będziesz pierwsza, która to uczyni.

Lecz Mercedes nie słuchała słów ojca. Myśl jej była zaprzątnięta czymś innym.

- Musze go uwolnić z więzienia! - szepnęła. - Musze go uwolnić, choćbym miała sama zginąć.

Tymczasem Zefirio wszedł do pokoju Porfiria i Malibrana.

- Idziecie spać? - zapytał. - Tak wcześnie?
- Dlaczego pytasz? - odpowiedział pytaniem na pytanie Porfirio.
- Jadę do Saragossy!
- Teraz? W nocy?
- Prześpię się w powozie. Nie jesteście mi potrzebni. Pojadę sam!

Porfirio wstał z łóżka i rzekł:

- Jadę z tobą!
- Ja również! - dodał Malibran.
- Dobrze! Ubierajcie się!

Po pewnym czasie turkot kół powozu oznajmił, że trzej przyjaciele udali się w drogę.

Zefirio nie chciał budzić woźnicy, który spał znużony całodzienną pracą. Więc podzielili się jego obowiązkami. Pierwszy zasiadł na koźle Malibran.

- Obudzisz mnie za trzy godziny. Zastąpię cię!

Minęły dwie godziny. Zefirio i Porfirio spali głębokim snem, jaki daje czyste sumienie.

Nagle w powozie rozległ się cichy stuk.

- Co się stało? - zapytał Zefirio. - Minęły już trzy godziny?

- Jacyś jeźdźcy zbliżają się do karety - rozległ się przyciszony głos Malibrana.
Zefirio wyjrzał przez okno. Księżyc był w pełni, oświetlał dolinę, która mknęła karoca.
Sześć koni gnało naprzeciw nim.

- Szykuj pistolety, Porfirio - rzekł Zefirio. - Ci nocni jeźdźcy wydają mi się podejrzani.
W powozie rozległ się szczerk odwodzonych kurków.

- Stój! - rozległ się dziki okrzyk. - Stój, jeśli ci życie mile!

- Desperadosi... - szepnął Zefirio. - Porfirio, uwaga!

- Co mam zrobić? - zapytał Malibran.,

- Zatrzymać się - odpowiedział Zefirio.

Jeźdźcy otoczyli karekę. W poświacie księżycy połyskiwały wycelowane lufy strzelb.

- Wyłączyć z powozu! - zabrzmiał powtórny okrzyk.

Zefirio i Porfirio schowali pistolety i wysiedli z karety.

- Uwaga, Porfirio, będzie rewizja! - szepnął Zefirio.

- Hm! - mruknął Porfirio ze zrozumieniem.

- Ręce do góry! - padł rozkaz.

Dwaj jeźdźcy zsiadli z koni i zbliżyli się do podróżnych, którzy stali nieruchomo, trzymając ręce wzniesione do góry.

- Nie ruszać się! - zawołał znów desperado. Był to widocznie dowódca.

Dwaj bandyci wyciągnęli ręce, by przeszukać kieszenie Zefiria i Porfiria.

- Teraz! - szepnął Zefirio.

Wzniesione do góry ręce spadły jednocześnie. Każdy z nich przyciągnął lewą ręką swego bandytę do piersi, prawa zaś sięgnął po pistolet.

Błysnęły dwa ognie i odezwały się dwa strzały. Dwaj jeźdźcy spadli z koni. Niemal jednocześnie huknął trzeci wystrzał. To Malibran wtrącił się do rozprawy.

Pozostał tylko jeden desperado na koniu, lecz ten nie mógł strzelać, gdyż trafiłby w swych kamratów, których dwaj napadnięci przyciskali jako tarcze do piersi. Zawrócił więc konia i umknął.

Powyższa scena rozegrała się tak błyskawicznie, że zanim dwaj bandyci ochłonęli i wydarli się z uścisku Porfiria i Zefiria, było już po wszystkim.

Teraz oni z kolei stanęli nieruchomo, unosząc ręce do góry.

- Możecie opuścić raczki, mili braciszku! - rzekł Zefirio, chowając pistolet. - Nie mamy najmniejszego zamiaru was ograbić.

Bandyci opuścili ręce.

- Dużo jeszcze wałęsa się waszych kamratów w okolicy? - zapytał Zefirio.

Bandyci milczeli.

- Wasze milczenie uważam za osobista zniewagę - rzekł Zefirio. - Porfirio, powiedz, jak postępujemy z tymi, którzy nas znieważają?

- Ucinamy im głowy! - odpowiedział Porfirio grobowym głosem.

- Słyszycie? Na ładnych ptaszków wpadliście, co? Nie poszczęściło się wam, biedacy. Myśleliście zapewne, że to spokojni podróżni jada w nocy, aby jak najprędzej złożyć w banku zarobione na handlu pieniądze. - Zrobił przerwę i dodał groźnym głosem: - Czekam na odpowiedź! Wielu was wałęsa się jeszcze w tej okolicy?

- Jesteśmy ostatni, senor! - odpowiedział jeden z bandytów.

- Gdzie reszta?

- Większość wyciął Zorro. Pozostali uciekli do innej prowincji. Mieliśmy zamiar również przenieść się gdzie indziej...

- Tylko że nie mogliście oprzeć się pokusie zdobycia kilku peso. Nie poszczęściło się, niestety! Będziecie mieli na przyszłość nauczkę, by nie zapędzać się do Aragonii. Powietrze nie jest tu zdrowe dla takich jak wy zuchów. Zresztą nie życzę wam źle, pomimo wszystko, i dlatego dam wam ojcowska radę: chłopcy, porzućcie ten zawód! Krwawy to i twardy kawałek chleba. Przeciwno Bogu, ludziom i prawu! Zbrodnia nie przynosi szczęścia.

Zadowolony ze swego kazania Zefirio zakończył wspaniałomyślnie:

- A teraz umykajcie stad żywo! Żeby w was tutaj nigdy nie widział. Nie zapomnijcie zostawić

broni! - I dodał zwracając się do Porfiria: - Niegodziwcy! Wyrwali mnie ze snu. Chodź kontynuować drzemkę, Porfirio.

- Nie ma tak dobrze! - zahuczał głos z kozła. - Teraz twoja kolej. Trzy godziny minęły.

Mrucząc coś pod nosem, wdrapał się Zefirio na wysokie siedzenie.

Malibran wsiadł do powozu, który ruszył z miejsca.

Zaczął świtać, kiedy Porfirio zmienił Zefiria. Słońce stało nad horyzontem. Świeżość poranka działała orzeźwiająco przystępie dobrego humoru Porfirio zaczął pogwizdywać.

- Może byś już skończył - rozległ się gniewny głos Zefiria. Nie dajesz spać znużonym podróżnym.

- Turkot kół nie budzi cię jednak! - zaprotestował Porfirio.

- Turkot kół brzmi w mych uszach prawidłowo, ty zaś gwizdziesz fałszywie.

- Nie wiedziałem, żeś taki muzykalny. Po powrocie do Madrytu nie omieszkam brać lekcji śpiewu i muzyki. Będziesz miał jeszcze ze mnie pociechę.

Zefirio coś mruknął i wycofał głowę z okienka.

Było już blisko południa, gdy powóz wjechał na ulice Saragossy.

- Jesteśmy w mieście? - zapytał Malibran przez okno.

- Nie, wśród ostępów leśnych - odpowiedział Porfirio, który wpadł w zły humor.

- Przecież widzę domy i ludzi!

- Widzisz, rzeczywiście? Ha, jeśli tak, to w takim razie znajdujemy się w mieście! - kpił Porfirio.

Teraz Zefirio wysunął głowę.

- Hej, Porfirio! - zawołał. - Czy wiesz, gdzie się znajduje rezydencja księcia wielkorządcy?

- Mniej więcej!

- Zatrzymasz się przed nowym pałacem!

- Dlaczego przed nowym?

- Bo stary został spalony.

- Czy nie ręką Zorry?

- Ręką Zorry!

- Kawał łobuza z tego Zorry! Niszczyć dzieło sztuki. Obciąłbym mu uszy, gdyby dostał się w me ręce.

- Bredzisz! - rzekł Zefirio. - Jakie tam dzieło sztuki. Zwyczajna buda bez smaku, w której wisały obrazy wątpliwej wartości.

- Ach, to co innego. W takim razie Zorro spełnił dobry uczynek. Wybaczam mu z całego serca! Nowy pałac jest zapewne w lepszym guście?

- Jeszcze gorsza buda!

Porfirio westchnął:

- Szkoda, że Zorro siedzi w więzieniu. Spaliłby i tę. Powóz zatrzymał się przed pałacem książęcym.

- Zaczekajcie na mnie tutaj - rzekł wysiadając. - Niebawem powrócę.

Udał się do pałacu. Przed wejściem został zatrzymany przez żołnierzy pełniących wartę.

- Dokąd? - zapytał jeden z żołnierzy.

- Do księcia Ramida y Carvalha!

- Jego książęca mość nie przyjmuje.

- Mnie przyjmie! Zameldujcie jego książęcej mości, że Zefirio Corti pragnie go widzieć.

Zefirio czekał dość długo. Wreszcie żołnierz wrócił.

- Możesz wejść, senior! - rzekł. - Jego książęca mość wzywa cię do siebie.

Zaledwie wszedł, na obliczu księcia ukazał się przychylny uśmiech.

- Witam, senior Zefirio - rzekł wyciągając doń rękę. - Gratuluję. Zawdzięczam ci spokój w okolicy.

Kto by się spodziewał, że to właśnie ty wydasz Zorrę w me ręce.

- Przecież przyrzekłem waszej książęcej mości, że to uczynię. Zastrzegłem sobie nawet nagrodę.

- Ach tak, przypominam sobie - skrzywił się książę. - Zastrzegłeś sobie prawo do ręki książniczki

Dolores. .

- Nie inaczej. Przychodzę właśnie w tym celu.

Książę był wyraźnie zakłopotany. Milczał przez chwilę, wreszcie rzekł:

- Udaj się do Dolores. Wiesz przecież, że od niej wszystko zależy.

Zefirio skłonił się i zawrócił ku drzwiom. Przypomnił sobie coś widocznie, gdyż odwrócił się mówiąc:

- Okropne formalności wprowadziłeś, wasza książęca mość. Żołnierze nie chcieli mnie wpuścić, zanim nie zameldowali waszej książęcej mości.

- Musiałem, senor Zefirio. Od czasu zamachu na mnie...

- Zamachu? - zdziwił się Zefirio. - Nic o tym nie słyszałem.

- Schwymano człowieka, który dostał się do pałacu z zamiarem popełnienia mordu na mej osobie.

- Kto to był?

- Człowiek z gminu... oświadczył, że krzywdzę lud i chciał dokonać na mnie zemsty.

- To okropne! - rzekł Zefirio. - Wśród ludu zanika wszelki szacunek dla koronowanych głów.

- Siedzi w więzieniu, czekając na egzekucję. Zwlekam z procedurą, bo Zorro niebawem zostanie przeniesiony tutaj, z więzienia w Huesco. Będziemy mieli widowisko podwójnej egzekucji.

- Oby jak najprędzej - rzekł Zefirio i wyszedł z gabinetu księcia.

Będąc już za drzwiami, szepnął:

- Człowiek z gminu! Jak się nazywa? Muszę się dowiedzieć. Udał się do apartamentów, które zajmowała Dolores.

Przed drzwiami jej pokoju zastał piękną subretkę.

- Jak ci na imię, moja ślicznotko? - zapytał Zefirio.

- Pepita.

- Otóż Pepito, powiedz księżniczce, że Zefirio Corti pragnie z nią mówić.

Pokójwka zniknęła za drzwiami. Po chwili wróciła.

- Wejdz, senor! - rzekła.

Dolores siedziała przy oknie, trzymając chusteczkę w ręku. Podniosła na przybyłego zapłakane oczy.

Stanowczo wszystkie dziewczęta dziś płaczą, pomyślał Zefirio, to już druga, którą zastaję z chusteczką w ręku.

- Dzień dobry, księżniczko! - rzekł. - Czy słyszałaś nowinę?

- Słyszałam - odpowiedziała ponuro.

- Jak to? Słyszałaś, że schwytałem Zorrę i nie radujesz się? zdziwił się Zefirio.

- Bardzo się cieszę, senor - odpowiedziała smutnym głosem.

- Wiesz po co przychodzę?

Dolores zbladła i spojrzała pytająco na Zefiria.

- Nie wiem.

- Zapomniałaś o danym mi przyrzeczeniu, księżniczko?

- O jakim przyrzeczeniu mówisz?

- Że zgodzisz się zostać moją żoną, gdy schwytam Zorrę.

- Przecież nie schwytałeś go. Powiedz raczej, że go odnalazłeś na pół martwego w lesie. Zasluga twoja polega na tym, że go wyniosłeś na plecach i oddałeś seniorowi Alvarezowi.

- To na jedno wychodzi. Nie było mowy o tym, że tylko wówczas powinienem Zorrę pojmać, gdy będzie całkiem przytomny. Grunt, że go miałem w swych rękach. Przecież nie znalazł go ani don Alvarez, ani twój książęcy wujaszek, tylko ja, Zefirio Corti. Jasne jak na dłoni. Teraz kolej na ciebie, księżniczko, dotrzymać obietnicy.

Dolores milczała. Była niezmiernie zakłopotana.

Zefirio czekał spokojnie na odpowiedź, bawiąc się swym sombrero.

Milczenie przedłużało się i stawało się nieznośne.

- A więc? - zapytał Zefirio.

- Cóż ci mam odpowiedzieć, senor? - rzekła Dolores. - Wpadłam w pułapkę. Dałam słowo, gdyż sądziłam, że nigdy Zorro nie dostanie się w twe ręce. Obecnie jestem w rozterce, gdyż ciebie nie kocham, trudno więc, bym zgodziła się zostać twą żoną.

- Pokochasz z całą pewnością! - zawołał Zefirio i padł na kolana przed księżniczką. - Będiesz musiała mnie pokochać, kiedy się przekonasz, jakiego dzielnego, walecznego, mądrego i dowcipnego masz

małżonka.

- Wstań, senor Zefirio - rzekła smutnie Dolores. - Wstań i pozostaw mnie samą. Głowa mnie dziś boli okropnie.

Jakąż więc odpowiedź dajesz mi, księżniczko?

- Pomówimy o tym po egzekucji Zorry.

- Dobrze - zgodził się Zefirio. Zaczekam.

Uklonił się nisko, westchnął i wyszedł.

Zaledwie drzwi zamknęły się za nim, Dolores szepnęła:

- Muszę go ratować za wszelką cenę. Nie przeżyłabym tej egzekucji. Biedny Zorro... Dolores pomoże ci, choćby miała sama zginąć.

Murarze don Antonia

- Witam cię, don Sebastian o - rzekł don Antonio, wyciągając rękę do gospodarza.

- Witam cię, don Antonio.

- Coś taki skrzywiony, przyjacielu?

- Chodź do mego gabinetu, opowiem ci, co się stało. Poszli do gabinetu don Sebastiana. Grubas wyjął pudełko z cygarami i poczęstował przyjaciela.

- Pamiętasz, C'O ci opowiadałem o Marquicie?

- Pamiętam.

- Posłuchałem twej rady. Posłałem ludzi, by ją sprowadzili. - No i cóż, udało się?

- Wszystko prawie poszło jak z płatka. Schwytali ją przy studni, zwięzali, wpakowali w worek i przerzucili przez siodło. Fernando jest nieoceniony w podobnych wypadkach. Sprawił się tak cicho i ostrożnie, że w młynie nikt się nawet nie poruszył.

- Powinieneś być zadowolony...

- Zaczekaj - przerwał mu don Sebastiano. - To jeszcze nie wszystko. Moi ludzie ruszyli z powrotem. Nagle zastąpił im drogę Zorro.

- Ten prawdziwy czy ten drugi?

- Ten prawdziwy.

- Domyślam się reszty.

- Zbił ich na kwaśne jabłko, odebrał Marquitę, po czym puścił ich wolno, przesyłając pozdrowienie dla mnie.

-Hm!

- Od tego czasu nie wysadzam nosa poza próg mego domu. - Nie przejmuj się zbytnio, don Sebastiano. Jose załatwi się z nim lada dzień.

- Dałby Bóg - westchnął gospodarz.

- Marquita nie jest dla ciebie stracona. Postaram się, byś ją odzyskał.

- Naprawdę? - ucieszył się don Sebastiano. - Byłbym ci wdzięczny aż do grobu.

- Licz na mnie. A teraz przejdziemy do mojej sprawy. Pamiętasz naszą ostatnią rozmowę?

- Mniej więcej.

- Prosiłem cię, byś mi odstąpił kawałek nieużytku.

- Przypominam sobie. Cóż, bierz...

- Mogę więc rozpocząć budowę mego domu?

- Budujesz dom?

- Tak, rezydencję letnią dla mej córki Chiquity.

- Dziwne, że właśnie ten kawałek ziemi upodobałeś sobie. Przecież to jest ziemia zupełnie jałowa.

- Niech cię o to głowa nie boli. Krajobraz jest piękny i to jej wystarczy. Chcesz bym sporządził akt cesji? Lub akt kupna, jak wolisz!

- Nie, don Sebastiano nie cofa. danego słowa. Powiedziałem, że od ciebie nie wezmę ani jednego peso za kamienie. Kiedy rozpoczynasz budowę?

- Dziś jeszcze.

- Dziś? Masz cieśli?

- Przywiozłem trzech murarzy z sobą.
- A więc to będzie dom murowany.
- Brak mi tylko cegieł.
- Cegieł mam pod dostatkiem.
- Doskonale! Kupuję cały zapas.

Pożegnali się szybko i don Antonio wyszedł z domu.

- Zabieramy się do roboty, chłopcy! - zawołał zbliżając się do swych ludzi, którzy czekali nań na podwórzu. Posilcie się teraz nieco i wypocznijcie.

Ludzie udali się do wyznaczonej izby. Don Antonio oddalił się powolnym krokiem, kierując się w stronę, gdzie posiadłość don Sebastiana graniczyła z dobrami należącymi do Anzelma Cortiego.

Stał na pagórku. Kawał ziemi darowany mu przez don Sebastiana nie obchodził go wcale. Wzrok swój skierował w stronę posiadłości sąsiednich.

Wyjął z kieszeni arkusik papieru, na którym widniał jakiś plan. Spojrzał na rysunek, przeniósł wzrok na okolicę i mruknął: - Zgadza się co do joty.

Niebawem powrócił do domu. Przeszedł do pokoju, gdzie odpoczywali trzej mężczyźni i, rzekł:

- Zgadza się z planem. Śmiało możemy zabrać się do roboty.
- Jak przystąpić do pracy, nie zwracając na siebie uwagi? - zapytał Esteban.
- Będziecie oczyszczać teren z kamieni. Gdy zmierzchn zapadnie zastanowimy się, co robić dalej.

Wyprawa Zefiria

Zefirio opuścił pałac. Powolnym krokiem przeszedł przez olbrzymi dziedziniec pałacowy, kierując się ku miejscu, gdzie pozostawił powóz. Gdy zbliżał się, uderzył go niebywały widok. Powóz otoczony był gromadą żołnierzy. W środku cizby coś się kotłowało, uszu jego doleciały gniewne okrzyki i przekleństwa. Zbiegowisko falowało, ścieśniało się i cofało na przemian.

- Kochani moi przyjaciele już coś nabroili - mruknął Zefirio. - Nie powinienem był zostawić ich przed pałacem... Trudno, muszę ich wybawić z opresji.

Rzucił się pomiędzy żołnierzy, wołając:

- Rozstapcie się... W imieniu księcia, rozstapcie się! Napastnicy odruchowo cofnęli się przepuszczając Zefiria, który korzystając z chwilowej konsternacji przedarł się do powozu.

Porfirio stał plecami oparty o drzwiczki. W ręku trzymał halabardę, którą wyrwał zapewne z rąk jednego z żołnierzy. Malibran stał obok i wywijał młyńca rapierem.

Żołnierze atakowali ich zaciekle, prac ze wszystkich stron.

- Stój, stój! - zawołał Zefirio. - Czy chcecie, by księżę pan wszystkich was powiesił? Co to za bójki przed siedzibą księżęcą?

Słowa Zefiria podziałały na atakujących jak kubek zimnej wody. Zatrzymali się na chwilę, z czego skorzystał Zefirio.

- Co to ma znaczyć?! - zawołał. - Wychodzę z pałacu, gdzie miałem rozmowę z jego księżęcą mością i zastaję żołnierzy atakujących mój powóz. Czy chcecie bym zawrócił i złożył na was skargę? Wytłumaczcie mi, co to wszystko znaczy?

- Zapytaj się, senior, tych dwóch, co stoją przy powozie - odezwał się jeden z żołnierzy.

- Porfirio, Malibran, co to znaczy? - zwrócił się ku swym przyjaciołom.

- Zapytaj się raczej tych żołnierzy - odpowiedział Porfirio.

- Do tysiąca szatanów! - zaklął Zefirio. - Powiedzcie mi wreszcie, co się tu dzieje?

Żołnierze zaczęli mówić, wszyscy naraz.

- Cisza tam! - wrzasnął Zefirio zniecierpliwiony. - Niech mówi jeden.

Żołnierze chętnie by go rozszarpali na kawałki, wraz z jego przyjaciółmi, lecz fakt, że Zefirio wyszedł z pałacu, gdzie rozmawiał z samym księciem, powstrzymywał ich zapędy.

- Wszystko ci wyłożę jak na talerzu, senior - odezwał się tęgi strażnik. - Powóz wasz stoi przed samą bramą wyjazdową. Jest to sprzeczne z przepisem, lecz mniejsza o to. Nie zwracalibyśmy najmniejszej uwagi na powóz, gdyby nie ci dwaj. Za każdym razem, gdy któryś z nas przechodził obok powozu, padały uszczypliwe uwagi. Do mnie na przykład, gdy przechodziłem, zawołał ten długi i chudy, bym uważał, bo mi

spodnie spadają. Sprawdziłem garderobę i widzę, że jest w najzupełniejszym porządku. Dlaczego kpicie, pytam, ze strażnika jego książęcej mości? To, mówię, jest obraza majestatu, a oni w śmiech. Wasza wielmożność, wołają portki ci na pewno spadną. Dlaczego? pytam. Tyle masz sadła na sobie, odrzekli, że ci się po tym sadle na pewno ześlizgną Połknąłem obelgę i poszedłem dalej. - Przerwał na chwilę i wskazał na swego sąsiada, chudego mężczyznę o żółtawej cerze. - Ten oto kolega przechodził obok nich najspokojniej w świecie, gdy doń zawołali: Hej, człowieku, dlaczego nie sprawisz sobie okularów? Na co mi okulary przecież mam dobry wzrok, odpowiedział mój kolega, Gdybyś miał dobry wzrok, mój ty biedaku, prawi ten chudy, nie wpadłbyś do dołu na uboczu. Patrz, jaki jesteś żółty.

Grubas odetchnął i spojrzał z nienawiścią na Porfiria i Malibrana, którzy z ostentacyjnym lekceważeniem przysłuchiwali się opowiadaniu.

- Rozsądź sam, senor, czy to nie jest uciążliwe w najwyższym stopniu - ciągnął dalej gruby strażnik - kpic z mych spodni i z żółtej cery kolegi?

Zefirio zamyślił się głęboko. Wreszcie rzekł:

- Mój biedny przyjacielu. Jeśli to były kpiny, to przyznaję, że żarty tego rodzaju są wysoce nie smaczne i kara nie powinna ominąć złośliwych dowcipnisiów...

- Więc zgadzasz się, senor, że powinniśmy zabrać ich do aresztu?

- Tak, jeśli to były kpiny. Kto mi jednak zaręczy, że to nie była prawda? Skąd mam tę pewność, że twoja garderoba jest w porządku, a ten żółtolicy nie wpadł rzeczywiście do dołu?

Strażnicy książęcy zaniemówili na chwilę, słysząc ten wyrok salomonowy.

Skorzystał z tego Zefirio, wepchnął Porfiria do powozu i zawołał do Malibrana:

- Marsz na kozioł i w drogę!

W następnej chwili powóz toczył się po ulicy. Żołnierze patrzyli za odjeżdżającymi.

Zefirio długo nie odzywał się pogrążony w swych myślach. Powziął widać jakieś postanowienie, gdyż wychylił się przez okno i zawołał do Malibrana:

- Widzisz uliczkę tam na lewo?

- Widzę.

- Skreć w nią.

Powóz skrecił w lewo. Ulica biegła zygzakowato i Malibran musiał dobrze uważać, by nie wjechać na ścianę jakiegoś domu.

- W którą teraz stronę, Zefirio? - zapytał Malibran. - Ulica już się kończy.

- Skreć w prawo.

- Nie mogę. Powóz nie zmieści się. Uliczka zbyt wąska.

Zefirio wysiadł z powozu.

- Zaczekajcie na mnie tutaj. Tylko nie wdawajcie się w żadną bójkę.

- Nie ma obawy - rzekł Porfrio. - Bić się lubimy tylko ze strażnikami księcia.

Zefirio zagłębił się w wąskiej ulicy.

Mieszkała tutaj sama biedota Saragossy. Słońce ledwie tu docierało, żaden ze spotkanych ludzi nie miał całego ubrania na sobie. Dzieci były w łachmanach, kobiety rozczochrane i krzykliwe.

Zefirio zatrzymał się przed oberwańcem, który leniwie oparty o ścianę domu, ćmił długie cigarillo.

- Gdzie tu mieszka Jose Cardilla? - zapytał.

Obdartus wypuścił kłąb dymu.

- Cardilla nie mieszka już tutaj. Siedzi w więzieniu.

- Wiem, że siedzi. Ma jednak żonę, jeśli się nie mylę.

- Frasquita jest jego przyjaciółką.

- Wszystko jedno; gdzie ona przebywa?

- Gdzie jak nie w jego mieszkaniu.

- Więc gdzie jest to mieszkanie?

- Przed twym nosem, senor. Na górze.

- Dziękuję! - rzekł Zefirio, udając się we wskazanym kierunku.

- Ej, senor! - zawołał obdartus. - Zaczekaj chwileczkę.

Zefirio zatrzymał się.

- Pożycz mi jedno peso. Zjem obiad na twą intencję. Zefirio wyjął sakiewkę i wydobył dwa peso.
- Masz, napiszesz się również wina.
- Mille gracias, señor - podziękował obdartus i położył rękę na sakiewce Zefiria, dodając:
- Pozwól, że wezmę wszystko, señor, przyda się na cigarillos i na pończochy dla mej narzeczonej. Zefirio uśmiechnął się i rzekł nie wypuszczając sakiewki z ręki.
- Ejże, mój zuchu! Czyżbyś miał taki apetyt?
- Ja mam zawsze apetyt, señor, gdy widzę dobre pożywienie.
- Masz solidny żołądek, ale możesz zachorować na niestrawność.
- Puść sakiewkę, señor, w przeciwnym bowiem razie wyniknie z tego ,nieprzyjemna dla ciebie

historia.

- Jaka?
- Nie słyszałeś nic o Motelu?
- Nie słyszałem.
- Szkoda! Wiedziałybyś, że lepiej oddać mu sakiewkę bez targu. - Więc Motelo...
- To ja jestem.
- Bardzo mi przyjemnie.
- Wypuścisz sakiewkę?
- Dlaczego?

Rzezimieszek wyciągnął nóż z kieszeni.

Zefirio uśmiechając się ciągle, dał mu potężnego kuksańca w bok.

Obdartus pochylił się ku przodowi, wypuszczając nóż z ręki i chwytając się oburącz za brzuch.

Zefirio dał mu jeszcze szcztuka w nos, schował sakiewkę do kieszeni i nastąpił nogą na nóż leżący na ziemi.

- A teraz, mój zuchu, oddaj mi te dwa peso.

- Wybacz, señor - rzekł błagalnie rzezimieszek, obcierając krew, która mu ciekła z nosa. Nie wiedziałem, z kim mam do czynienia. Bardzo cię przepraszam, señor.

- Oddaj te dwa peso.

Obdartus wzdychając ciężko, wyciągnął monety z kieszeni i podał je mówiąc prosząco:

- Pozostaw je u mnie, señor, przecież muszę z czegoś żyć. - Pracuj.

- Nie umiem, señor! Nigdy tego nie robiłem.

Zefirio się zamyślił.

- Słuchaj, Motelo - rzekł po chwili. - Mógłbyś zarobić nieco pieniędzy u mnie, nie wiem tylko, czy jesteś zręczny i odważny.

- Jedno i drugie, señor. Jestem zręczny jak wąż i odważny jak lew.

- A jednak prosiłeś o przebaczenie, gdy tylko wytrąciłem ci nóż z ręki.

- To co innego, señor. Wyczułem od razu swojego. Nie będę się sprzeczać z człowiekiem, który załatwia się ze swym przeciwnikiem, zanim tamten zdąży powiedzieć ufl!

- Zaczekaj więc tutaj na mnie. Pomówimy.

Obdartus został sam. Obmacywał obolały bok i obtarł krew z nosa, po czym podniósł nóż z ziemi i długo mu się przyglądał, jak gdyby nie wierząc własnym oczom, że to ten sam.

Scenę powyższą obserwowały obojętnie dzieciaki i kobiety z okien. Nikt się zbytnio nie dziwił, wszyscy byli tutaj przyzwyczajeni do podobnych widowisk grabieży w biały dzień.

Zefirio zapukał do drzwi.

- Wejdz, Motelo - rozległ się kobiecy głos.

Zefirio wszedł do środka.

Frasquita siedziała przy kuchence i naprawiała łańchmany. - Przyniosłeś pończochy? - zapytała nie podnosząc głowy. - Nie przyniosłem - odpowiedział Zefirio - lecz poproszę Josego, to może ci przyśle z więzienia.

Frasquita podniosła głowę i widząc nieznanego zbladła: - Kto jesteś, señor? - zapytała z niepokojem w głosie.

- Przychodzę w sprawie Cardilli. Widzę jednak, że oczekujesz Motela z pończochami. Bardzo cię przepraszam, moja piękna señorito.

I Zefirio ruszył ku drzwiom.

- Czekaj, czekaj senior! - zawołała Frasquita, zrywając się ze swego miejsca. Zefirio przystanął.

- Mówiłeś coś o Cardilli. Mów, co wiesz o nim.

- Tyle co i ty, seniorito. Nie powinno to cię obchodzić zresztą, skoro Motelo zajął miejsce przy twym boku.

- Och, Motelo, to jest drobna płotka w porównaniu z tamtym! Cóż robić senior, przecież nie mogę być sama, umarłabym z głodu.

- Ciekaw jestem, co powie Jose, gdy znajdzie się na wolności. Frasquita zatrzęsła się z przerażenia.

- Litości, senior, nie mów mu o tym. Zabiłby mnie i jego. Jest okropnie zazdrosny.

-Hm!

- Gdyby powrócił, nie spojrzalabym nawet na innego. Przecież ja go kocham, mego biednego Josego.

- Dziwna to miłość, skoro pocieszasz się tak prędko. Ale mniejsza o to. Obiecuję ci absolutne milczenie z mej strony, ale pod jednym warunkiem.

- Jakież to warunek?

- Że będziesz mi ślepo posłuszna. Nie zapominaj, że trzymam cię w ręku.

- Rozkazuj, senior. Uczynię, co zechcesz!

- Więc słuchaj. Jose Cardilla ucieknie z więzienia. Zechce zapewne powrócić do Saragossy lub też kontynuować swe wyczyny jako Zorro. Musisz mu w tym przeszkodzić.

- W jaki sposób?

- Otrzymasz ode mnie pieniądze na wyjazd. Udasz się do Madrytu lub do Portugalii, wszystko jedno gdzie, byleby jak najdalej stąd. Chodzi mi o to, by nie wpadł powtórnie w ręce księcia. Wówczas nic już nie poradzę, życie jego nie będzie warte wypalanej świecy. Pozostawisz mu krótki liścik mniej więcej takiej treści: Kochany Jose! To ja ułatwiłam ci ucieczkę. Jestem w Lizbonie albo w Madrycie. Jeśli nie chcesz mnie utracić, przybywaj natychmiast.

Zefirio sięgnął do kieszeni.

- Oto tysiąc peso... Sądzę, że wystarczy wam na trzy miesiące dostatniego życia. A schowaj to przed Motelem, bo gotów jest podzielić się z tobą. Znam tego zucha, gdy on się z kimś dzieli, u tamtego nic nie zostaje. Wyjedziesz jutro i ani słowa komukolwiek o tym, dokąd. Nawet Motelo nie powinien wiedzieć.

Frasquita schwyciła pieniądze. Twarz jej jaśniała. Nigdy w życiu nie miała takiej sumy w ręku. Kobieta jednak w niej się odezwała:

- Wybacz mi, senior... czy... czy ja mogę ująć nieco pieniędzy dla siebie? Chciałabym się przyodziać.

Zefirio uśmiechnął się i rzucił na stół garść monet.

- Bierz, seniorito. Kupisz sobie pończochy.

Dwie oswobodzicielki

Cardilla został przewieziony pod silną eskortą do Saragossy.

Wsadzono go do lochu w podziemiach fortecy. Nogi i ręce miał zakute w ciężkie kajdany. Cela jego była bez okna, woda ściekała ze ścian i tworzyła kałużę na ziemi. Nieco zgniętej słomy leżało w kącie. Kilka godzin dziennie palił się kaganek, resztę doby zalegała całą zupełna ciemność.

Cardilla spędzał czas leżąc na słomie, oddany ponurym rozmyśleniom.

Cierpię za cudze grzechy. Gdybym nawet wyjawiał, że nie jestem Zorram, nie uwierzyliby mi. Gdyby nawet uwierzyli, nic mi to nie pomoże. Tak czy owak zawisnę na szubienicy... Do licha! W ładną kabałę się wpakowałem. Ten przeklęty don Sebastiano przyniósł mi pecha wraz ze swymi pieniędzmi. Chciałbym dostać go w swe ręce, pokrajałabym go na drobne paski...

Poruszył się niecierpliwie. Kajdany zadzwoniły.

Zawziętem się na Zorrę, przeżuwał dalej swe gorzkie myśli. Kto by mógł się spodziewać, że to zuch nie lada. Myślałem, że w zrzętności nikt mnie nie przewyższy... Ha, trudno, trafiła kosa na kamień.

Gdybym wyszedł jakimś cudem z tej dziury, ofiarowałabym za wszystkie pieniądze, które ukryłem w domu, świece i kwiaty Madonnie dei Pilar... Rozumie się, jeśli Frasquita pieniędzy tych nie znalazła i nie

roztrwonila.

Coś przebiegło po jego ciele.

- Szczur! - niemal krzyknął. - Tego jeszcze brakowało!

Szczur znów przebiegł po jego ciele. Cardilla leżał nieruchomo.

Nagle poczuł ukąszenie w lewym udzie. Wyciągnął błyskawicznie rękę i chwycił zwierzątko.

Rozległ się przeraźliwy pisk. Cardilla miętosił szczura przez chwilę tak jak kot, który bawi się myszą, po czym ukreślił mu kark.

To przyniosło mu chwilową ulgę. Mógł nasycić swój zmysł okrucieństwa.

Za pierwszym szczurem przyszedł niebawem drugi.

Cardilla był nawet rad tym odwiedzinom. Miał teraz rozrywkę, mógł walczyć i zabijać. Zapomniał w ten sposób o swym losie, o straszliwych warunkach, w jakich się znalazł.

Nagle polowanie na szczury zostało przerwane odgłosem kroków na korytarzu.

Jose usiadł i nasłuchiwał.

Kroki zbliżały się do jego celi. Klucz zgrzytnął w zamku, drzwi się uchyliły.

Za drzwiami rozległy się przyciszone głosy, po czym brzęknęły monety. Po chwili do celi wskoczyła jakaś postać owinięta w szeroki płaszcz.

- Zorro! - rozległ się cichy i drżący głos kobiecy.

- He! - odezwał się Cardilla.

- Zorro, to ja, Dolores. Mój biedny Zorro, w jakim strasznym miejscu cię zastaję. Od chwili gdy dowiedziałam się o twym uwięzieniu, nie śpię nocami i przeżywam straszliwe katusze.

Dolores umilkła na chwilę, by opanować wzruszenie.

Cardilla na próżno łamał sobie głowę: Dolores? Do licha, co to za jedna? Znałem niegdyś jedną Dolores, ale tamta miała ochrypły głos i była kulawa.

Dolores ciągnęła dalej:

- Słuchaj, Zorro. Przekupiłam strażnika i od jutra otrzymasz oświetlenie oraz najlepsze pożywienie.

Nie będę żałować złota, byleby cię stąd wydobyć. Ufaj mi, Zorro, nie opuszczę cię w nieszczęściu. Przygotowuję twą ucieczkę...

Jose milczał bojąc się spłoszyć niespodziewanego gościa.

- Nie mogę zapomnieć tego bolera, które tańczyliśmy wówczas i... i... ten pocałunek pali mnie jeszcze. Widzisz, że korzystam z ciemności, jakie tu panują, by ci wyznać, że cię kocham.

- He, co? - zdziwił się Jose.

- I że gotowa jestem oddać ci ten pocałunek. Będzie ci pociechą w twej niedoli...

Jose przestraszył się. Tego jeszcze brakowało, by się spostrzegła, że nie jestem Zorram, pomyślał, a głośno rzekł w najbardziej wytwornej formie, na jaką go było stać:

- Wybacz mi o, seniorito! Uczucie delikatności i wrodzone poczucie szlachetności nie pozwala, bym całował senioritę w tym ohydny miejscu. Nie myłem się od tygodnia, a podbródek mój przypomina jeża. Boleję całą mą duszą i błagam cię, seniorito, zaczekaj, aż stąd wyjdę... I ja pamiętam nasze bolero, pamiętam te niebiańskie chwile. Błagam cię, uczyni wszystko, co jest w twoich siłach, bym mógł rzucić się do twoich stóp zaraz po wyjściu na wolność.

Uczucie niepewności ogarnęło Dolores, podczas gdy mówił. Biedny Zorro, pomyślała, jakże się zmienił w tym więzieniu.

Nigdy nie przemawiał w ten sposób. Pod wpływem niewoli coś się zmieniło w jego charakterze, dobiera słowa jak aktor. Ogarnęły ją litość i wzruszenie.

- Bądź dobrej myśli, Zorro - szepnęła. - Nie pozwolę księciu, by podpisał wyrok na ciebie, dopóki nie ułatwię ci ucieczki.

- Czyż księżę zechce cię wysłuchać, seniorito? - zapytał ze zwątpieniem w głosie Jose. - Czy cię dopuści do siebie?

- Co? - oburzyła się Dolores. - Wujaszek miałby mnie nie dopuścić do siebie?.. Tego jeszcze brakowało. Musiałby najpierw sam uciekać z pałacu!

Gdyby powała zwała się na głowę Josego, nie byłby bardziej zdumiony. Otworzył szeroko usta, nie mogąc na razie złapać tchu...

Dolores dawno już opuściła celę, a on wciąż powtarzał ogłupiały:

- Jej wujaszek... księżę! Księżę... jej wujaszek. Do licha, Jose, póki żyjesz, nie śniło ci się o takiej protektorce... Kocha mnie, chciała mnie całować. Nie... chyba dostanę kręcka...

Długo jeszcze rozmyślał w ten sposób na ten temat.

Wreszcie gdy się już nieco uspokoił, rozpoczął w najlepsze swe polowanie na szczury. Uduśli właśnie czwartego, gdy kroki ponownie rozległy się na korytarzu. Klucz zazgrzytał w zamku. Ciche szepty rozległy się za drzwiami, po czym Jose usłyszał brzęk złota.

Wraca moja księżniczka - pomyślał.

W celi zjawiła się postać otulona szczelnie płaszczem.

- Mój biedny Zorro - rozległ się cichy szept tuż nad nim. Ileż to łez wylała twa nieszczęśliwa Mercedes!

Jose dostał zawrotu głowy. Ha, pomyślał, księżniczka już była, sądzę więc, że ta druga to na pewno jakaś królewna. Ten Zorro, do licha, szczęściarz nie lada. Niech mnie spalą, jeśli kiedykolwiek wyznam, że nie jestem prawdziwym Zorram.

Mercedes mówiła dalej gorączkowym szeptem, tłumiąc łzy:

- Kochany mój! Zająłem się przygotowaniem twojej ucieczki. Przekupiłam dozorcę.

Jose słuchał milcząco. Łajdak dozorca porządnie się obłowi, pomyślał. Chciałbym być na jego miejscu.

Lecz to nie wystarczy - ciągnęła dalej Mercedes. - Należy przekupić wartowników i klucznika. Otrzymasz podrobiony klucz i na dany sygnał wymkniesz się z celi.

- Czy długo potrwać przygotowania?

- Muszę działać ostrożnie. By jednak księżę nie przyspieszył wykonania wyroku, poproszę mego ojca, by pod jakimkolwiek pozorem wyjednał u królowej zwłokę.

Zaczyna się, pomyślał Jose, teraz będzie królowa; głośno zaś rzekł:

- Wątpię, czy królowa zechce wysłuchać twego ojca.

- Nie wątp, Zorro! - zawołała Mercedes. - Królowa nie odmówi swemu wiernemu generałowi, hrabiemu d' Artad.

Dobre i to, pomyślał Jose, który zaczynał być wybredny, po księżniczce hrabianka ubiega się o mą wolność. Jeśli tak dalej pójdzie, cała żeńska arystokracja Hiszpanii z triumfem wyniesie mnie stąd na rękach.

- Bądź dobrej myśli, Zorro - ciągnęła dalej Mercedes. - Nie dopuszczę do tego, byś miał zginąć marnie. Mogę ci wyznać w tej tragicznej sytuacji, że cię kocham. Nigdy nie zapomnę tej chwili, gdy ukazałeś mi się nocą w ogrodzie, ani romancy, którą śpiewałeś. Ilekroć pomyślę o niej, łzy stają mi w oczach.

To dobre, pomyślał Jose przestraszony, zechce bym jej zaśpiewał, a ja mam głos do złudzenia przypominający skrzywienie zardzewiałych zawiasów.

- Seniorito Mercedes - wyjąkał obolałym głosem. - Chętnie zaśpiewałbym ci tę romancę, ale ze wzruszenia głos mi zupełnie ochrypl.

- Ależ ja wcale nie chcę, byś tutaj śpiewał - zaprzeczyła żywo Mercedes. - W obecnej sytuacji byłoby ponad moje siły słuchać twego śpiewu...

Dzięki Bogu! ucieszył się w duchu Jose. Gdy ucieknę stąd, przysięgam, że ogolę i umyję się dla księżniczki oraz wezmę kilka lekcji śpiewu dla hrabianki.

Długo jeszcze rozmawiali. Wreszcie Mercedes pożegnała się z więźniem i znikła za drzwiami.

Jose długo myślał o tych odwiedzinach. Był tak zatopiony w-myślach, że nie czuł nawet szczurów, które swobodnie harcowały po jego ciele. Dopiero mocniejsze ukąszenie kazało mu rozpocząć polowanie ze zdwojonym zapalem.

Zajęcie to trwało dość długo. Widocznie nastał wieczór, gdyż klucznik przyniósł mu kolację, którą postawił na ziemi. Na ścianie umocował olbrzymią świecę łojową, zapalił ją i cofnął się ku drzwiom.

- Powiedz strażnikowi... - zaczął Jose, lecz ów położył palec na ustach, mrugnął porozumiewawczo i wyszedł z celi, zamykając drzwi za sobą.

Złoto Dolores i Mercedes zaczęło wydawać owoce.

Jose siedział na swym pościeli. Spojrzał na przyniesione jedzenie i nie wierzył własnym oczom. Na olbrzymim półmisku spoczywała pieczona gęś. Obok stały dwie butelki wina i bochenek chleba; wielki tort i owoce uzupełniały kolację.

Skoczył na równe nogi i chwycił tacę w ręce. Był najwyższy czas po temu, wygłodzone szczury, przestraszone początkowo światłem świecy, wysunęły się teraz ze swych nor, zerkając łączywie w stronę jadała.

Zaledwie Jose uporał się z połową gęsi, gdy znów rozległy się kroki na korytarzu. Nadstawił uszu. Jacyś ludzie zatrzymali się przed jego drzwiami.

- Na wolności nie miałem tylu wizyt w ciągu tygodnia, ile tutaj w ciągu jednego dnia - rzekł do siebie Jose. - Więzienie moje zmienia się w salę przyjęć. - Prosimy! - zawołał głośno, słysząc zgrzyt klucza w zamku.

Do celi wszedł jakiś mężczyzna otulony w czarny płaszcz. A to co znowu za monarcha? zapytał w duchu Jose. Przybysz zdjął sombrero z głowy.

To był przyjaciel Frasquity - Motelo.

- Witaj, Motelo! - zawołał Jose. - Powiedz, widziałeś Frasquitę?.. Co ona porabia?.. Jak sobie daje radę beze mnie?..

- Powoli, powoli - odparł Motelo. - Na wszystko ci odpowiem po kolei. Frasquita jest zdrowa, nic nie robi, daje sobie świetnie radę bez ciebie i przesyła ci karteczkę.

Wyjął świstek z zanadru i podał go więźniowi.

Kochany mój Tygrysku

- czytał Jose. -

Przesyłam Ci przez Motela pozdrowienie.

Tutaj Jose przerwał czytanie i spojrzał groźnie na Motela: - Słuchaj towarzyszu - rzekł - czy ty nie kręcisz się czasem zanadto koło Frasquity?

- Ależ co znowu! - zaprzeczył Motelo, starając się ukryć zmieszanie. - Co ci strzeliło do głowy? Czytaj dalej list, to się dowiesz, dlaczego tu przychodzę.

Jose czytał:

U dało mi się zebrać pięćset peso wśród Twych przyjaciół, odszukałam więc Motela i poprosiłam go, by ułatwił Ci ucieczkę. Poczciwiec zgodził się chętnie. Plan ucieczki ułożycie wspólnie. Czekam na Ciebie z utęsknieniem, Twoja kochająca cię Mysz.

Jose podniósł wzrok i rzekł wskazując półmisek, który postawił na ziemi.

- Widzisz tę połowę gęsi, wino i tort?

- Widzę.

- Wiesz, kto mi przysłał te smakołyki?

-Skąd mogę wiedzieć?'

- Siostrzenica księcia y Carvalha oraz córka hrabiego d' Arta. - Do diabła! - zaklął z podziwu Motelo.

- Tak, mój drogi. Obie pomogą mi uciec. Nawet księżę i sama królowa wezmą w tym udział.

- Biedny Jose - rzekł Motelo ze współczuciem. - Nabawiłeś się końskiej febry w tym lochu.

- Sądzisz, że bredzę? Jesteś w grubym błędzie. Nigdy nie byłem bardziej przytomny niż dzisiaj.

- Cóż więc mam powiedzieć Frasquicie?

- Że bardzo jej dziękuję za wierność i oddanie, lecz pomoc jej nie jest mi potrzebna. Ucieczkę ułatwią mi hrabianka z księżniczką. To wszystko, co masz jej zanieść.

- Dobrze - rzekł Motelo. - Powtórzę toFrasquicie.

Zbliżył się ku drzwiom, w ostatniej jednak chwili odwrócił się i rzekł:

- Jakieś przecucie mi mówi, że pomimo wszystko będę ci potrzebny!